

STEPHEN
KING

jako

RICHARD BACHMAN



**OSTATNI BASTION
BARTA DAWESA**

Pracznicyński i S-ka

STEPHEN

KING

jako

RICHARD BACHMAN

**OSTATNI BASTION
BARTA DAMESA**

Pamięci Charlotte Littlefield

Księga Przysłów 31:10-28

Prolog

*Jo nie wiem dlaczego, ty nie wiesz dlaczego, Bóg naj-
prawdopodobniej też nie wie dlaczego. To sprawa rzą-
du, tyle na ten temat.*

- sonda uliczna na temat Wietnamu, około 1967 roku.

Ale Wietnam się skończył, a życie w kraju toczyło się dalej.

Tego upalnego sierpniowego popołudnia 1972 roku na końcu autostrady 784 stanęła furgonetka telewizyjnej stacji WHLM. Niewielki tłumek zbił się wokół małego, naprędce skleconego podium; pokrywający go materiał był jak cienka skóra na szkielecie nagich desek. Za nim, na szczycie porośniętego trawą nasypu, stały budki przy wjeździe na płatną autostradę. Dalej, aż do peryferii miasta, rozciągał się pusty bagnisty teren.

Młody dziennikarz Dave Albert robił sondę uliczną, skracając sobie i kolegom czas oczekiwania na burmistrza i gubernatora, mających wkrótce przybyć na uroczystość.

Podsunał mikrofon starszemu panu w okularach z przyciemnianymi szklami.

- Więc... - zaczął mężczyzna, zerkając lękliwie w obiektyw - ...to się przyda miastu. Już dawno należało to zrobić. To... się bardzo przyda. - Przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że jego umysł nadaje echo samego siebie, lecz nie mogąc się zatrzymać, zahipnotyzowany przesywającym spojrzeniem cyklopowego oka potomności. - Bardzo - dodał słabo.

- Dziękujemy.

- Pokażecie mnie? W wiadomościach?

Albert przywołał na twarz profesjonalny uśmiech, który nic nie znaczył.

- Trudno powiedzieć. Niewykluczone.

Dźwiękowiec wskazał na zakręt przy wjeździe na autostradę, zza którego właśnie wyłonił się chrysler gubernatora, lśniący i migotliwy

jak chromowany pocisk w blasku letniego słońca. Albert skinął głową i uniósł palec. Wraz z dźwiękowcem podszedł do człowieka w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Facet chmurnie przyglądał się podium.

- Czy zechciałby pan wyrazić swoją opinię, panie...
- Dawes. Zechciałbym. - Miał niski, przyjemny głos.
- Gazu - mruknął kamerzysta.

Mężczyzna w białej koszuli dodał równie przyjemnie:

- Według mnie to zwyczajne gówno.

Operator skrzywił się, a Albert pokiwał głową potępiająco. Dwoma palcami prawej ręki zrobił gest cięcia. Starszy pan przyglądał się tej scenie z autentyczną zgrozą. Ponad nimi, przy budkach opłat, gubernator wyłonił się z chryslera. Jego zielony krawat załśnił w słońcu.

Mężczyzna w białej koszuli spytał uprzejmie:

- Puścicie to w dzienniku o szóstej czy o jedenastej?
- Ho, ho, bracie, aleś zgrywny - mruknął kwaśno Albert i ruszył, by złapać gubernatora. Kamerzysta podążył za nim. Mężczyzna w białej koszuli patrzył na gubernatora ostrożnie schodzącego po trawiastym zboczu.

Siedemnaście miesięcy później Albert i mężczyzna w białej koszuli spotkali się ponownie, ale ponieważ żaden z nich nie pamiętał, że już się znają, równie dobrze mogło to być ich pierwsze spotkanie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LISTOPAD

*Wczoraj w nocy do okna zastukał mi deszcz. Przez
ciemny szedłem pokój i myślałem, że W jasnym
latarni światło stoi na ulicy Duch wieku. Rzekł mi:
wszyscy na tej stoimy granicy.*

Al Stewart

20 LISTOPADA 1973

Robił to, co robił, i nie pozwalał sobie na myślenie. Tak było bezpieczniej. Zupełnie jakby miał w głowie wyłącznik, pstrykający za każdym razem, gdy pojawiało się pytanie: ale po co to robisz? Wtedy w jakimś zakątku jego mózgu gasło światło. Hej, George, kto zgasił światło? Ups, chyba ja. Coś się przepaliło. Zaraz, chwileczkę. Popstrykać włącznikiem... Jest. Ale myśl się ulotniła. Wszystko gra. No to do rzeczy, Freddy - gdzie to byliśmy?

W drodze na przystanek autobusowy zobaczył ogłoszenie:

AMUNICJA SKLEP HARYEYA AMUNICJA
Remington Winchester Colt Smith & Wesson
ZAPRASZAMY MYŚLIWYCH

Z szarego nieba prószył drobny śnieg, pierwszy tego roku; płatki lądowały na chodniku jak białe placki sody oczyszczonej i zaraz się topiły. Zobaczył małego chłopca w czerwonej włóczkowej czapce, który szedł z otwartymi ustami i wysuniętym językiem, żeby złapać płatek śniegu. To wszystko zaraz stopnieje, Freddy, pomyślał, ale dzieciak i tak szedł z głową zadartą w górę.

Zatrzymał się przed sklepem Harveya. Przed drzwiami na chodniku sterczał stojak z wydaniem popołudniówek. Nagłówek głosił:

CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI NADAL
OBOWIĄZUJE

Poniżej na stojaku widniał rozmazany biały napis:

PROSZĘ ZAPŁACIĆ ZA GAZETĘ!
WŁAŚCICIEL DOSTAJE JE ODPLATNIE

W środku panowało przyjemne ciepło. Sklep był długi, ale niezbyt szeroki. Tylko dwa rzędy półek. Po lewej stronie stała szklana gablot

ka z pudełkami amunicji. Natychmiast rozpoznał naboje kalibru .22, ponieważ w dzieciństwie, jeszcze w Connecticut, miał jednostrzaiovą strzelbę, właśnie dwudziestkędwójkę. Marzył o niej przez trzy lata, a kiedy ją dostał, nie potrafił znaleźć dla niej zastosowania. Przez jakiś czas strzelał do puszek, potem zabił sójkę. Nie miała łatwej śmierci. Siedziała w śniegu, w samym środku plamy różowawej czerwieni, powoli otwierając i zamykając dziób. Po tej sójce powiesił strzelbę na haku i zostawił ją tam na trzy lata, aż wreszcie sprzedał ją chłopakowi z tej samej ulicy za dziewięć dolarów i pudełko książeczek z dowcipami.

Inne naboje nie kojarzyły mu się z niczym. Trzydzieści trzy, trzydzieści sześć i takie, które wyglądały jak pociski do haubicy. Na co to, zdziwił się. Na tygrysy? Dinozaury? Zafascynowały go, zamknięte w szklanej gablocie jak landrynki z automatu.

Sprzedawca lub właściciel rozmawiał z grubym gościem w zielonych spodniach i zielonej wojskowej koszuli. Koszula miała kieszenie z patkami. Rozmawiali o rozłożonym na części pistolecie, leżącym w innej szklanej gablocie. Gruby odciągnął kciukiem zamek i razem zajrzeli do naoliwionej komory. Gruby powiedział coś, na co sprzedawca lub właściciel się roześmiał.

- Automatyczne zawsze się zacinają? Mac, ojciec ci to wmówił, przyznaj się.

- Harry, bracie, łiesz jak pies.

Łiesz, Fred, pomyślał. Jak pies. Wiesz o tym?

Fred powiedział, że wie.

Szklana gablotka po prawej stronie biegła przez cały sklep. Wisiało w niej mnóstwo strzelb. Potrafił rozpoznać dubeltówki, ale reszta była dla niego czarną magią. A jednak niektórzy - na przykład ci przy ladzie - opanowali ten temat tak, jak on opanował księgowość na studiach.

Zrobił parę kroków w głąb sklepu i zajrzał do gablotki z pistoletami. Zobaczył parę pneumatycznych, kilka dwudziestekdwójek, trzydziestkęsemkę z drewnianą kolbą, czterdziestkępiątkę i broń, w której rozpoznał magnum .44, takie samo jak to, które miał na filmie Brudny Harry. Słyszał, jak Ron Stone i Vinnie Mason rozmawiali w pralni o tym filmie i Vinnie powiedział: nikt by nie pozwolił gliniarzowi nosić takiego gnata w mieście. Czymś takim można zrobić dziurę w człowieku z odległości kilometra.

Gruby facet - Mac - i sprzedawca lub właściciel, Harry (jak Brudny Harry), złożyli broń.

- Przedzwoń do mnie, jak dostaniesz tego menschlera - poprosił Mac.
- Dobrze... Ale to uprzedzenie do automatów jest irracjonalne - odparł Harry. (To musiał być właściciel sklepu - zwykły sprzedawca nigdy by nie powiedział klientowi, że zachowuje się irracjonalnie). - Musisz mieć tę cibrę na przyszły tydzień?

- Chciałbym.
- Niczego nie obiecuję.
- Jak zwykle... ale jesteś najlepszym, kurna, rusznikarzem w mieście i dobrze o tym wiesz.
- No pewnie.

Mac poklepał broń w szklanej gablocie i odwrócił się. Idąc do drzwi, potrącił go - *Uważaj, Mac Lepiej się do mnie uśmiechnij*. Pod pachą trzymał gazetę, można było przeczytać:

OWE ZAWIE

Harry odwrócił się do niego z uśmiechem, kręcąc głową.

- Czy mogę pomóc?
- Mam nadzieję. Ale ostrzegam, zupełnie nie znam się na broni.

Harry wzruszył ramionami.

- A kto powiedział, że ma się pan znać? Pan czy ktokolwiek? Chodzi o prezent na Gwiazdkę?

- Tak, właśnie - podchwycił, zadowolony z okazji. - Mam kuzyna, Nicka, tak się nazywa. Nick Adams. Mieszka w Michigan i ma hopla na punkcie broni. Wie pan, uwielbia polować, ale nie chodzi tylko o polowanie, to coś więcej. To jakby... jakby...

- Hobby? - podsunął Harry z uśmiechem.

- Tak, właśnie. - Chciał powiedzieć „fetyusz”. Zerknął na kasę, na której widniała staruteńka naklejka:

*Jeśli broń jest przestępstwem,
tylko przestępcy będą nosić broń.*

Uśmiechnął się do Harry'ego.

- Święte słowa.

- A no pewnie. A ten pański kuzyn...

- A mój kuzyn lubi to, co najlepsze. Wie, że uwielbiam łódki i niech mnie diabli, w zeszłym roku na Gwiazdkę dał mi silnik Evinrude, sześćdziesiąt koni! Wysłał go ekspresem. A ja mu podarowałem kurtkę myśliwską. Czuję się jak debil.

Harry pokiwał głową ze współczuciem.

- Jakiś miesiąc temu dostałem od niego list. Chłopak był szczęśliwy jak dziecko, co dostało za darmo bilet do cyrku. Razem z sześcioma kumplami zrobili zrzutkę i wybrali się gdzieś do Meksyku, tam, gdzie wolno strzelać...

- Do rezerwatu łowieckiego?

- Aha, chyba. - Zachichotał cicho. - Można strzelać, ile wlezie. Mają tam zwierzyny do diabła i trochę. Jelenie, antylopy, niedźwiedzie, bizony... Wszystko.

- Czy to czasem nie Boca Rio?

- Nie pamiętam. Chyba miało jakąś dłuższą nazwę.

Oczy Harry'ego zasnuły się mgiełką rozmarzenia.

- W sześćdziesiątym piątym razem z tym gościem, co właśnie wyszedł, pojechaliśmy do Boca Rio. Trafiłem zebra! Zebra, słowo daję! Powiesiłem jej łeb w domu w salonie. To była najpiękniejsza chwila mojego życia. Bardzo zazdroszczę pańskiemu kuzynowi.

- Pogadałem z żoną i powiedziała, że mogę to zrobić. Mieliśmy naprawdę dobry rok. Pracuję w pralni „Blue Ribbon” w Western.

- Tak, wiem, gdzie to jest.

Mógłby gadać z Harrym przez cały dzień, do końca roku, splatając prawdę i kłamstwo w jedną piękną tkaninę. Niech życie toczy się obok. Chromolić kryzys paliwowy, wysokie ceny wołowiny i chwilowe zawieszenie broni, będą rozmawiać o kuzynie, który nie istnieje i nigdy nie istniał. Nie, Fred? No jak nie, jak tak, Georgie.

- W tym roku podpisaliśmy umowę ze szpitalem ogólnym i z psychiatrykiem. A! I z tymi trzema nowymi motelami.

- Ten na Franklin Avenue też obsługujecie?

-Tak.

- Nocowałem tam parę razy. Pościel zawsze była bardzo czysta. Śmieszne, nigdy się nie zastanawiamy, kto pierze pościel w hotelach.

- No, czyli mieliśmy dobry rok. Więc pomyślałem, może kupię Nickowi strzelbę i pistolet. Zawsze marzył o magnum .44. Słyszałem, jak o tym mówił...

Harry wyjął magnum i położył je ostrożnie na szklanej gablocie. Wziął je do ręki. Było przyjemnie ciężkie. Solidne. Odłożył je na gablotę.

- Komora... - zaczął Harry.

Roześmiał się i uniośł rękę.

- Nie musi mnie pan namawiać, sam się namówiłem. Ignoranta nie trzeba przekonywać. Ile amunicji mam do tego kupić?

Harry wzruszył ramionami.

- Dziesięć pudełek. Zawsze może sobie dokupić. Ta sztuka kosztuje dwieście osiemdziesiąt dziewięć plus VAT, ale sprzedam panu za dwieście osiemdziesiąt i dorzucę naboje za darmo. Co pan na to?

- Super - powiedział ucieszony z całego serca. A potem dodał, ponieważ wydawało mu się, że tak trzeba: - Piękna sztuka.

- Jeśli się jedzie do Boca Rio, coś takiego bardzo się przyda.

- A teraz strzelba...

- Co ma ten pański kuzyn?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Przykro mi, naprawdę nie wiem. Dwa, trzy pistolety i coś, co jest podobno samopowtarzalne...

- Remington? - Pytanie padło tak szybko, że aż się przestraszył; tak jakby brodził w wodzie po pas i nagle grunt osunął mu się spod nóg.

- Możliwe. Mogę się mylić.

- Remington robi najlepsze - powiedział Harry i pokiwał głową, zsyłając na niego tym samym błogi spokój. - Ile chce pan wydać?

- Będę szczerzy. Ten silnik kosztował go ze cztery setki. Ja chcę wydać co najmniej pięć. Ewentualnie sześć.

- Lubicie się, co?

- Razem dorastaliśmy - wyznał szczerze. - Oddałbym mu chyba prawą rękę, gdyby jej potrzebował.

- Coś panu pokażę. - Harry wybrał z pęku kluczy na kółku jeden i podszedł do oszklonej gabloty. Otworzył ją, wspiął się na stołek i zdjął długą, ciężką strzelbę z inkrustowaną kolbą. - Kosztuje trochę więcej, niż chce pan dać, ale to rarytas. - Podał mu ją.

- Co to takiego?

- Weatherbee czterysta sześćdziesiąt. Strzela amunicją większego kalibru niż wszystko, co tu mam. Gdyby pan chciał zamówić naboje, musiałbym je sprowadzić z Chicago. To potrwa z tydzień. Jest idealnie wyważona. Ten drobiazg wali z impetem ponad czterystu kilo... to jakby kogoś uderzyć limuzyną. Jeśli strzeli pan z tego jeleniowi w głowę, nie zostanie z niego nawet ogonek na pamiątkę.

- No, nie wiem... - powiedział z powątpiewaniem, choć już postanowił, że ją weźmie. - Nick chciałby mieć trofeum. To także zabawa...

- No pewnie - przyświadczył Harry, ujmując weatherbee. - Nie je dzie się do Boca Rio po mięso. Więc pański kuzyn poluje? Z tym ma-

leństwem nie będzie się godzinami włóczyć za cholernym bydłem po wertepach i bezdrożach. Jeden strzał i flaki rozbryzną się w promieniu pół kilometra.

- Ile za to?

- No, powiem w ten sposób: nie mogę tego upłynnić w mieście. Kto chce mieć takie, cholera, działa przeciwlotnicze tu, gdzie od czasu do czasu trafia się najwyżej bażant? A gdyby się go podało do stołu, smakowałby jak wędzony w spalinach. W sprzedaży detalicznej kosztuje to dziewięćset pięćdziesiąt, w hurcie - sześćset trzydzieści. Ja podaruję je panu za siedemset.

- Czyli razem... prawie tysiąc?

- Za zakup powyżej trzystu dolarów dajemy dziesięć procent zniżki. Czyli dziewięćset. - Wzruszył ramionami. - Daj pan tę broń kuzynowi, gwarantuję, że takiej nie ma. Jeśli ma, odkupię od pana za siedemset pięćdziesiąt. Dam to panu na piśmie, taki jestem pewien swego.

- Poważnie?

- Absolutnie. Absolutnie. Oczywiście, jeśli za drogo, no to za drogo. Możemy spojrzeć na coś innego. Ale jeśli kuzyn ma prawdziwego hopla, nie mam tu niczego, czego pewnie już sobie nie kupił.

- Rozumiem. - Zrobił zamyśloną minę. - Ma pan telefon?

- Jasne, na zapleczu. Chce się pan poradzić żony?

- Tak będzie lepiej.

- Jasne. Proszę za mną.

Harry zaprowadził go na zagracone zaplecze. Ławka i porysowany drewniany stół były zawałone wnętrzościami pistoletów, sprzętami, płynem do czyszczenia, ulotkami i buteleczkami z kawalkami ołowiu,

- Telefon jest tam - pokazał Harry.

Usiadł, wziął aparat i wykręcił numer. Harry wrócił po magnum, które włożył do pudełka.

- Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST - rozległ się w słuchawce radosny, mechaniczny głos. - Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem w lekkie opady śniegu...

- Mary? Cześć - powiedział. - Słuchaj, no więc jestem w tym sklepie. Tak, dla Nicka. Mam ten pistolet, wiesz, bez problemu. Był akurat taki, jak rozmawialiśmy. Potem ten pan pokazał mi strzelbę...

- ...przewidywane rozpozgodzenie. Temperatura spadnie dziś do minus piętnastu, jutro od minus piętnastu do minus dwudziestu stopni. Możliwe opady...

- Więc co sądzisz? - Harry stał w drzwiach za jego plecami, widać było jego cień.

- Aha - powiedział. - Wiem.

- Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Zapraszamy do oglądania wiadomości z Bobem Reynoldsem; codziennie o szóstej po południu aktualna prognoza pogody. Do widzenia.

- Nie, nie żartujesz. Tak, to bardzo drogo.

- Dziękujemy za wybranie usług informacji meteorologicznej WDST. Popołudniowe zadymki przejdą wieczorem...

- Ale na pewno, skarbie?

- ...przewidywane roz pogodzenie. Temperatura...

- No, to dobrze. - Odwrócił się, uśmiechnął do Harry'ego i zrobił kółeczko z palca wskazującego i kciuka. - To bardzo miły gość. Dał mi gwarancję, że Nick nie ma takiej.

- Możliwe opady...

- A ja ciebie, Marę. Pa. - Odłożył słuchawkę. Jezu, Freddy, to było niezłe. No masz, George, no masz.

Wstał.

- Powiedziała, że mam wolną rękę. No więc: tak.

Harry uśmiechnął się.

- Co pan robi, jak kuzyn przyśle panu thunderbirda?

Odpowiedział uśmiechem.

- Odeślę nierozpakowany.

W drodze do kasy Harry spytał:

- Czek czy gotówka?

- American Express, jeśli można.

- Można, można.

Podał mu kartę. Na jej odwrocie, na specjalnym pasku, widniał podpis: Barton George Dawes.

- A te naboje na pewno przyjdą na czas, żebym mógł wszystko wyśłać Fredowi?

Harry podniósł głowę znad rachunku.

- Fredowi?

Uśmiechnął się szerzej.

- Nick to Fred, a Fred to Nick. Nicholas Frederic Adams. To taki żart z tym imieniem. Jeszcze z dzieciństwa.

- O. - Harry uśmiechnął się grzecznie, jak ktoś, kto usłyszał kiepski dowcip. - Pan tu podpisze.

Podpisał.

Harry wyjął spod lady ciężką księgę ze stalowym łańcuchem przeciągniętym przez górny lewy róg, blisko grzbietu.

- Poproszę o nazwisko i adres dla policji.

Poczuł, że palce zaciskają się mu na długopisie.

- Jasne. Tylko patrzcie, pierwszy raz w życiu kupuję broń i już jestem wariatem. - Zapisał w księdze nazwisko i adres.

Barton George Dawes 124 Crestallen Street West

- Czepiają się wszystkiego - powiedział.

- Nie z własnej woli.

- Wiem. Wie pan, co powiedzieli wczoraj w dzienniku? Chcą wprowadzić obowiązek noszenia ochraniacza na usta dla motocyklistów. Ochraniacz na usta! To rząd już nie ma innych zmartwień, tylko zęby gości na motocyklach?

- Dziwne, dziwne - zgodził się Harry, chowając księgę pod ladę.

- Albo ten nowy kawałek autostrady, który budują w Western. Przychodzi jakiś smarkacz, mówi: „Puścimy ją tędy”, a potem człowiek dostaje pismo „Bardzo przepraszamy, ale tu, gdzie mieszkacie, będzie biegła autostrada 784. Macie rok na znalezienie nowego domu”.

- Skandal.

- Właśnie. Co znaczy prawo do wywłaszczenia, jeśli człowiek mieszkał w tym cholernym domu od dwudziestu lat? Kochał się w nim z żoną, wychowywał w nim dzieci, wracał do niego z wycieczek? Prawnicy to wymyślili specjalnie po to, żeby nas mogli lepiej załatwić.

Uważaj, uważaj. Wyłącznik zadziałał z opóźnieniem, trochę mu się wysnęło.

- Wszystko w porządku? - spytał Harry.

- Aha. Zjadłem na obiad zapiekankę. Chyba zgłupiałem. Przecież zawsze mam po nich cholerne gazy.

- Pan się poczęstuje - powiedział Harry i wyjął z kieszeni na pierśiach rolkę pastylek. Na etykiecie widniało:

GASTRYNKI

- Dziękuję. - Wyjął jedną z wierzchu i włożył do ust, nie zwracając uwagi na strzępek papieru, który się do niej przylepił. Patrzcie, jestem w reklamie. Ta znakomita pastylka pochłania kwas żołądkowy o czterdziestostokrotniej objętości w stosunku do swojej wagi.

- Mnie to pomaga - dodał Harry.

- A te naboje...

- Tak. Za tydzień. Najdłużej dwa. Sprowadzę siedemdziesiąt.
 - Może pan przechować tę broń? Niech ją pan oznaczy moim nazwiskiem albo jakoś inaczej. Może to głupie, ale nie chcę tego trzymać w domu. Głupio, nie?
 - Każdy lubi co innego - zauważył Harry roztropnie.
 - Aha. Podam panu numer do mojej pracy. Kiedy dostanie pan te kule...
 - Pociski - przerwał Harry. - Pociski lub naboje.
 - Pociski - zgodził się z uśmiechem. - Jak je pan dostanie, niech pan do mnie przedzwoni. Odbiorę broń i zajmę się wysyłką. Czy broń można wysyłać pocztą kurierską?
 - Jasne. Pański kuzyn będzie tylko musiał pokwitować, i tyle.
- Napisał swoje nazwisko na wizytówce Harry'ego. Widniało na niej:

Harold Swinnerton *849-6330*
Sklep Harveya
Amunicja *Broń zabytkowa*

- Ciekawe... - odezwał się. - Skoro pan nazywa się Harold, to kim jest Harvey?

- Był moim bratem. Zmarł osiem lat temu.
- To smutne.
- Tak, było nam smutno. Pewnego dnia przyszedł tutaj, otworzył sklep, zrobił kasę i padł trupem. Zawał serca. Wspaniały człowiek, każdy chciałby go znać. Potrafił powalić jelenia z dwustu metrów.

Wyciągnął rękę nad ladą. Wymienili uścisk.

- Zadzwoń - obiecał Harry.

- Powodzenia.

Znów wyszedł na śnieg. Padało gęściej, a jego rękawiczki leżały w domu.

Co tam robiłeś, George?

Ciach, obwód przerwany.

Zanim dotarł do przystanku, wszystko przypominało historię, o której gdzieś przeczytał. Nic więcej.

Crestallen Street West jest długą, skręcającą w dół ulicą, z której rozciągał się piękny widok na park i przepiękny na rzekę, dopóki wraz z postępem nie pojawiły się na niej wieżowce. Stało się to przed dwoma laty. Zupełnie zasłoniły widok.

Numer 1241 to domek z garażem na jeden samochód. Ma podłużny trawnik, teraz nagi i czekający na śnieg - taki porządny -

który go przykryje. Podjazd jest asfaltowy, odnowiony poprzedniej wiosny.

Wszedł do domu i usłyszał dźwięki dobiegające z telewizora, nowego modelu, Zenitha - kupił go w lecie. Na dachu znajdowała się sterowana antena - sam ją tam ustawił. Mary była przeciwna ze względu na to, co ich czekało, ale on nalegał. Skoro można ją zamontować, dowodził, można też rozmontować przy wyprowadzce. Bart, nie bądź śmieszny. To tylko nadprogramowy wydatek... i nadprogramowa praca. Ale on ją przetrzymał i wreszcie powiedziała, że mu „ustąpi”. Tak mawiała w tych rzadkich wypadkach, kiedy zależało mu na czymś tak bardzo, że potrafił się przebić przez lepką maź jej argumentów. No dobrze, Bart. Tym razem ci „ustąpię”.

Właśnie oglądała Merva Griffina gawędzącego z gwiazdami. Tym razem gwiazdą był Lorne Green, mówiący o swoim nowym serialu policyjnym „Griff”. Lorne mówił Mervovi, jak doskonale się bawił przy realizacji filmu. Wkrótce pojawi się czarna wokalistka (kolorowa koloratura, pomyślał), o której nikt nigdy nie słyszał. Zaśpiewa jakąś piosenkę, na przykład „I left My Heart in San Francisco”.

- Cześć, Mary! - zawołał.

- Cześć, Bart.

Korespondencja na stoliku. Przerzucił koperty. List do Mary od jej z lekka świrującej siostry z Baltimore. Zestawienie wypłat z karty - trzydzieści osiem dolarów. Wyciąg z konta - wypłata 49, wpłata 9, ogółem 954,47. Dobrze, że w sklepie z bronią zapłacił American Express.

- Zrobiłam kawy! - zawołała Mary. - A może chcesz drinka?

- Drinka. Zrobię sobie.

Trzy inne zawiadomienia: ponaglenie z biblioteki, chodzi o „Facing the Lions” Toma Wickersa. Wicker przemawiał miesiąc temu u rotarian i było to najlepsze przemówienie, jakie tam słyszano od lat.

Wiadomość od Stephana Ordnera, wielkiej ryby z Amroco, korporacji, która niemal natychmiast pochłonęła „Blue Ribbon”. Ordner wzywał go na rozmowę w sprawie umowy z Waterford - czy piątek ci odpowiada? A może wyjeżdżasz na Święto Dziękczynienia? Jeśli tak, zadzwoń. Jeśli nie, przyprowadź Mary. Carla zawsze chętnie się z nią spotyka i tra ta ta, i ple ple ple.

Kolejny list z departamentu do spraw autostrad.

Stał i przyglądał się mu długo w szarym popołudniowym świetle wpadającym przez okno. Odłożył go na stolik. Zrobił sobie szkocką z lodem i poszedł z nią do salonu.

Merv ciągle gadał z Lorne'em. Kolory nowego zenitha były świetne, niemal niezemskie. Jeśli nasze rakety międzykontynentalne są tak samo dobre jak kolorowe telewizory, pomyślał, pewnego dnia czeka nas wielkie bum. Włosy Lorne'a były srebrne, najbardziej nieprawdopodobny odcień ze wszystkich możliwych odcieni srebra. Chłopcze, bo cię oskalpuję, pomyślał i zachichotał. Było to ulubione powiedzonko jego matki. Właściwie nie rozumiał, dlaczego wizja tysego Lora'e'a Greena była taka zabawna. Może to spóźniony łagodny atak hysterii po epizodzie w sklepie z bronią.

Uśmiechnięta Mary podniosła na niego oczy.

- Coś śmiesznego?

- Nie - odparł. - Tylko coś sobie pomyślałem.

Usiadł obok niej, musnął wargami jej policzek. Była wysoka, skończyła już trzydzieści osiem lat i znajdowała się na tym etapie, gdy uroda młodości zaczyna się decydować, jak będzie wyglądać w starszym wieku. Miała bardzo piękną skórę, piersi małe i niezbyt obwisłe. Strasznie dużo jadła, ale wściekły metabolizm nie pozwalał jej przytyć. Jeszcze przez dziesięć lat paradowanie w kostiumie kąpielowym na publicznej plaży nie będzie budzić w niej drżenia, bez względu na to, w jaki sposób bogowie postanowią pokierować jej losem. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że sam ma niewielki brzuszec. Co tam, Freddy, każdy dyrektor ma brzuszec. To symbol sukcesu, jak delta 88. Zgadza się, George. Dbaj o siebie, nie daj sobie zrobić krzywdy, a dożyjesz osiemdziesiątki.

- Jak ci dziś poszło? - spytała.

- Dobrze.

- Pojechałeś do tej nowej siedziby w Waterford? -

Nie.

Nie był w Waterford od końca października. Ordner o tym wiedział - pewnie mu ktoś o tym szeptnął - i stąd to wezwanie. Nowa siedziba miała się mieścić w opuszczonej fabryce tekstyliów, a ten cwaniutki agent od nieruchomości ciągle do niego dzwonił. Musimy zakończyć tę sprawę, powtarzał. Nie jesteście jedyni w kolejce. Przyjadę najszybciej, jak zdołam, odpowiedział cwaniutkiemu agentowi. Cierpliwości.

- A co z tym domem w Crescent? - spytała. - Tym ceglany.

- Nie dla nas. Chcą czterdzieści osiem tysięcy.

- Za coś takiego? - upewniła się z urazą. - Rozbój w biały dzień!

- No pewnie. - Pociągnął duży łyk. - Co tam u starej Bei z Baltimore?

- To, co zwykle. Teraz chodzi na hydroterapeutyczną grupę rozwoju świadomości. Ale numer, co? Bart...
- Aha - rzucił szybko.
- Bart, musimy się tym zająć. Dwudziesty stycznia coraz bliżej. Znajdziemy się na ulicy.
- Zrobię to najszybciej, jak zdołam. Cierpliwości.
- A ten mały na Union Street...
- Sprzedany - dokończył i osuszył szklanę.
- Właśnie o tym mówię - powiedziała z desperacją. - Dla nas dwojga byłby idealny. Za to, co miasto daje nam za dom i działkę, wyszlibyśmy na swoje.
- Nie podobał mi się.
- Ostatnio niewiele ci się podoba - zauważyła z zaskakującą goryczą. - Nie podobał mu się - poinformowała telewizor. Ciemnoskóra śpiewaczka była już w połowie piosenki.
- Mary, robię, co mogę.
- Odwróciła się i spojrzała na niego poważnie.
- Wiem, co czujesz do tego domu...
- Nie - powiedział. - Nie wiesz.

21 LISTOPADA 1973

Przez noc świat otulił się cienką kołderką śniegu, a kiedy drzwi autobusu rozsunęły się z sykiem i Dawes wysiadł, na chodniku zobaczył ślady osób, które szły tędy przed nim. Skierował się w stronę zakrętu Fir Street; autobus ruszył za nim z tygrysim warkotem. Potem minął go Johnny Walker, który jechał po drugi poranny odbiór. Johnny pomachał mu z szoferki biało-niebieskiej furgonetki pralni; on odpowiedział podobnym pozdrowieniem. Było parę minut po ósmej.

Pralnia zaczynała dzień o siódmej, gdy brygadzysta Ron Stone i Dave Stone, pracujący w hali pralniczej, przychodzili i włączali bojler. Dziewczyny od koszul meldowały się o siódmej trzydzieści, dziewczyny od prasowania przychodziły o ósmej. Nie znosił tych pralniczych podziemi, tej ciężkiej roboty i wyzysku, ale z jakiegoś perwersyjnego powodu pracujący tam ludzie lubili go. Mówili mu po imieniu. A on lubił ich, z wyjątkiem paru osób.

Przeszedł przez rampę wyładunkową i zapuścił się między kosze z pościelą z zeszłego wieczora, jeszcze niewyprasowaną. Każdy kosz był

przykryty szczelnie folią, żeby się nie kurzyło. Trochę dalej Ron Stone zacieśniał pas napędowy w starym milnorze, a Dave i jego pomocnik, wyrzucony z college'u Steve Pollack, ładowali motelową pościel do wielkich przemysłowych pralek.

- Bart! - ryknął na powitanie Ron Stone. Zawsze ryczał; po trzydziestu latach rozmawiania z ludźmi w szumie suszarek, prasowalnic, magli i pralek jego głos wyzbył się cichszych tonów. - Ten sukinsyn milnor ciągle nawala. Program wybielania tak się rozstroił, że Dave musi go obsługiwać ręcznie. I wirowanie się zaczyna.

- Klient kazał nam prac w innym proszku niż zawsze - odparł uspokajająco. - Za dwa miesiące...

- W tym waterfordzie?

- Aha - przyznał trochę niepewnie.

- Za dwa miesiące będziecie mnie mogli zamknąć w wariatkowie - zapowiedział Stone ponuro. - A te przenosiny... będzie gorzej niż na paradzie polskiego wojska.

- Będziemy mieli zlecenia, odkujemy się.

- Odkujemy się! Przez trzy miesiące się nie pozbieramy. A potem nadejdzie lato.

Skinał głową, nie chciał się w to zagłębiać.

- Co wysyłacie najpierw?

- Holiday Inn.

- Do każdej partii dodajcie pięćdziesiąt kilo ręczników. Wiesz, jak się zwykle piekła o ręczniki.

- Aha. Piekła się o wszystko.

- Ile dostałeś?

- Wpisali trzysta kilo. Większość po tych masonach. Zostali do poniedziałku. W życiu nie widziałem takich obleśnych prześcieradeł. Same stoją.

Skinał głową w stronę nowego chłopaka, Pollacka.

- Jak się sprawdza? - W „Blue Ribbon” rotacja pomocników była duża. Dave dawał im w kość, a wrzaski Rona najpierw ich przerażały, a potem wkurzały.

- Na razie w porządku. Pamiętasz tego ostatniego?

Pamiętał. Mały wytrzymał trzy godziny.

- Pamiętam. Jak mu było?

Ron Stone zmarszczył groźnie brwi.

- Nie pamiętam. Baker? Barker? Tak jakoś. W zeszły piątek spotkałem go w sklepie. Rozdawał ulotki o bojkocie sałaty czy czegoś tam.

Nieźle, co? Gość nie potrafi utrzymać roboty, więc zaczyna rozpowiadać wszystkim, jakie to okrutne, że Ameryka nie jest taka jak Rosja. Serce mi się łamie.

- Potem dasz Howarda Johnsona?
- Stone spojrział na niego z wyrzutem.
- Zawsze puszczam go najpierw.
- Do dziewiątej?
- Żebyś wiedział.

Dave pomachał mu ręką; Stone odmachnął. Poszedł na górę, przez pralnię chemiczną i księgowość do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem w obrotowym krześle i wyjął z pudełka rzeczy do przeczytania. Na biurku miał plakietkę z napisem:

***MYŚL!** To może być nowe
doświadczenie*

Nie przepadał za nią, ale trzymał ją, ponieważ dostał ją od Mary... kiedy to było? Przed pięcioma laty? Westchnął. Akwizytorzy, którzy go odwiedzali, śmiali się jak cholera z tego napisu, ale akwizytorzy śmieiliby się jak cholera, nawet gdyby im pokazać zdjęcie głodujących dzieci albo Hitlera kopulującego z Matką Boską.

Vinnie Mason - tajemniczy głos, szepczący w ucho Steve'a Ordnera - miał na swoim biurku napis:

MYŚ

No i co to ma znaczyć to MYŚ? Nawet akwizytor by się nie uśmiechnął, co, Fred? No masz, George, właśnie. Za oknem rozległ się głuchy warkot diesla; odwrócił się z krzesłem, żeby wyrzeć. Ci od autostrady szykowali się do rozpoczęcia nowego dnia. Koło pralni przejeżdżała platforma z dwoma buldożerami, a za nią sznur niecierpliwie warczących samochodów.

Z drugiego piętra nad pralnią chemiczną miał dobry widok na postępy budowy. Przecinała dzielnicę biurową i mieszkalną jak długa brązowa szrama, zabłocona blizna kooperacyjna. Sięgnęła już Guilder Street i przeorała park na Hebner Avenue, gdzie kiedyś, dawno temu, zabierał Charliego... Charlie był wtedy niemowlęciem. Jak się nazywał ten park? Nie pamiętał. Po prostu park na Hebner Avenue, Fred. Było tam też boisko baseballowe i kaczy staw z małym domkiem na środku. W lecie dach tego domku był zawsze oblepiony ptasimi gówienkami. Stały tam też huśtawki. Charlie miał pierwsze huśtawkowe

doświadczenie właśnie w parku na Hebner Avenue. Co o tym sądzisz, Freddy, starszku? Najpierw się przeraził i rozryczał, potem mu się spodobało, a kiedy trzeba było wracać do domu, rozryczał się, bo go zdjąłem. Zsikał się w majtki i na siedzenie samochodu, kiedy go wiozłem do domu. Czy to naprawdę już czternaście lat temu?

Minęła go kolejna platforma z wywrotką.

Dzielnicę Garson wyburzono jakieś cztery miesiące temu; znajdowała się o parę przecznic na zachód od Hebner Avenue. Parę biurów wynajmujących pomieszczenia firmom, dwa banki, a poza tym sami dentyści, kęgarze i ortopedzi. Ta dzielnica to nic wielkiego, ale Boże, serce się łamało na widok upadającego starego kina „Grand”. Chodził tam na swoje ulubione filmy we wczesnych latach pięćdziesiątych: „M jak morderstwo” z Rayem Millandem, „Dzień, w którym Ziemia stanęła” z Michaeliem Rennie. Ten ostatni puszczał niedawno, chciał to obejrzeć i zasnął jak kamień przed tym cholernym telewizorem. Obudził się dopiero na dźwięk hymnu narodowego, rozlał drinka na dywan i Mary prześwieciła go także za to.

Ach, ten „Grand” - to było coś. Teraz mają te nowe kina na przedmieściach, małe budyneczki na środku kilometrowego parkingu. Cinema I, Cinema II, Cinema III, Silver Multi Platinum Screen, Cinema MCMXLVII. Zabrał Mary do takiego kina w Waterford na „Ojca Chrzestnego”, zapłacił po 2,50 od łebka, a w środku wyglądało to jak obleśna kręgielnia. Nie było balkonu! W „Grandzie” podłoga w holu była z marmuru, mieli balkon i starą, cudną, zapapraną tłuszczem maszynę do popcornu, gdzie wielka porcja kosztowała dziesięć centów. Osobnik przedzierający bilet (za sześćdziesiąt centów sztuka) był ubrany w czerwony uniform jak odźwierny w hotelu i miał co najmniej sześćset lat. Zawsze skrzypiał to samo: „Miłej zabawy szanpaństwu życzę”. A w sali wisiał kryształowy żyrandol. Nikt nie chciał pod nim siadać, bo gdyby spadł, trzeba by człowieka zeszkrobywać z podłogi. Ten „Grand” był...

Zerknął na zegarek, czując się jak winowajca. Minęło prawie czterdzieści minut. Chryste, niedobrze. Stracił czterdzieści minut i wcale nie myślał zbyt wiele. Tylko o parku i „Grandzie”.

Coś z tobą nie tak, Georgie?

Możliwe, Fred. Całkiem możliwe.

Przesunął palcami po policzku pod okiem i po wilgoci, która na nich została, poznał, że płakał.

Zszedł na dół, żeby porozmawiać z Peterem, który odpowiadał za dostawy. Praca szła już pełną parą, prasowalnica łomotała i syczała nad pierwszymi prześcieradłami Howarda Johnsona, pralki warczały, że aż trzęsła się podłoga, a prasy robiły ssss-szaaa!

Peter powiedział, że załadowali furgonetkę numer cztery, czy chce ją sprawdzić, zanim wyjedzie do bazy? Nie chciał. Spytał, czy Holiday Inn już wyjechał. Peter powiedział, że właśnie się ładuje, ale ten dupek, który tam rządzi, aż dwa razy dzwonił w sprawie ręczników.

Pokiwał głową i wrócił na górę, żeby poszukać Vinnie Masona. Phyllis powiedziała, że Vinnie i Tom Granger wyszli do tej nowej niemieckiej restauracji, żeby potargować się o obrusy.

- Poproś Vinniego, żeby do mnie wstąpił, kiedy wróci.

- Dobrze. Pan Ordner dzwonił i chciał wiedzieć, czy pan do niego oddzwoni.

- Dziękuję.

Wrócił do gabinetu, przyjrzał się nowej korespondencji i zaczął ją wertować.

Jakiś sprzedawca chciał z nim porozmawiać o nowym przemysłowym wybielaczu „Plamoznik”. Skąd oni biorą te nazwy, pomyślał i odłożył wiadomość dla Rona Stone'a. Ron uwielbiał dręczyć Dave'a nowymi produktami, zwłaszcza jeśli mógł wydebić dwieście kilo darmowych próbek.

List z podziękowaniami z fundacji United. Odłożył go do przypięcia na tablicy ogłoszeń na dole.

Reklamówka mebli biurowych. Do kosza.

Reklamówka sekretarki telefonicznej, nagrywającej wiadomości do trzydziestu sekund. *Wyszedłem, idioto. Odwal się.* Do kosza.

List od kobiety, która wysłała do pralni sześć koszul męża i otrzymała je ze spalonymi kołnierzykami. Odłożył go na bok z westchnieniem do dalszego wyjaśnienia. Ethel znowu sobie chlapanęła do obiadu.

Zestaw do testowania wody. Odłożył go na bok do przedyskutowania po obiedzie z Ronem i Tomem Grangerem.

Reklamówka jakiegoś towarzystwa ubezpieczeniowego z Artem Linkletterem, który twierdził, że można bez trudu zarobić osiemdziesiąt tysięcy dolarów - trzeba tylko umrzeć. Do kosza.

List od cwaniutkiego agenta handlu nieruchomości, który znowu czepił się siedziby w Waterford. Twierdził, że znalazł się zainteresowany nią zakład obuwniczy, zakład samego Toma McAna, żadna firma

krzak, i przypomniał, że umowa dająca „Blue Ribbon” dziewięćdziesiąt dni do namysłu wygasa z dniem 26 listopada. *Strzeż się, nikczemny dyrektorze pralni, albowiem dni twoje są policzone.* Do kosza.

Kolejny sprzedawca dla Rona, tym razem z proszkiem występującym pod złowieszczym mianem „Eliminator”. Będzie ładnie pasować do „Plamoznika”.

Kiedy znowu wyjrzał przez okno, zadzwonił interkom. Vinnie wrócił z niemieckiej restauracji.

- Przyślij go do mnie.

Vinnie pojawił się po chwili. Był wysoki, miał dwadzieścia pięć lat i oliwkową karnację. Ciemne włosy układał w wystudiowane niedbałą grzywę. Był ubrany w ciemnoczerwoną sportową kurtkę i ciemnobrązowe spodnie. I muszkę. Elegancik z niego, co, Fred? Pewnie, George, pewnie.

- Jak się miewasz? - spytał Vinnie.

- Doskonale. Co słyhać z tą niemiecką restauracją?

Vinnie parsknął śmiechem.

- Szkoda, że tego nie widziałeś. Stary Szwab prawie padł na kolana, tak się ucieszył na nasz widok. Wykończymy „Universal” natychmiast, jak się przeniesiemy do tej nowej siedziby. Nie wysłali nawet reklamówki, nie tylko przedstawiciele. Ten Szwab chyba myślał, że do końca życia będzie musiał sam sobie prać obrusy. Ale co to za knajpa! Nie uwierzysz. Konkurencja nie ma szans. Ten zapach... Boże! - Za trzepotał dłońmi, jakby chciał go złowić. Wyjął z kieszeni sportowej kurtki paczkę papierosów. - Jak się rozkręca, zaraz zabieram tam Sharon. Dziesięć procent zniżki.

W jakimś dziwnym rozdwojeniu słyszał Harry'ego ze sklepu z bronią: „Za zakup powyżej trzystu dolarów dajemy dziesięć procent zniżki”.

Mój Boże, pomyślał. Naprawdę kupiłem wczoraj tę broń? Ja?

W tej części jego mózgu zgasło światło.

Hej, Georgie, co to...

- Jakie złożyli zamówienie? - spytał. Głos miał trochę schrypnięty, więc odchrząknął.

- Cztery do sześciuset obrusów tygodniowo, jak tylko się rozkręca. Plus serwetki. Wszystko z prawdziwego lnu. Chce, żebyśmy je prali w „Kremowym śniegu”. Powiedziałem, że nie ma sprawy.

Zaczął wyjmować papierosa z pudełka, wyjmował bardzo powoli, żeby mógł odczytać etykietkę. Oto coś, za co mógł naprawdę nie

znosić Vinniego Masona: te dziadowskie fajki. Napis na pudełku głosił:

PLAYER'S NAVY CUT
MEDIUM

Kto, na Boga, oprócz Vinniego palił jeszcze „Player's Navy Cut”? Albo „King Sano”? Albo „English Ovals”? Albo „Marvele”, „Murady” czy „Twisty”? Gdyby ktoś wypuścił na rynek papierosy pod nazwą „Gówno w papierku” albo „Czarne płuco”, Vinnie od razu zaczęły je palić.

- Powiedziałem, że do czasu przeprowadzki gwarantujemy mu usługę w ciągu dwóch dni - dodał Vinnie, obdarzając go jeszcze jednym przelotnym widokiem paczki. - Dopóki się nie przeprowadzimy do Waterford.

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. - Mam go zniszczyć, Fred? Jasne. Zetrzyj go na pył.

- Naprawdę? - Vinnie zapalił papierosa wąską złotą zapalniczką Zippo i uniósł brwi za kłębem dymu jak angielski aktor charakterystyczny.

- Wczoraj dostałem wiadomość od Steve'a Ordnera. Zaprasza mnie w piątek wieczorem na pogawędkę na temat siedziby w Waterford.

-Tak?

- Dziś rano, kiedy rozmawiałem na dole z Peterem Wassermanem, Steve Ordner znowu do mnie zadzwonił. Prosi, żebym się z nim skontaktował. Zdaje się, że bardzo mu na czymś zależy, nie sądzisz?

- Pewnie tak - mruknął Vinnie, produkując uśmiech numer dwa - śliska jezdnia, jechać ostrożnie.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto natchnął Steve'a Ordnera tym nagłym niepokojem. Bardzo mnie to ciekawi.

- Więc...

- Dajże spokój, Vinnie. Nie udawaj wstydlivej pokojówki. Jest dzięsiąta, a ja muszę jeszcze porozmawiać z Ordnerem, Ronem Stone'em i Ethel Gibbs w sprawie spalonych kołnierzyków. Ryleś pode mną, kiedy cię na chwilę spuściłem z oczu?

- No więc... Poszedłem z Sharon do St... do pana Ordnera w niedzielę na kolację...

- I przypadkiem chlapanęś, że Bart Dawes zwleka z siedzibą w Waterford, podczas gdy autostrada coraz bardziej się zbliża, co?

- Bart! - zaprotestował Vinnie. - Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, bardzo miło...

- Nie przeczę. Zaproszenie na audycję też należało do miłutkich. I sądzę, że nasza rozmowa przez telefon również będzie urzekająca. Nie o to chodzi. Sęk w tym, że zaprosił cię z żoną na kolację w nadziei, że rozpuścisz jadaczkę. I nie zawiódł się.

- Bart...

Wymierzył palec w Vinniego.

- Teraz mnie posłuchaj. Jeśli jeszcze raz rzucisz mi takie gówno pod nogi, zaczniesz szukać nowej pracy. Mówię poważnie.

Vinnie był wstrząśnięty. Zupełnie zapomniał o papierosie zwisającym mu między palcami.

- Vinnie, pozwól, że ci coś wyjaśnię - powiedział, znów przybierając normalny ton. - Wiem, że taki młodzieniec jak ty wysłuchał już ze sto tysięcy opowieści o tym, jak tacy starsi goście jak ja trzęśli światem, gdy byli w twoim wieku. Ale na tę sobie zasłużyłeś.

Vinnie otworzył usta, żeby zaprotestować.

- Nie sądzę, że zadałeś mi zdradziecki cios - ciągnął, wzniesioną ręką ucinając protesty Vinniego. - Gdybym tak uważał, od progu wręczyłbym ci wymówienie. Uważam, że jesteś zwyczajnie głupi. Zobaczyłeś ten wspaniały wielki dom, wypiłeś przed kolacją trzy drinki, potem była zupa i sałatka z sosem „Tysiąc wysp”, potem bajeranckie drugie danie, wszystko podawała pokojówka w czarnej sukience, Carla odgrywała panią na zamku - choć absolutnie nie traktowała cię z góry - i był też tort truskawkowy albo placek z jagodami i bitą śmietaną na deser, a potem parę koktajli, no i jakoś tak po prostu rozpuściłeś jadaczkę. Zgadza się?

- Mniej więcej - mruknął Vinnie. Jego mina wyrażała trochę wstydu i bardzo dużo ślepej furii.

- Zaczął, pytając, co u Barta. Powiedziałeś, że wszystko gra. On powiedział, że Bart jest cholernie przyzwoitym gościem, ale byłoby miło, gdyby się trochę pospieszył z tym Waterford. A ty powiedziałeś, że tak, rzeczywiście. On na to: a właśnie, jak tam te sprawy? Ty: To nie moja działka, naprawdę, a on: Nie czaruj, Vincencie, wiesz dobrze, co się tam dzieje. Więc mu powiedziałeś: Wiem tylko, że Bart jeszcze nie podpisał umowy. Słyszałem, że ludzie Thoma McAna są zainteresowani siedziabą, ale może to plotka. Wtedy on powiedział: No, Bart na pewno wie, co robi, a ty: No jasne, że wie, i pojawił się nowy koktajl, potem Steve cię spytał, jak według ciebie poradzą sobie w rozgrywkach Mustangi i wreszcie wróciliście do domu i wiesz, kiedy się tam znowu znajdziesz?

Vinnie nie odpowiedział.

- Znajdziesz się tam, kiedy Steve Ordner będzie znowu potrzebował kapusia. Wiesz?

- Przepraszam - burknął Vinnie. Chciał wstać.

- Jeszcze nie skończyłem.

Vinnie opadł na krzesło i wbił płonący wzrok w kąt pokoju.

- Dwanaście lat temu robiłem to samo co ty, wiesz? Dwanaście lat, dla ciebie to pewnie długo. Ja nie mam pojęcia, gdzie, do kurwy nędzy, podziały się te lata. Ale pamiętam tę pracę tak dobrze, że wiem, jak ci się podoba. I że jesteś dobry. Ta reorganizacja prania chemicznego z nowym systemem numeracji... To było dzieło sztuki.

Vinnie wytrzeszczył na niego oczy.

- Zacząłem pracować w pralni dwadzieścia lat temu. W 1953 miałem dwadzieścia lat. Właśnie się ożeniłem. Zrobiłem dwa lata zarządzania; nie zamierzaliśmy się spieszyć, ale wierzyliśmy w stosunek przerywany. Ktoś zatrzasnął drzwi na dole i przestraszył mnie tak, że dostałem orga zmu. Mary zaszła w ciążę. Dlatego kiedy nachodzi mnie filozoficzny nastrój, myślę sobie, że jedno trzaśnięcie drzwi zrobiło ze mnie człowieka, którym dziś jestem. Upokarzające. W tamtych czasach prawo nie pozwalało na aborcję. Jak się zrobiło dziecko dziewczynie, trzeba się było z nią ożenić. Koniec możliwości. Ożeniłem się z nią i wziąłem pierwszą pracę, jaka mi wpadła w ręce. Pomocnik w pralni, dokładnie to samo, co robi ten mały Pollack. W tamtych czasach wszystko robiło się ręcznie, trzeba było wszystko wywlec z pralek i załadować do wielkiej wyzymaczki, w której mieściło się dwieście kilo mokrej bielizny. Jeśli się ją załadowało nie tak, jak należy, można było stracić stopę. Mary poroniła w siódmym miesiącu, lekarz powiedział, że już nigdy nie będziemy mieć dziecka. Przez trzy lata robiłem jako pomocnik, za pięćdziesiąt pięć godzin dostawałem pięćdziesiąt pięć dolarów. Potem Ralph Albertson, który był wtedy kierownikiem, miał drobną stłuczkę i zmarł na atak serca na ulicy, wymieniając się z tym drugim numerami firm ubezpieczeniowych. Świetny był z niego człowiek. Kiedy go pochowali, jak należy, poszedłem do Raya Tarkingtona i poprosiłem o posadę Ralpha. Byłem całkiem pewien, że mijają da, bo o praniu wiedziałem wszystko. Ralph mnie nauczył.

Wtedy była to firma rodzinna, Vinnie. Ray i jego ojciec, Don Tarkington. Don odziedziczył ją po swoim ojcu, który założył „Blue Ribbon” w 1926. Nie uznawali związków pracy, więc można chyba powiedzieć, że byli paternalistycznymi wyzyskiwaczami klasy pracującej. I tak było. Ale kiedy Betty Keelson pośliznęła się na mokrej podłodze i zła mała ręce, Tarkingtonowie zapłacili za szpital i dawali jej dziesięć do-

lców tygodniowo na jedzenie, dopóki nie wróciła do pracy. A co roku na Gwiazdkę wyprawiali wielkie przyjęcie w metkowni - najlepsze na świecie kurze paszteciki, galaretkę żurawinową, rolady i najróżniejsze czekolady i puddingi. Don i Ray dawali na Gwiazdkę każdej kobiecie kolczyki, a mężczyźni nowiućki krawat. Nadal mam te dziewięć krawatów w szafie w domu. Gdy Don Tarkington zmarł w 1959, włożyłem jeden z nich na jego pogrzeb. Zrobił się już niemodny i Mary się po mnie przejechała, lecz i tak w nim poszedłem. W pralni panował półmrok, pracowało się długo, a robota była brudna, ale ludzie sobie pomagali. Jeśli wyżymaczka się zepsuła, Don i Ray natychmiast schodzili do nas, zakasywali rękawy i wyżymali bieliznę ręcznie. Tak wyglądały wtedy rodzinne firmy. Właśnie tak.

Dlatego kiedy Ralph umarł, a Ray Tarkington powiedział, że już zatrudnił kogoś z zewnątrz, nie mogłem pojąć, co jest grane, do ciężkiej cholery. A Ray powiedział: mój ojciec i ja chcemy, żebyś wrócił na studia. A ja na to: świetnie, tylko za co? Za żetony? Na co on wręcza mi czek na dwa tysiące dolarów. Spojrzałem na niego i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Co to jest? - pytam. A on na to: to i tak za mało, ale wystarczy na chesne, pokój i książki. Na resztę zapracujesz tutaj przez lato, dobrze? A ja: jak mam panu dziękować? Na to on: są na to trzy sposoby. Po pierwsze, zwróć mi pożyczkę. Po drugie, razem z odsetkami. Po trzecie, wróć do nas z tym, czego się nauczyłeś. Zabrałem ten czek do domu, pokazałem Mary, a ona się rozplakała. Zasłoniła twarz rękami i zaczęła płakać.

Vinnie gapił się na niego w osłupieniu.

- I tak w 1955 wróciłem na studia, a w 1957 zrobiłem dyplom. Wróciłem do pralni, a Ray zatrudnił mnie jako kierownika kierowców. Działo się wiedziesiąt dolarów za tydzień. Kiedy spłaciłem pierwszą ratę pożyczki, spytałem Raya, na jaki procent mi ją pożyczył. Na jeden, odpowiedział. Co?! Słyszaleś, mówi. Nie masz czegoś do roboty? Więc mówię: Mam, chyba pojedę do miasta po doktora, bo trzeba panu zba dać głowę. Ray zaczął się śmiać jak wszyscy diabli i kazał mi spadać. Ostatnią ratę spłaciłem w 1960 i wiesz co, Vinnie? Ray dał mi zegarek. Ten.

Podciągnął mankiet i pokazał Vinniemu bulova na złotej bransolecie.

- Powiedział, że to spóźniony prezent dyplomowy. Zapłaciłem za moje wykształcenie dwadzieścia dolarów odsetek, a ten skurczysyn jesz cze mi podarował zegarek za osiemdziesiąt dolców. Na kopercie jest wy grawerowane: „Wszystkiego najlepszego od Dona i Raya z pralni «Blue Ribbon»”. Don leżał już wtedy od roku w grobie.

W 1963 Ray dał mi twoją posadę, nadzorowanie pralni chemicznej, otwieranie nowych kont i prowadzenie filii pralni samoobsługowych - ale wtedy było ich pięć, nie jedenaście. Poprzestałem na tym aż do 1967, po czym Ray powierzył mi to stanowisko. Potem, cztery lata temu, musiał sprzedać firmę. Wiesz o tym, wiesz, jak te dranie go przycisnęły. Zrobili z niego starca. Teraz weszliśmy do korporacji, która ma jeszcze z dziesięć innych biznesów - fast foody, golf, te trzy paskudne domy towarowe, stacje benzynowe, cały ten chłam. A Steve Ordner to zwyczajny brygadzysta z awansu. Gdzieś w Chicago lub Gary siedzi rada nadzorcza, która poświęca naszym pralniom może piętnaście minut tygodniowo. Gównu ich obchodzą. Gównu o nich wiedzą. Umieją tylko czytać księgi rachunkowe, to potrafią. Księgowy mówi: słuchajcie, autostrada 784 ma przejść przez Westside, pralnia stoi jej na drodze wraz z połową dzielnicy. Na to dyrektorzy mówią: o, naprawdę? Ile dają nam za teren? I tyle na ten temat. Jezu, gdyby Don i Ray Tarkingtonowie żyli, pozwaliby do sądu ten tandetny departament autostrad i przywaliliby mu taką karę, że nie otrząsnąłby się aż do roku 2000. Przykopaliby mu, że aż by echo poszło. Może i byli wyzyskiwaczami, ale wiernymi jednemu miejscu, Vinnie. Tego nie da się wycenić. Gdyby jeszcze żyli i ktoś by im powiedział, że komisja postanowiła pogrzebać pralnię pod ośmioma pasami asfaltu, pobiegliby z krzykiem do ratusza.

- Ale oni nie żyją - odezwał się Vinnie.

- Tak. Nie żyją. Racja. - Jego umysł nagle oklapł, rozstroił się jak kiepska gitara. To, co chciał powiedzieć Vinniemu, utonęło w magmie krępujących osobistych wyznań. Widzisz, Freddy, on nie ma pojęcia, o czym mówię. Nie ma zielonego pojęcia. - Dziękuję Bogu, że nie muszą na to patrzeć.

Vinnie milczał. Opanował się z wysiłkiem.

- Chcę przez to powiedzieć, że w tę sytuację zamieszane są dwie grupy. Oni i my. My jesteśmy z pralni. Tym się zajmujemy. Oni to księgowi. Tym się zajmują. Wysyłają nam odgórne rozkazy, do których musimy się stosować. Ale na tym nasze obowiązki się kończą. Rozumiesz?

- Jasne - powiedział Vinnie, lecz było widać, że nic nie kapuje. On sam także nie był pewien, czy coś z tego rozumie.

- Dobrze - powiedział. - Pogadam z Ordnerem. I, do twojej informacji, siedziba w Waterford jest już właściwie nasza. W przyszły wtorek sfinalizujemy umowę.

Vinnie rozpromienił się z ulgą.

- O Jezu, to dobrze.

- Tak. Wszystko pod kontrolą.

Kiedy Vinnie był w drzwiach, jeszcze za nim zawołał:

- Powiesz mi, jaka jest ta niemiecka restauracja, dobra?

Vinnie Mason posłał mu uśmiech numer jeden, wszystkie silniki pod parą.

- No pewnie.

Vinnie wyszedł, a on siedział, patrząc na zamknięte drzwi. Narozrabiałem, Fred. Nie sądziłem, że tak to spaprzesz, George. Może jednak straciłeś panowanie, no, ale tylko w książkach ludzie zawsze mówią odpowiednie rzeczy w odpowiednim czasie. Nie, spieprzyłem to. Wyszedł stąd, myśląc, że Barton Dawes ma nierówno pod sufitem. Boże, ratuj, on ma rację. Muszę cię o coś spytać, jak mężczyzna mężczyzną. Nie, nie wyłączaj mnie. Po co kupiłeś broń, George? Na co ci ona?

Ciach, wyłączniczek.

Zszedł na parter, dał Ronowi Stone'owi listy od sprzedawców i odszedł, słysząc, jak Ron ryczy na Dave'a, żeby przyszedł i spojrział na to tutaj, może coś z tego będzie. Dave przewrócił oczami. Tak, może coś z tego nawet będzie. Niektórzy nazywają to pracą.

Poszedł na górę i zadzwonił do Ordnera z nadzieją, że Ordner wyszedł na jednego głębszego. Nie dziś. Sekretarka połączyła go natychmiast.

- Bart! - wykrzyknął Steve Ordner. - Jak miło cię słyszeć!

- I wzajemnie. Niedawno rozmawiałem z Vinnie Masonem. Chyba odniósł wrażenie, że niepokoisz się o siedzibę w Waterford.

- Dobry Boże, skąd! Choć pomyślałem, że przy okazji, na przykład w piątek wieczorem, moglibyśmy obgadać parę nowych spraw...

- Tak, ale właściwie dzwonię z wiadomością, że Mary nie może przyjść.

-O?

- Jakiś wirus. Dziewczyna nie śmie oddalić się od wychodka na pięć sekund.

- Przykro mi to słyszeć.

A ugryź się, ty złamasie.

- Doktor dał jej jakieś pigułki i chyba się jej polepszyło, ale to może być... no wiesz, zaraźliwe.

- O której możesz do nas przyjść? O ósmej?

- Tak, w porządku.
- Jasne, stary fiucie, dla ciebie poświęcę nocne kino. Jak zwykle.
- Jak tam sprawy Waterford? Postępy?
- To nie jest rozmowa na telefon.
- Świetnie. - Kolejna pauza. - Carla cię pozdrawia. Powiedz Mary, że oboje...
- Jasne. Super. Ple ple ple.

22 LISTOPADA 1973

Obudził się z drgnięciem, które strąciło poduszkę na podłogę. Przestraszył się, że krzyknął, ale Mary spała twardo na sąsiednim łóżku, ciche zarys w ciemnościach. Na tarczy elektronicznego budzika na biurku widniało:

4:23

Kliknęła następna minuta. Budzik dostali na Gwiazdkę od starej Bei z Baltimore, tej od hydroterapii rozwijającej świadomość. Nie sposób było się przyzwyczaić do tego klikania zmieniających się cyferek. 4:23, klik, 4:24, klik - można od tego oszaleć.

Zszedł do łazienki, włączył światło, oddał mocz. Serce znowu zaczęło mu ciężko łomotać w piersi. Ostatnio przy oddawaniu moczu jego serce zachowywało się jak cholerny werbel. Chcesz mi o czymś powiedzieć, Boże?

Wrócił do łóżka i położył się, ale sen długo nie nadchodził. W nocy rzucał się na łóżku, posłanie zmieniło się w terytorium wroga. Nie mógł go wygładzić. Ręce i nogi także zapomniały, jak się układać do snu.

Ten sen dawał się wytłumaczyć. Bez obaw, Fred. Można sobie poradzić na jawie, kiedy ma się wyłącznik; można kolorować obrazek kawalek po kawalku i udawać, że nie widzi się całości. Można zakopać obraz pod podłogą umysłu. Ale w tej podłodze są ukryte drzwi. Kiedy nadchodzi sen, czasami się otwierają i coś wypelza z ciemności. Klik.

4:42

We śnie znalazł się z Charliem na plaży Pierce Beach (śmieszne, kiedy uszczęśliwił Vinniego Masona swoją autobiografią w wersji skróconej, jakoś zapomniał o Charliem - śmieszne, Fred, co? Nie, George,

mnie to nie bawi. Mnie też nie, Fred. Ale już za późno. Albo za wcześnie. Albo co).

Znajdował się z Charliem na tej długiej białej plaży, a pogoda była idealna - czyste niebieskie niebo i słońce promieniejące jak jedna z tych idiotycznych żółtych uśmiechniętych buziek. Ludzie siedzieli na kolorowych ręcznikach i pod różnobarwnymi parasolami, dzieci brodziły przy brzegu z plastikowymi wiaderkami. Ratownik siedział na bielonej wieżyczce, brązowy jak piernik, w białych lateksowych kąpielówkach z nabrzmiałym kroczem, jakby przede wszystkim penis i jądra kwalifikowały ludzi do jego pracy i chciał pokazać wszystkim, że się nadaje. Jakieś tranzystorowe radio ryczało rock and rolla; nawet on pamiętał tę melodię:

*Ale kocham tę brudną wodę,
Ouuu, Boston to mój dom.*

Obok przeszły dwie dziewczyny w bikini, zdrowe i doskonałe, o pięknych ponętnych ciałach, nie dla ciebie, lecz dla chłopców, których nikt nie widział na oczy; palcami rozrzucały maleńkie wachlarzyki piasku.

A było to śmieszne, Fred, ponieważ nadchodziła fala, a na Pierce Beach nigdy nie widziano żadnej fali, ponieważ najbliższy ocean znajdował się pięćset kilometrów dalej.

Budował z Charliem zamek z piasku, ale zaczęli za blisko wody i nadpływające fale sięgały coraz dalej.

Musimy się cofnąć, tato, powiedział Charlie, ale on uparł się i budował dalej. Kiedy fala sięgnęła pierwszej ściany, wyłobił palcami fosę, rozchylając mokry piasek jak kobiecy srom. Woda napływała coraz bardziej.

Niech cię szlag, wrzasnął na nią.

Odbudowa! ścianę. Fala ją zmyła. Ludzie zaczęli coś krzyżeć. Inni uciekali. Gwizdek ratownika świsnął jak srebrna strzała, ale on nie podniósł głowy. Musiał uratować zamek. Woda nadpływała, chlupotała mu wokół kostek, wciągnęła z siorbnięciem wieżę, dach, tyły zamku, wszystko. Ostatnia fala cofnęła się, obnażając gładki piasek, ubity, płaski, brązowy, lśniący.

Znowu krzyki. Ktoś krzyczy. Podniósł głowę i zobaczył, że ratownik reanimuje Charliego oddychaniem usta-usta. Charlie był cały mokry i biały, z wyjątkiem powiek i ust, które posiniały. Jego pierś się nie poruszała. Ratownik przestał się starać. Podniósł głowę. Uśmiechał się.

Stracił głowę, mówił jego uśmiech. Czy to nie wtedy odszedłeś?
Krzyknął: Charlie! I wtedy się obudził w strachu, że krzyknął na-
prawdę.

Długo leżał w ciemnościach, słuchając klikania elektronicznego bu-
dzika i usiłując nie myśleć o tym, co mu się przyśniło. Wreszcie wstał
i poszedł do kuchni po szklankę mleka; dopiero kiedy zobaczył indy-
ka rozmrażającego się na talerzu stojącym na stole, zdał sobie sprawę,
że dziś jest Święto Dziękczynienia i pralnia będzie zamknięta. Wypił
mleko, w zamyśleniu przyglądając się oskubanemu ptakowi. Skóra miała
taki sam kolor jak skóra jego syna we śnie. Ale Charlie przecież nie
utonął.

Kiedy wrócił do łóżka, Mary wymamrotała coś przez sen, ochryple
i bełkotliwie.

- Nic - powiedział. - Śpij dalej.

Mruknęła coś jeszcze.

- Dobrze - powiedział w ciemność.

Zasnęła.

Klik.

Zrobiła się piąta, piąta rano. Kiedy wreszcie zapadł w drzemkę, świt
wkradł się już do sypialni jak złodziej. Jego ostatnią myślą był świętecz-
ny indyk, który leżał na kuchennym stole w zimnym palącym blasku
jarzeniówki, martwe mięso bezmyślnie czekające na pożarcie.

23 LISTOPADA 1973

Zajechał swoim dwuletnim LTD na podjazd Stephana Ordnera za
pięć ósma i zaparkował go koło jego delty 88 w kolorze butelkowej
zieleni. Zbudowany z polnych kamieni dom stał z dala od jezdni, czę-
ściowo ukryty za wysokim ligustrem, który teraz, pod koniec jesieni,
wyglądał jak szkielec.

Był już tutaj, dobrze znał ten dom. Na parterze znajduje się wielki
kamienny kominek, w sypialniach na górze są inne, ale skromniejsze.
Wszystkie działają. W piwnicy stoi stół do bilarda, ekran do wyświe-
tlania filmów i zestaw stereo, który Ordner rok temu przerobił na kwa-
drofoniczny. Ściany upstrzone zdjęciami Ordnera z czasów studenckich
meczków baseballu - miał metr dziewięćdziesiąt i nadal był w formie.
Wchodząc przez drzwi, musiał się pochylać i prawdopodobnie był z te-
go dumny. Może nawet kazał w tym celu obniżyć futryny. Stół w salo-

nie wyglądał jak pień wypolerowanego dębu, miał tak na oko ze trzy metry. Do kompletu z nadgryzioną przez korniki komodą, lśniąco-góracym blaskiem spod sześciu czy ośmiu warstw lakieru. Wysoka serwantka po drugiej stronie pokoju; miała jakieś... pewnie z metr osiemdziesiąt, co Fred? Aha, mniej więcej. W ogródku zapadnięty grill, tak wielki, że można by na nim upiec dinozaura, i powoli zieleniejący. I nie ma basenu w kształcie nerki. Baseny w kształcie nerki wyszły z mody. To coś dla czczących Ra mieszczan z południowej Kalifornii. Ordnerowie nie mieli dzieci, ale wspierali finansowo dziecko z Korei i Wietnamu Południowego, a także posłali jednego Ugandyjczyka na studia inżynierskie, żeby mógł wrócić do domu i budować hydroelektrownie. Byli demokratami ze względu na Nixona.

Żwir zachrząścił mu pod stopami. Wcisnął guzik dzwonka. Drzwi otworzyła pokojówka.

- Dawes - powiedział.

- Oczywiście. Poproszę o pański płaszcz. Pan Ordner oczekuje pana w gabinecie.

- Dziękuję.

Wręczył jej płaszcz i przeszedł korytarzem obok kuchni i salonu. Tylko jedno zerknięcie na pień dębu, pomnik przyrody Stephana Ordnera. Dywan na podłodze się skończył i zaczęła się podłoga z woskowanego linoleum w czarno-białą szachownicę. Jego buty stuknęły głośno.

Ledwie stanął przed drzwiami gabinetu, Ordner otworzył je w chwili, gdy sięgał ku klamce. Tego się spodziewał.

- Bart! - zawołał Ordner. Uścisnęli sobie dłonie. Ordner miał na sobie marynarkę z brązowego sztruksu, z łatami na łokciach, oliwkowe spodnie i wiśniowe kapcie. Był bez krawata.

- Cześć, Steve. Jak interesy?

Ordner jęknął teatralnie.

- Strasznie. Zaglądałeś ostatnio na stronę giełdową? - Zaprosił go do środka i zamknął za nim drzwi. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy książek. Na lewo znajdował się mały kominek elektryczny. Na środku wielkie biurko z jakimiś dokumentami. Wiedział, że gdzieś na tym biurku jest ukryta elektryczna maszyna do pisania IBM; wystarczy przycisnąć odpowiedni guzik, a wypłynie na powierzchnię jak smukła i czarna torpeda.

- Trzęsie się w posadach.

Ordner się skrzywił.

- To mało powiedziane. Możemy za to podziękować Nixonowi, **Bart**. On znajdzie zastosowanie dla wszystkiego. Kiedy południowa Azja wywalała teorię domina na śmieci, on ją wyjął i zastosował w amerykańskiej ekonomii. Tam się nie sprawdziła, tu i owszem. Czego się napijesz?

- Szkockiej z lodem.

Ordner podszedł do barku, wyjął z niego butelkę drogiej szkockiej i zalał nią dwie kostki lodu w masywnej szklance. Podał ją mu i powiedział:

- Usiądźmy.

Usiedli w wysokich fotelach przy kominku elektrycznym. Gdybym rzucił tu drinka, pomyślał, cały ten kurewski dom stanąłby w płomieniach. Omal tego nie zrobił.

- Carla też nie przyjdzie - odezwał się Ordner. - Jedna z jej grup sponsoruje pokaz mody. Carla musi się wybrać do jakiejś młodzieżej kawiarni w Norton.

- Pokaz się tam odbędzie?

Ordner spojrzał na niego, zdumiony.

- W Norton?! W życiu. W Russell. Nie puściłbym Carli do Norton nawet z dwoma ochroniarzami i psem policyjnym. Jest tam taki du chowny... Drake, tak się chyba nazywa. Strasznie pije, ale te małe zło dziejaszki go kochają. Niezła postać. Naucz na ulicy.

-O. -

Tak.

Przez minutę spoglądali w płomienie. Zdążył wypić połowę swojej szkockiej.

- Na ostatnim zebraniu zarządu padło pytanie o siedzibę w Waterford - powiedział Ordner. - Tak w połowie listopada. Musiałem przyznać, że w tej sprawie jestem na razie jak w lesie. Dostałem... eee... pozwolenie na zbadanie sytuacji. To nie ma wpływu na naszą opinię o tobie, Bart...

- Oczywiście - odparł i wypił jeszcze trochę szkockiej. W szklance nie zostało prawie nic; tylko parę kałuży alkoholu pomiędzy kostkami lodu a szkłem. - Zawsze mi miło, kiedy mamy okazję razem pracować.

Ordner zrobił zadowoloną minę.

- Więc o co chodzi? Vinnie Mason powiedział, że umowa jeszcze nie jest sfinalizowana.

- Vinnie Mason za szybko mówi, a za wolno myśli.

- Więc jest zamknięta?

- Zamykamy ją. Jeśli nic się nie wydarzy, w następny piątek Waterford będzie nasze.

- Dano mi do zrozumienia, że agent nieruchomości złożył nam bardzo przyzwoitą ofertę, którą odrzuciłeś.

Spojrzał na Ordnera, wstał i dopił resztę drinka.

- Nie dowiedziałeś się tego od Vinniego Masona.

-Nie.

Wrócił na fotel przy kominku elektrycznym.

- Pewnie mi nie powiesz, kto ci powiedział?

Ordner rozłożył ręce.

- Taka praca, Bart. Kiedy się o czymś dowiaduję, muszę to sprawdzić, nawet jeśli całe moje osobiste i zawodowe doświadczenie podpowiada mi, że to coś jest wyssane z palca. Paskudna sprawa, ale nie ma się o co wściekać.

Freddy, nikt oprócz agenta i mnie nie wiedział o tym odrzuceniu. Zdaje się, że pan Taka Praca zaczął mnie sprawdzać na własną rękę. Ale nie ma się o co wściekać, zgadza się? Jasne, George. Mam go roznieść na strzępy, Freddy? Nie, spokojnie, George. A ja przestanę tankować wodę ognistą.

- Nie zgodziłem się na kwotę czterystu czterdziestu - powiedział. - A tak dla ścisłości, o czym się dowiedziałeś?

- Tylko o tym.

- I uznałeś, że to prawdopodobne.

- No... - Ordner założył nogę na nogę. - Tak jakby. Zarząd miasta wycenił ten stary budynek na sześćset dwadzieścia, a bojler można przewieźć. Oczywiście nie ma tam za dużo miejsca, ale chłopaki z zarządu twierdzą, że skoro główna siedziba firmy ma optymalne rozmiary, nie ma sensu szukać większej przestrzeni. Uznałem, że moglibyśmy wyjść na swoje, może nawet trochę zarobić... choć nie to jest naszym głównym celem. Musimy znaleźć nową lokalizację, Bart. I to gazem.

- Może słyszałeś coś jeszcze?

Ordner przełożył nogi i westchnął.

- Owszem. Słyszałem, że nie zgodziłeś się na czterysta pięćdziesiąt, a potem pojawił się Thom McAn i zaproponował pięćset.

- Czego nasz agent nie może zaakceptować w dobrej wierze.

- Jeszcze nie, ale musimy się zdecydować do wtorku. Wiesz o tym.

- Wiem. Steve, coś ci wytłumaczę, dobrze?

- Bardzo proszę.

- Po pierwsze Waterford jest oddalone co najmniej o dwa kilometry od naszych kontrahentów - co najmniej, powtarzam. A to znaczy, że wszystkie operacje będą trwały dłużej. Wszystkie motele znajdują się przy

autostradzie między stanowej. Co gorsza, nasz cykl produkcyjny się wydłuży. Holiday Inn i Hojo już teraz się na nas wydzierają, jeśli spóźnimy się z ręcznikami o piętnaście minut. A co się stanie, kiedy furgonetki będą się musiały przedzierać przez całe miasto i ugrzęzną w korkach? Ordner kręcił głową.

- Bart, autostrada się rozbudowuje. Właśnie dlatego musimy się przeprowadzić, pamiętasz? Nasi chłopcy twierdzą, że czas dostaw się nie wydłuży. Może nawet się skróci. Ponadto twierdzą, że właściciele moteli już kupili dobre działki w Waterford i Russell. Przenosiny do Waterford poprawią naszą pozycję.

Niedobrze, Freddy. Patrzy na mnie, jakby mi się pomieszało w głowie. Nie? A jak, George. Właś-nie. Uśmiechnął się.

- Dobrze. Punkt dla ciebie. Ale te motele pojawią się najwcześniej za rok, może za dwa. A jeśli benzyna nadal będzie taka droga...

- To decyzja dotycząca polityki firmy - powiedział sucho Ordner.

- My jesteśmy tylko żołnierzami. Wykonujemy rozkazy. - Zabrzmiało to trochę jak nagana.

- Dobrze, chciałem tylko przedstawić swoje poglądy.

- Świetnie. Przedstawiłeś. Ale nie my ustalamy politykę firmy, mówię to wprost. Jeśli skończą się nam zapasy benzyny, a motele zbankrutują, weźmiemy to pod uwagę, jak wszyscy inni. A na razie lepiej nie denerwować chłopaków z zarządu.

Zostałem skarcony, Fred. Zgadza się, George.

- Dobrze. Jest jeszcze coś. Według moich obliczeń remont budynku w Waterford pochłonie dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Co?! - Ordner głośno odstawił szklankę.

Aha! Freddy, dotknęliśmy bolesnego miejsca.

- Ściany są zagrzybione. Tynk na wschodniej i północnej ścianie prawie zupełnie odpadł. A podłogi są w takim stanie, że pierwsza pralka, którą tam wstawimy, wpadnie do piwnicy.

- Czy to pewne? Te dwieście pięćdziesiąt?

- Pewne. Musimy odnowić wszystko z zewnątrz. Dać nowe podłogi, na parterze i piętrze. Nad instalacjami pięciu elektryków będzie pracować przez dwa tygodnie. Te stare nie wytrzymają obciążenia. A skoro będziemy tak oddaleni od wszystkich elektrowni i wodociągów, gwarantuję, że rachunki za prąd i wodę będą wyższe o dwadzieścia procent. Możemy jeszcze jakoś znieść wyższe rachunki za prąd, ale chyba nie muszę ci mówić, co oznacza dla pralni droższa woda.

Ordner gapił się na niego wstrząśnięty.

- Ale zapomnij, co ci powiedziałem o wyższych rachunkach. Te koszty dotyczą funkcjonowania pralni, nie renowacji. Gdzie to byłem? Trzeba wymienić wszystkie instalacje. Musimy kupić dobry alarm przeciwwłamaniowy i sieć monitorów. Nowa izolacja. Nowy dach. A tak, i kanalizacja. Na Fir Street mamy dobry grunt, ale Douglas Street jest położona na dnie naturalnego wąwozu. Sam system kanalizacyjny będzie kosztował od czterdziestu do siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

- Rany boskie, dlaczego Tom Granger mi o tym nie powiedział?

- Nie poszedł na inspekcję budynku.

- Dlaczego?

- Bo kazałem mu zostać w zakładzie.

-Co?!

- Właśnie wtedy zepsuł się piec - wyjaśnił cierpliwie. - Mieliliśmy mnóstwo zleceń i brakowało gorącej wody. Tom musiał zostać. Z nas wszystkich tylko on potrafił sobie poradzić z piecem.

- Jezu Chryste, Bart, nie mogłeś go tam wysłać kiedy indziej?

Dopił drinka.

- Nie widziałem sensu.

- Nie widziałeś... - Ordner nie mógł skończyć. Odstawił szklanę i po trząśnięciu głową jak człowiek, który dostał w szczękę. - Wiesz, co się sta nie, jeśli twoje obliczenia są błędne i stracimy tamten budynek? Stanie się to, że wylecisz z roboty, właśnie to się stanie. Chcesz to zrobić Mary? Te go chcesz?

Nic nie rozumiesz, pomyślał, ponieważ nigdy nie zrobiłeś żadnego ruchu, jeśli nie byłeś zabezpieczony z sześciu stron i nie miałeś trzech kaskaderów. Tak zdobyłeś te czterysta tysięcy w akcjach i obligacjach, deltę 88 i maszynę do pisania, która wyskakuje z biurka jak diabeł z pudełka. Ty dumny palancie, mógłbym cię oszukiwać przez dziesięć lat. Mógłbym to zrobić.

Uśmiechnął się do skamieniałej twarzy Ordnera.

- I to jest ostatnia rzecz, Steve. Właśnie dlatego się nie martwię.

- Jak to?

- Thom McAn już powiadomił naszego agenta, że nie jest zainteresowany budynkiem. Przysłali swoich ludzi na inspekcję i wściekli się jak diabli. Dlatego daję ci słowo, że to miejsce nie jest warte czterystu pięćdziesięciu. Dziewięćdziesięciodniowy okres, który dano nam do namysłu, kończy się we wtorek. A także mamy cwaniutkiego agenta na-

zwiskiem Monohan, który nas wpuszcza w maliny. Już mu się prawie udało - skłamał z satysfakcją.

- Więc co radzisz?

- Radzę, żebyśmy poczekali do wygaśnięcia opcji. Następnie aż do czwartku nie zrobimy żadnego ruchu. Porozmawiam z Monohanem. A kiedy z nim skończę, będzie nas błagał na kolanach, żebyśmy kupili ten budynek za dwieście tysięcy.

- Bart, jesteś tego pewien?

- No pewnie - powiedział i uśmiechnął się nerwowo. - Nie kładłbym głowy pod topór, gdybym uważał, że mogę ją stracić.

George, co ty robisz???

Milcz, milcz, nie zwracaj mi teraz głowy.

- Cwaniutki agent nie ma żadnego kupca. Możemy sobie pozwolić na opieszałość. Z każdym upływającym dniem cena spada.

- Dobrze - powiedział powoli Ordner. - Ale postawmy sprawę jasno: jeśli nie wykorzystamy szansy, a ktoś jednak kupi ten budynek, wylatujesz. To nic...

- Wiem - przerwał, nagle zmęczony. - Nic osobistego.

- Bart, na pewno nie zaraziłeś się od Mary? Wyglądasz trochę jak mokra szmata.

Sam jesteś szmata, palancie.

- Poczuję się lepiej, kiedy zamkniemy sprawę. To dla mnie duże obciążenie.

- Oczywiście. - Ordner przywołał na twarz współczującą minę. - Prawie zapomniałem... Twój dom też jest na linii ognia.

- Tak.

- Znalazłeś nowy?

- Mam na oku parę. Nie byłbym zdziwiony, gdybym tego samego dnia zamknął sprawę pralni i moją prywatną.

Ordner wyszczerzył zęby.

- Pewnie po raz pierwszy w ciągu jednego dnia wydasz od trzystu do pięciuset patyków.

- Tak, to będzie niezły dzień.

W drodze do domu Freddy usiłował z nim rozmawiać - wręcz wrzeszczał - a on musiał bez przerwy tłuc w wyłącznik. Akurat skręcał w Crestallen Street, kiedy wyłącznik eksplodował w swądzie palących się synaps i przeładowanych aksonów. Wszystkie pytania bluznęły na zewnątrz; obiema stopami wdepnął hamulec. Samochód

zatrzymał się z piskiem opon na środku ulicy, a on szarpnął się w pasach tak gwałtownie, że z ust wyrwał mu się jęk bólu.

Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, powolutku podjechał do krawęznika. Wyłączył silnik i światła, rozpiął pasy i oparł drżące dłonie na kierownicy.

Z miejsca, w którym siedział, widział łagodny zakręt ulicy i wdzięczny łuk ulicznych latarni. To była ładna ulica. Domy, które teraz stały po obu jej stronach, zostały w większości zbudowane w latach 1946-1958, ale jakimś cudem, nie wiadomo jakim, ustrzegły się szalejącego w latach pięćdziesiątych syndromu pudełka zapalek, a także towarzyszących mu chorób - kruszących się fundamentów, łysych trawników, nadmiaru gadżetów, przedwczesnego starzenia się samochodów, łuszczącej się farby i plastikowych okiennic.

Znał swoich sąsiadów - dlaczego miałby nie znać? Mieszkał z Mary na Crestallen Street West już od czternastu lat. To dużo. W domu za nimi - Upslingerowie; ich syn Kenny roznosił poranne gazety. Langowie naprzeciwko, Hobartowie dwa domy dalej (Linda Hobart opiekowała się Charliem, a teraz studiowała medycynę), Staufferowie, Hank Albert, którego żona zmarła cztery lata temu na rozedmę płuc, Darby'owie i, tylko cztery domy od miejsca, w którym zaparkował i siedział, dygocząc - Quinnowie. Oraz tuzin innych rodzin, znanych mu z widzenia, przeważnie z małymi dziećmi.

To miła ulica, Fred. Miła okolica. Och, wiem, że intelektualiści narzuszają się z przedmieści - nie są tak romantyczne jak zaszczurzone pokoiki na poddaszu. Na przedmieściach nie ma żadnych wielkich muzeów, wielkich lasów, wielkiego ryzyka.

Ale życie jest tu dobre. Wiem, Fred, co sobie myślisz. Dobre życie, co to jest dobre życie? Dobre życie nie niesie ze sobą wielkiej radości, wielkiego smutku, zupełnie nic wielkiego. Kicz. Grill latem o zmierzchu, wszyscy trochę podchmieleni, ale nikt szczególnie pijany czy szczególnie brzydki. Te wspólne wycieczki na mecze Mustangów. Cholerne Mustangi, nie potrafili pobić nawet Patsów. Zapraszanie gości lub chodzenie w gości. Golf na polu w Westside albo zabieranie żon do Ponderosa Pines i jazda tymi małymi gokartami. Pamiętasz, jak Bill Stauffer wjechał w płot i wpadł w czyjś basen? Aha, pamiętam, George, mało nie umarliśmy ze śmiechu. Ale, George...

Sprowadźcie buldożery, co, Fred? Zburzmy to wszystko. Wkrótce powstaną nowe przedmieścia, gdzieś w Waterford, gdzie aż do tego roku nie było nic oprócz pustych działek. Marsz Czasu. Atak postępu.

Dzieci za miliard dolarów. A co tu zastaniesz, kiedy wrócisz? Stertę różnokolorowych pudełek po chipsach. Rury z plastiku, które będą zamarać każdej zimy. Drewno z plastiku. Wszystko z plastiku. Wszystko dlatego, że Moe z Komisji do spraw Autostrad szepnął słówko Joemu z Firmy Budowlanej Joego, a Suą która pracuje u Joego, szepnęła słówko Lou z Firmy Budowlanej Lou i już za chwilę mamy wielką modę na tereny w Waterford, na pustych działkach powstają domki, wieżowce, szeregowce. Dostaniesz dom na ulicy Bzowej, która w kierunku północnym przecina ulicę Hiszpańską, a w południowym Portorykańską. Możesz wybrać sobie ulicę Wiązową, Dębową, Cyprową albo Kalinową szerokolistną. W każdym domu jest w pełni wyposażona łazienka na parterze, niewielka łazienka na górze i sztuczny komin od strony wschodniej. A jeśli wrócisz pijany, nie będziesz umiał rozpoznać własnego pierdolonego domu.

Ale, George...

Milcz, Fred, jak do ciebie mówię. I gdzie są teraz twoi sąsiedzi? Może nie byli najlepsi, ale wiedziałeś, kim są. Wiedziałeś, kto ci pożyczy szklankę cukru. Gdzie oni są? Tony i Alicia Lang w Minnesocie, ponieważ on poprosił o przeniesienie na nowe terytorium i otrzymał zgodę. Hobartowie przenieśli się do Northside. Hank Albert znalazł dom w Waterford, owszem, ale kiedy wrócił po podpisaniu dokumentów, wyglądał, jakby miał na twarzy uśmiechającą się maskę. Widziałem jego oczy, Freddy. Wyglądał jak ktoś, komu właśnie urwało obie nogi, ale on usiłuje wmówić wszystkim, że już się nie może doczekać nowych, plastikowych, bo nie zrobią mu się na nich siniaki, jeśli uderzy nimi o drzwi. Więc przeprowadzamy się i gdzie jesteśmy? Czym jesteśmy? Dwojgiem obcych ludzi w domu otoczonym innymi domami obcych sobie ludzi. Tym jesteśmy, Freddy. Marsz Czasu. To właśnie to. Czterdziestki czekające na pięćdziesiątki, które czekają na sześćdziesiątki. Czekają na przyjemne szpitalne łóżeczko i przyjemną pielęgniarkę, która wbije w ciebie przyjemny cewnik. Freddy, czterdziestka to koniec młodości. Właściwie koniec młodości to trzydziestka, czterdziestka to wiek, w którym przestajesz się oszukiwać. Nie chcę się zestarzeć w obcym miejscu.

Znowu się rozplakał, siedział w ciemnym, wyiębłym samochodzie i płakał jak dziecko.

George, nie chodzi tylko o autostradę i tę przeprowadzkę. Wiem, co się z tobą dzieje.

Zamilcz, Fred, ostrzegam.

Ale Fred nie chciał zamilknąć i to był zły objaw. Skoro nie ma już władzy nad Fredem, jak zdoła wyrwać dla siebie choć trochę spokoju?

Chodzi o Charliego, co, George? Nie chcesz go pochować po raz drugi.

- Chodzi o Charliego - powiedział głośno, schrypniętym od łez, dziwnym głosem. - I o mnie. Nie mogę. Naprawdę, nie mogę...

Zwiesił głowę i pozwolił łzom płynąć; twarz mu się wykrzywiła i zasłonił oczy pięściami jak każde znane mu dziecko, które z powodu dziurawej kieszeni zgubiło pieniędzy na cukierki.

Kiedy wreszcie ruszył, był spokojny. Czuł się wyczerpany. Pusty, ale wyczerpany. Idealnie opanowany. Mógł nawet spoglądać na mroczne, już opuszczone domy po obu stronach ulicy i nie czuć dreszczu.

Mieszkamy na cmentarzu, pomyślał. Mary i ja, na cmentarzu. Jak Richard Boone w „I Burn the Living”. U Arlinów jeszcze się paliło, ale i oni wyjeżdżali piątego grudnia. A Hobartowie wyprowadzili się w zeszły weekend. Puste domy.

Wjeżdżając na asfalt własnego podjazdu (Mary była na górze; widział łagodny blask jej lampki przy łóżku), nagle zaczął myśleć o czymś, co Tom Granger powiedział przed paroma tygodniami. Porozmawia z nim o tym. W poniedziałek.

25 LISTOPADA 1973

Oglądał mecz Mustangów i Chargersów w kolorowym telewizorze i popijał swój prywatny drink, southern comfort z seven up. Drink był prywatny, ponieważ ludzie śmieli się, kiedy pił go publicznie. Chargersi prowadzili 27:3 w trzeciej kwadrze. Rucker trzy razy schodził z boiska. Świetny mecz, co, Fred? No masz, George. Nie rozumiem, jak ty znosisz *to* napięcie.

Mary spała na piętrze. Przez weekend ociepliło się i teraz padała lekka mżawka. Jemu także chciało się spać. Miał za sobą już trzy drinki.

Nadeszła przerwa, pojawiły się reklamy. W reklamie Bud Wilken-son opowiadał o tym, jak niedobry jest kryzys energetyczny i jak to wszyscy powinni ocieplać strychy i pilnować, żeby zamykać szyber, kiedy piecze się kiełbaski, pali więdźmy czy cokolwiek innego. Na końcu pojawiło się logo organizacji, dla której nakręcono tę reklamę. Widniał na nim wesoły tygrys, łypiący okiem na widza ponad słowem:

Exxon

Według niego nadejście złych czasów stało się faktem, gdy Esso zmieniło swoją nazwę na Exxon. Esso wyslizgiwało się z ust z łatwością, było jak szmer hamaka, na którym się ktoś kołysze. Exxon brzmiało jak imię wojownika z planety Yurir.

- Exxon żąda, by wszyscy nikczemni Ziemniacy złożyli broń - powiedział głośno. - Spadać na bambus, nikczemni Ziemianie. - Parsknął i zrobił sobie kolejnego drinka. Nie musiał nawet wstawać: southern comfort, półtoralitrowa butla seven up i plastikowa salaterka z lodem stały na okrągłym stoliku obok fotela.

Wracamy do gry. Zaczynają Chargersi. Hugh Fednach z Mustangów przejmuje piłkę i biegnie z nią na trzydziesty pierwszy jard. Potem, pod przewodnictwem stalowookiego Hanka Ruckera, który widział kiedyś puchar Heismana w kronice filmowej, Mustangi zdobywają sześć jardów. Gene Voreman wykopuje. Andy Cocker z Chargersów znów posyła piłkę na czterdziesty szósty jard Mustangów. I tak w kółko, jak zmyślnie zauważył Kurt Vonnegut. Przeczytał wszystkie jego książki. Lubił je głównie dlatego, że były śmieszne. W zeszłym tygodniu podali w wiadomościach, że rada szkoły w miasteczku Drake w Dakocie Północnej spaliła powieść Vonneguta „Rzeźnia numer pięć”, opowiadającą o zbombardowanym Dreźnie. Jak się dobrze zastanowić, widać tu zabawną zbieżność.

Fred, dlaczego te złamasy z departamentu autostrad nie puszcza autostrady 784 przez Drake? Tam by się im dopiero spodobało. George, co za świetny pomysł. Może napiszesz o nim książkę? Pieprz się, Fred.

Chargersi zdobyli punkt, było już 34:3. Cheerleaderki zaczęły płaśać po boisku, potrząsając kuprami. Zapadł w półsen, a kiedy Fred się do niego dobrał, nie potrafił go z siebie strząsnąć.

George, ponieważ najwyraźniej nie wiesz, co robisz, pozwól, że cię objaśnię. Przeliteruję ci to, brachu. (Zejdź ze mnie, Fred). Po pierwsze umowa kupna siedziby w Waterford wkrótce wygaśnie. Dokładnie we wtorek o północy. W środę Thom McAn dobieje targu z tym drobnym oślizłym świętopatrykowym gówienkiem, Patrickiem H. Monohanem. W środę po południu lub w czwartek rano na budynku zawisnie wielki znak z napisem SPRZEDANE! Jeśli zobaczy go ktoś z pralni, możesz odwlec nieuniknione, mówiąc: jasne, sprzedane nam. Ale jeśli Ord-ner to sprawdzi, jesteś trupem. Prawdopodobnie nie sprawdzi. Ale (Freddy, dajże mi spokój) wkrótce pojawi się nowy znak. Będzie na nim widniał napis:

NASZA NOWA SIEDZIBA W WATERFORD

BUTY THOMA MCANA

Jesteśmy także tutaj!

A w poniedziałek z pierwszym promieniem słońca znajdziesz się na ulicy. Tak, według moich obliczeń wylecisz z roboty jeszcze przed pierwszą poranną przerwą na kawkę. Potem wrócisz do domu i powiesz o wszystkim Mary. Nie wiem, kiedy to się stanie. Autobus jedzie do ciebie tylko kwadrans, więc najprawdopodobniej możesz zakończyć dwudziestoletnie małżeństwo i dwudziestoletnią pomyślną karierę mniej więcej w ciągu trzydziestu minut. Ale kiedy już powiesz Mary, przyjdzie pora na wyjaśnienia. Możesz ją odwlec, upijając się, ale wcześniej czy później...

Fred, zamknijże pysk.

...wcześniej czy później będziesz musiał wyjaśnić, w jaki sposób straciłeś robotę. Będziesz musiał wszystko wyśpiewać. Widzisz, Mary, departament autostrad zamierza zburzyć naszą siedzibę przy Fir Street, a ja tak trochę zaniedbałem poszukiwania nowej filii. Ciągłe mi się zdawało, że ta sprawa z rozbudową autostrady to zły sen, z którego się obudzę. Tak, Mary, tak, znalazłem dla nas nową filię, w Waterford, właśnie, kapewu? Ale jakoś nie mogłem załatwić sprawy do końca. Ile zapłaci za to Amroco? Jakiś milion albo milion pięćset, zależnie od tego, jak długo będą szukać nowego miejsca i ilu klientów stracą na dobre.

Ostrzegam cię, Fred.

Albo mógłbyś jej powiedzieć, że nikt nie zna się na tym lepiej od ciebie. Że zyski „Blue Ribbon” stały się tak mikre, iż ci z planowania złapały się za głowy i rzekły: a wyrzucmy w cholerę ten interes, chłopaki. Weźmiemy pieniądze, które da nam miasto, i zbudujemy kasyno w Norton albo śliczną kłogielnię w Russell lub Crescent. Jesteśmy zbyt zagrożeni po tym, co zrobił nam ten sukinsyn Dawes. Mógłbyś jej tak powiedzieć.

A idź do diabła.

Ale to tylko pierwszy etap, nie? Część druga zacznie się, kiedy Mary się dowie, że nie ma żadnego domu, do którego się macie przeprowadzić, i nigdy go nie będzie. I jak jej to wyjaśnisz?

Nic nie zrobię.

Właśnie. Jesteś jak człowiek, który zasnął w łodzi. Ale we wtorek o północy twoja łódź trafi na wodospad. Na miłość boską, George, idź w poniedziałek do Monohana i zrób mu przykrość. Złóż swój podpis

na linii kropkowanej. I tak będziesz miał kłopoty po tych wszystkich kłamstwach, których naopowiadałeś Ordnerowi w piątek, ale jakoś się wyłgasz. Bóg jeden wie, ile razy wyłgałeś się już z kłopotów.

Zostaw mnie. Prawie już śpię.

Chodzi o Charliego, tak? To taka forma samobójstwa. Ale to nie w porządku w stosunku do Mary. W stosunku do wszystkich. Chcesz...

Poderwał się, rozlewając drinka na dywan.

- Nikogo, może tylko mnie.

Więc po co ta broń, George? Po co broń?

Dygocząc, podniósł szklanę i zrobił sobie następnego drinka.

26 LISTOPADA 1973

Umówił się z Tomem Grangerem na obiad u Nicky'ego, w restauracji o trzy przecznice od pralni. Usiedli przy stoliku za przepierzeniem, popijając piwo z butelki i czekając na dania. Stała tam szafa grająca, z której leciała piosenka Eltona Johna.

Tom mówił o meczu Mustangów z Chargersami, który Chargersi wygrali 37:6. Tom był zakochany we wszystkich drużynach z miasta i ich niepowodzenia doprowadzały go szału. Kiedyś pomyślał, słuchając, jak Tom kolejno krytykuje wszystkich graczy z drużyny Mustangów, Tom Granger odetnie sobie ucho i wyśle je dyrektorowi. Zwykły wariat zrobiłby prezent trenerowi, który roześmiałyby się i przypiął je do tablicy ogłoszeń w szatni, ale Tom wyśle ucho dyrektorowi, który się nad nim zamyśli.

Pojawiło się żarcie przyniesione przez kelnerkę w garniturze z białego nylonu. Miała tak ze trzysta lat, może nawet trzysta cztery. I tyle samo kilogramów. Na małej plakietce na jej lewej piersi widniał napis:

GAYLE

Dziękujemy za wizytę!

Bar u Nicky'ego

Tom dostał plaster pieczeni pływający brzuchem do góry w kałuży sosu. On zamówił dwa cheeseburgery z frytkami. Wiedział, że będą smaczne. Już tu jadł. Autostrada 784 miała ominąć bar Nicky'ego o pół dzielnicę.

Zaczęli posiłek. Tom skończył tyradę na temat wczorajszego meczu i spytał o budynek w Waterford i spotkanie z Ordnerem.

- Podpiszemy umowę w czwartek lub piątek - odparł.
 - Myślałem, że wygasa we wtorek.
- Powtórzył bajeczkę o tym, jak to Thom McAn zrezygnował z Waterford. Okłamywanie Toma Grangera nie sprawiło mu satysfakcji. Znali się od siedemnastu lat. Tom nie należał do zbyt bystrych. Okłamywanie go nie było żadną sztuką.
- Aha - powiedział Tom na koniec i sprawa była zamknięta. Włożył do ust kawałek pieczeni i skrzywił się. - Dlaczego tu przychodzimy? Żarcie jest do luftu. Nawet kawa. To już nawet moja żona robi lepszą.
 - Nie wiem - odparł, wykorzystując okazję. - Pamiętasz, jak otworzyli tamtą włoską restaurację? Poszliśmy z Mary i Verną.
 - No, w sierpniu. Verna do tej pory się zachwyca tymi ricottami... nie, rigatoni. Tak się nazywają. Rigatoni.
 - A pamiętasz tego gościa przy stoliku obok? Tego grubego?
 - Grubego... - Tom przeżuwał ze skupioną miną. Pokręcił głową.
 - Powiedziałeś, że to oszust.
 - Aaaa! - Tom szeroko otworzył oczy. Odsunął od siebie talerz, zapalił papierosa i wrzucił zapałkę w sos. - Wiem, pamiętam. Sally Magliore.
 - Tak się nazywał?
 - Tak, to był on. Wielki facet w okularach z grubymi szklami. Dziewięć podbródków. Salvatore Magliore. Brzmi jak specjalność we włoskim burdelu, nie? Jednooki Sally, tak go nazywali, z tego względu, że miał kataraktę na oku. Trzy albo cztery lata temu kazał sobie usunąć. Kataraktę, nie oko. Tak, to wielki oszust.
 - Czym się zajmuje?
 - A czym się oni wszyscy zajmują? - Tom strzepnął popiół w talerz.
 - Prochy, dziewczynki, hazard, lewe interesy, wymuszanie. I likwidowanie innych oszustów. Nie czytałeś, co było w gazecie? W zeszłym tygodniu znaleźli faceta w bagażniku samochodu, który stał za stacją benzynową. Sześć strzałów w głowę i poderżnięte gardło. Kto podrzyna gardło gościowi, który już oberwał sześć razy w głowę? Gangsterzy. Tym właśnie zajmuje się Jednooki Sally.
 - Ma jakąś legalną firmę?
 - Tak mi się zdaje. Za Norton. Sprzedaje samochody. „Magliore - gwarantowane porządne używane samochody”. W każdym bagażniku czyjeś zwłoki. - Tom roześmiał się i znowu strzepnął popiół do talerza. Gayle stanęła obok nich i spytała, czy chcą kawy. Obaj zamówili jeszcze jedną.

- Udało mi się znaleźć te sworznie do drzwi bojlera - odezwał się Tom. - Przypominają mi mojego kutafona.

- Co ty powiesz?

- Aha, powinienes zobaczyć te skurczysyny. Długie na dwadzieścia centymetrów, dziesięć centymetrów w obwodzie.

- Masz na myśli mojego kutafona? - spytał, obaj się roześmieli i rozmawiali dalej do chwili, gdy trzeba było wracać do pracy.

Tego popołudnia wysiadł z samochodu na Barker Street i poszedł do „Duncana” - spokojnego osiedlowego baru. Zamówił piwo i wysłuchał Duncana, który wściekał się, mówiąc o meczu Mustangów z Chargersami. Z zaplecza wyłonił się jakiś mężczyzna; powiedział Duncanowi, że automatyczne kręgle się zepsuły. Duncan zniknął, żeby zbadać sytuację, a on został, popijając piwo i oglądając telewizję. Leciąta jakaś telenowela, dwie kobiety rozmawiały cicho i tragicznie o jakimś Hanku. Hank miał przyjechać do domu z college'u, a jedna z kobiet właśnie się dowiedziała, że to jej syn, co wynikało z potwornego eksperymentu po studniówce, która odbyła się dwadzieścia lat temu.

Freddy usiłował się wtrącić, ale George zaraz go uciszył, wyłącznik sprawował się na piątkę. Przez cały dzień.

Właśnie, ty popieprzony świrusie! - ryknął Fred, po czym George na nim usiadł. Idź się ugryź, Freddie. Tutaj jesteś *persona non grata*.

- Nie mogę mu powiedzieć - mówiła jedna z kobiet w telewizorze.
- Jak możesz ode mnie wymagać, żebym mu powiedziała?

- Więc chcesz go okłamywać?

- Nie chcę mu nic mówić.

- Musisz mu powiedzieć.

- Sharon, nie mogę mu tego powiedzieć.

- Jeśli mu tego nie powiesz, Betty, to ja mu powiem.

- Pieprzona maszyna spieprzyła się na amen - oznajmił Duncan, wracając. - Jest jak wrzód na dupie od chwili, kiedy mi ją tu wstawili. Co mam teraz robić? Zadzwoń do tych skurwieli z Towarzystwa Gier Mechanicznych. Zaczekać dwadzieścia minut, aż jakaś dziunia połączy mnie, z kim trzeba. Wysłuchać gościa, który mi powie, że mają teraz urwanie głowy, ale w środę postarają się mi kogoś przysłać. W środę?! Potem w piątek objawi się jakiś misiek, który ma mózg chyba między półdupkami, wychleje piwa za cztery dolce, nie zapłaci i powie, że goście nie powinni tak mocno szarpać. Miałem tu kiedyś piłkarzyki. Były fajne. Wcale się nie psuły. Ale trzeba iść z postępem. Jeśli w 1980 na-

dal tu będę, pewnie zabrają mi automatyczne kręgle i wstawią Automatyczne Obciążanie Druła. Chcesz jeszcze piwa?

- Jasne - powiedział.

Położył na barze pięćdziesiąt centów i poszedł do budki telefonicznej znajdującej się obok zepsutych automatycznych kręgli.

To, czego szukał, było na Żółtych Stronach pod hasłem „Samochody, nowe i używane”. Na samym szczycie listy widniało:

MAGLIORE, UŻYWANE SAMOCHODY, TRASA 16, NORTON 892-4576.

Na północ od Norton trasa 16 przechodziła w Venner Avenüą znaną także jako Ładowisko. Można było tam dostać wiele rzeczy, których nie reklamuje się na Żółtych Stronach.

Wrzucił do aparatu dziesięć centów i wykręcił numer Magliorego. Po drugim sygnale ktoś podniósł słuchawkę i męski głos powiedział:

- Magliore, używane samochody.

- Mówi Dawes, Barton Dawes. Mogę rozmawiać z panem Magliorem?

- Sal jest zajęty, ale chętnie panu pomogę, jeśli to możliwe. Pete Mansey.

- Nie, muszę rozmawiać z panem Magliorem. Chodzi o te dwa eldorado.

- Ktoś pana źle poinformował. Do końca roku nie będziemy sprzedawać dużych samochodów, przez ten kryzys energetyczny. Nikt ich nie kupuje. Więc...

- Ja chcę kupić.

-Co?

- Dwa eldorado. Jeden z 1970, drugi z 1972 roku. Złoty i kremowy. W zeszłym tygodniu rozmawiałem z panem Magliorem. Jestem gotowy.

- Ach, tak? Pana Magliore tu nie ma. Szczerze mówiąc, jest w Chicago. Nie wróci przed jedenastą wieczorem.

Przez szybę budki widział Duncana, wieszającego na automatycznych kręglach tabliczkę. Napis na niej głosił:

NIECZYNNE

- A jutro go zastanę?

- Jasne. Kupuje pan na firmę?

- Nie, dla siebie.

- Z oferty specjalnej?

Zawahał się króciutko.

- Tak. Mogę zadzwonić o czwartej?
- Oczywiście.
- Dziękuję panu.
- Powiem mu, że pan dzwonił.
- Bardzo proszę - powiedział i delikatnie odłożył słuchawkę. Miał mokre dłonie.

Kiedy wrócił do domu, Merv Griffin gawędził z gwiazdami. Nie przysły żadne listy; co za ulga. Poszedł do salonu.

Mary sączyła z filiżanki gorącą miksturę na rumie. Obok miała pudełko chusteczek higienicznych, a w pokoju pachniało kamforą.

- Jak się czujesz? - spytał.
- Nie dzałuj mie - odezwała się głosem w odległy sposób kojarzącym się z syreną przeciwmgielną. - Jezdeb góra.
- Biedactwo. - Pocałował ją w czoło.
- Przepraszam, ale dzy możesz zrobidź dzisiaj zaguby? Umówiłam się z Meg Carder, ale muziałam do odwoładź.
- Jasne. Masz gorączkę?
- Nie. Boże trochę.
- Mam cię umówić do Fontaine'a?
- Nie. Sama bójde jutro, jeżeli zie nie bodzuje lebiej.
- Ależ masz katar.
- Do. Krobie pomagały przez jagiś czaz, ale deraz... - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado. - Bówie jak Gadzor Dodald.

Zawahał się przez chwilę, potem powiedział:

- Jutro wieczorem wrócę trochę później.
- Tag?
- Jadę do Northside, żeby obejrzeć dom. Robi dobre wrażenie. Sześć pokoi. Mały ogródek. Dość blisko do Hobartów.
- Ach, ty podły, padalcowaty sukinsynu, odezwał się dość wyraźnie Freddy.

Mary się rozpromieniła.

- Dzubnie! Mogę jechać z tobą?
- Z tym katarzem lepiej nie.
- Ubiorę zie dziebło.
- Następnym razem - odparł twardo.
- Dobrze. - Spojrzała mu w oczy. - Gwałta Bogu, wręcie zie do de-go wzięoż. Już zie bałam.

- O nic się nie martw.
- Dobrze.

Pociągnęła łyk gorącego rumu i przytuliła się do niego. Słyszał jej świszczący oddech. Marv Griffin gawędził z Jamesem Brolinem o jego nowym filmie „Westworld”. Wkrótce w zakładach fryzjerskich w całym kraju.

Po chwili Mary wstała i postawiła na gazie dwa gotowe obiady. On wstał i przerzucił na powtórkę „F Troop”, usiłując nie słuchać Freddy'ego. Ale po jakimś czasie Freddy zaczął na inną nutę.

Pamiętasz, jak kupiłeś pierwszy telewizor, Georgie?

Uśmiechnął się lekko, patrząc nie na Forresta Tuckera, lecz przez niego. Pamiętam, Fred. Oczywiście, że pamiętam.

Pewnego wieczora - byli już jakieś dwa lata po ślubie - wrócili do domu od Upshawów, u których oglądali „Jaka to melodia?” i „Koło fortuny”. Mary spytała, czy nie zauważył, że Donna Upshaw była trochę... no, dziwna. Jeszcze teraz pamiętał Mary, smukłą i dziwnie wysoką, wyższą niż zwykle - choć było to pociągające - w białych sandałach, które włożyła, by uhonorować nadejście lata. Szorty też miała białe; jej nogi wydawały się bardzo długie, źrebięce, jakby naprawdę sięgały aż do szyi. Prawdę mówiąc, niewiele go obchodziło, czy Donna Upshaw wyglądała dziwnie; obchodziło go przede wszystkim wyłuskanie Mary z tych obcisłych szortów. Jego zainteresowania biegly ostatnio właśnie w tym kierunku - i nie zamierzał się ograniczać jedynie do tego.

- Może ma już dość podawania orzeszków połowie sąsiadów wy łącznie dlatego, że tylko oni na naszej ulicy mają telewizor - odparł.

Wydawało mu się, że pomiędzy jej brwiami pojawiła się cienka zmarszczka - ta, która oznaczała, że Mary coś knuje, ale wtedy byli już w połowie drogi na piętro, a jego ręka spoczywała na siedzeniu tych szortów -jakież ono było małe - i dopiero potem, po wszystkim, Mary odezwała się znów:

- Ile kosztowałby nas taki niewielki odbiornik?

Odpowiedział chęć przez sen:

- Motorola kosztuje jakieś dwadzieścia osiem, może trzydzieści do-
lców. Ale philco...

- Nie radio. Telewizor.

Usiadł, włączył lampkę i spojrzał na nią. Leżała naga, z prześciera-
dłem wokół bioder i choć się uśmiechała, wydawało mu się, że powie-
działa to zupełnie poważnie. To był uśmiech typu „wyzywam cię”.

- Mary, nie stać nas na telewizor.
- Ile kosztowałyby taki na stolik? GE, philco albo inny?
- Nowy?
- Nowy.

Zastanowił się, obserwując grę elektrycznego światła na prześlicznych okrągłościach jej piersi. Wtedy była o wiele szczuplejsza (choć i teraz nie jest gruba, skarcił się; nie powiedziałem, że jest, Freddy, stary chłopie) i jakby... pełniejsza życia. Nawet jej włosy stały własny przekaz: żyć, czuć, działać...

- Mniej więcej siedemset pięćdziesiąt dolarów - powiedział, sądząc, że to zgasi jej uśmiech. Ale tak się nie stało.

- Dobrze, no to zobacz... - Usiadła na łóżku po turecku.

- Patrę - mruknął z uśmiechem.

- Nie na to! - Ale się roześmiała, a jej policzki zabarwił ładny rumieniec, który sięgnął aż na szyję (choć nie podciągnęła prześcieradła, przypomniał sobie).

- Co ci chodzi po głowie?

- Dlaczego mężczyźni chcą mieć telewizor? Żeby oglądać mecze w weekendy. Dlaczego kobiety chcą mieć telewizor? Żeby oglądać telenowele. Można ich słuchać podczas prasowania albo kiedy się odpoczywa. Wyobraźmy sobie, że oboje znajdziemy sobie jakieś zajęcie - za które dostaniemy pieniądze - i będziemy je wykonywać w czasie, kiedy i tak byśmy odpoczywali...

- ...czytali albo nawet się kochali? - dokończył.

- Na to zawsze znajdziemy czas. - Roześmiała się, zarumieniła, jej oczy pociemniały w świetle lampy, pod piersiami miała ciepłe, półkoliste cienie i już wiedział, że to zrobi, obieca jej zenitha za pięćset dolarów, jeśli znowu pozwoli mu się z nią kochać, i poczuł, że mu staje, że wąż zmienia się w kamień, jak powiedziała kiedyś Mary, gdy za dużo wypijała na przyjęciu sylwestrowym u Ridpathów (i nawet teraz, po osiemnastu latach, pod wpływem tego wspomnienia poczuł, że wąż znów zmienia się w kamień).

- Dobrze - powiedział. - Będę pracować w weekendy, a ty popołudniami. Ale, droga Mary, nie całkiem dziewico, czymś się zajmujemy?

Skoczyła na niego z chichotem, jej piersi legły miękkim ciężarem na jego brzuchu (wtedy był dość płaski, Freddy, ani śladu dyrektorskiego brzuszka).

- I o to chodzi! Którego dzisiaj mamy? Osiemnastego czerwca?

-Tak.

- Będziesz się zajmować w weekendy tym, czym się zajmiesz, i osiemnastego grudnia złożymy pieniądze...

- ...i kupimy toster - dokończył z uśmiechem.

- I kupimy ten telewizor - oznajmiła z naciskiem. - Na pewno się nam uda. - Potem znowu rozległ się jej chichot. - Ale najfajniejsze będzie to, że nie powiemy sobie, czym się zajmujemy. Dopiero potem.

- Pod warunkiem że jutro nie zobaczę na naszym domu czerwonej latarni - poddał się.

Wskoczyła na niego, zaczęła go łaskotać... łaskotanie zmieniło się w pieszczoty.

- Daj mi go - szepnęła w jego szyję i chwyciła go delikatnie, lecz pod niecajaco, kierując go i jednocześnie ściskając. - Włóż go we mnie, Bart.

A później, znowu w ciemnościach, spytał z rękami założonymi za głową:

- Więc na razie sobie nie mówimy, tak?

-Aha.

- Mary, skąd ci się to wzięło? To przez to, co powiedziałem o Donie Upshaw?

Tym razem w jej głosie nie słyszał śmiechu. Stał się suchy, surowy i troszeczkę przerażający, jak słaby podmuch zimy w ciepłym czerwonym wietrzyku w ich mieszkaniu na drugim piętrze bez windy.

- Nie lubię nikogo wykorzystywać, Bart. I nie będę. Nigdy.

Przez jakieś półtora tygodnia przetrwał jej propozycję, zastanawiając się, jak do diabła ma skołować tę połowę siedmiuset pięćdziesięciu dolarów (prawdopodobnie zrobi się z tego raczej trzy czwarte sumy, pomyślał) w ciągu jakichś dwudziestu tygodni. Był trochę za dorosły, żeby się najmować do koszenia trawników. A Mary chodziła z taką miną - tak zadowoloną i chytrą - że na pewno albo już coś namierzyła, albo właśnie namierzała. No, Bart, wrzuć drugi bieg, pomyślał i musiał się z siebie roześmiać.

To były piękne dni, co, Freddy? - spytał samego siebie, gdy Forrest Tucker i „F Troop” ustąpili miejsca reklamie płatków śniadaniowych, w której animowany królik mądrzył się, że „Trixy są dla dzieci”. Tak, Georgie. To były kurewsko piękne dni.

Pewnego dnia wsiadał po pracy do samochodu, jego spojrzenie padło na wielki komin za pralnią chemiczną i wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

Schował kluczyki do kieszeni i wrócił, żeby porozmawiać z Donem Tarkingtonem. Don odchylił się na krześle, spojrzał na niego spod

krzaczastych brwi, które już wtedy zaczynały siwieć (podobnie jak włosy wystające mu kępkami z uszu i wijące się w nosie) i złożył dłonie na piersi.

- Pomalujesz komin - powiedział.

Pokiwał głową.

- W weekendy.

Znowu przytaknął.

- Za trzysta dolarów.

Znowu to samo.

- Oszalałeś. Wybuchnął

śmiechem. Don

uśmiechnął się blado.

- Bierzesz coś, Bart?

- Nie. Ale coś szykujemy z Mary.

- Zakład? - Krzaczaste brwi uniosły się o pół kilometra.

- Raczej dżentelmeńska umowa. Nieważne. Don, ten komin potrzebuje odnowy, a ja potrzebuję trzystu dolarów. Co ty na to? Malarz weźmie czterysta dwadzieścia pięć.

- Sprawdziłeś.

- Sprawdziłem.

- Stuknięty łobuz - powiedział Don i wybuchnął śmiechem. - Prawdopodobnie się zabijesz.

- Aha. Prawdopodobnie - zgodził się i też zaczął się śmiać (a dziś, gdy królik Trix ustąpił miejsca dziennikowi, ten dzisiejszy on, starszy o osiemnaście lat, też siedział i szczyrzył zęby jak idiota).

I tak w następny weekend po Czwartym Lipca znalazł się na roztrzęsionym rusztowaniu trzydzieści metrów nad ziemią, z pędzlem w dłoni i poślądkami łopoczącymi na wicherze. Pewnego razu nagle rozpełtała się burza, zerwała jedną linę podtrzymującą rusztowanie - zerwała ją tak łatwo, jak człowiek zrywa sznurek na paczce - a on omal nie spadł. Utrzymała go lina zabezpieczająca; opuścił się na dach, z sercem bijącym jak bęben, zupełnie pewien, że żadna ziemaska siła nie zmusi go do powrotu na górę - nie za parszywy telewizor. A jednak wrócił. Nie dla telewizora, dla Mary. Dla widoku światła lampki na jej drobnych, sterczących do góry piersiach; dla jej wyzywającego uśmiechu i dla oczu -jej ciemnych oczu, które czasem potrafiły się tak rozświetlić lub jeszcze bardziej ściemnieć jak letnie burzowe chmury.

Skończył malować w pierwszych dniach września; komin rysował się czystą bielą na tle nieba, kredowy znak na niebieskiej tablicy, smukły

i jaśniejący. Przyglądał się mu z dumą, szorując poplamione ręce rozpuszczalnikiem.

Don Tarkington zapłacił mu czekiem.

- Niezła robota - skomentował tylko. - Zważywszy na to, jaki pa lant ją wykonał.

Pięćdziesiąt dolarów zarobił, kładąc boazerię na ściany salonu Henry'ego Chalmersa - w tamtych czasach Henry był brygadzystą robotników rolnych - i malując wiekowego chris-crafta Ralpa Tremonta. Osiemnastego grudnia zasiedli wraz z Mary przy małym stoliku w jadalni, niczym stojący po przeciwnych stronach, lecz dziwnie zaprzyjaźnieni rewolwerowcy, i położył przed nią trzysta dziewięćdziesiąt dolarów gotówką - ulokował pieniądze na koncie i dostał parę groszy odsetek.

Mary dołożyła czterysta szesnaście dolarów. Wyjęła je z kieszeni fartucha. Wydawało się, że jest tego o wiele więcej niż jego pieniędzy, ponieważ większość stanowiły jedno- i pięciodolarówki.

Na ich widok jęknął.

- Coś ty zrobiła, Marę?

- Dwadzieścia sześć sukienek. Poza tym obrębiłam czterdzieści dzie więć, skróciłam sześćdziesiąt cztery, uszyłam trzydzieści jeden spódnic, zrobiłam szydełkiem trzy serwetki, utkałam cztery kilimy, zrobiłam na drutach pięć swetrów, zrobiłam dwa afgany i jeden komplet bielizny sto łowej, wyhaftowałam sześćdziesiąt trzy chusteczki, dwanaście komple tów ręczników i dwanaście kompletów poszewek... w nocy śnią mi się monogramy.

Śmiejąc się, pokazała mu ręce i po raz pierwszy naprawdę zauważył zgrubiałe opuszki jak odciski na palcach gitarzysty.

- Jezu Chryste - odezwał się ochryplym głosem. - Chryste, spójrz tylko na te ręce...

- Moje ręce mają się świetnie - odparta, a jej oczy pociemniały i uciekły w bok. - A ty wyglądałaś słodko na tym kominie. Kiedyś za stanawiałam się, czy nie kupić wiatrówki i nie strzelić ci w tyłek.

Ryknął, zerwał się z krzesła i zaczął ją gonić *po* salonie, a potem po sypialni. Spędziliśmy w niej resztę tego popołudnia, o ile sobie przypo minam, Freddy, staruszku.

Okazało się, że wystarczy im nie tylko na mały telewizor, ale po dopłaceniu czterdziestu dolarów mogą kupić duży. John, właściciel sklepu z telewizorami, powiedział im, że RCA wypuściła taki model (sklep już padł ofiarą przedłużenia autostrady 784, od dawna był pod nią po-

grzebany wraz z „Grandem” i wszystkim innym), a on z radością udostępni im go za dziesięć dolarów tygodniowo...

- Nie - powiedziała Mary. John

spojrzał na nią z wyrzutem.

- Droga pani, to tylko cztery tygodnie, nie sprzedaje pani duszy.

- Chwileczkę - odparła Mary i wyprowadziła go na przedgwiżdżkowy mróz, na ulicę, na której ze wszystkich stron dźwięczały kolędy.

- Mary - powiedział - on ma rację. To nie jest...

- Kredyt weźmiemy dopiero na dom - oznajmiła. Pomiędzy jej brwiami pojawiła się cienka zmarszczka. - A teraz słuchaj...

Weszli do środka.

- Zatrzyma go pan dla nas? - spytał on.

- No... na jakiś czas. Ale to pełnia sezonu. Na jak długo?

- Przez weekend. Przyjdę w poniedziałek wieczorem.

Weekend spędzili na wsi, ciepło ubrani, gdyż przewidywali, że lada chwila spadnie śnieg, choć wciąż nie padał. Jeździli niespiesznie bocznymi drogami, chichocząc jak dzieci, z sześciopakami piwa dla niego i butelką wina dla niej, a potem zbierali inne butelki, torby butelek po piwie, torby butelek po coli, każda mała po dwa centy, każda duża po dziesięć. To był niesamowity weekend, pomyślał teraz, Mary miała długie włosy, spływały jej na plecy płaszczem z imitacji skóry, jej policzki płonęły. Widział ją jak żywą, kiedy szła rozpadliną pełną suchych jesiennych liści, rozrzucając je stopami, aż szeleściły jak płonące spokojnie ognisko... potem stuknięcie o butelkę i Mary unosiła ją triumfalnie, machała do niego z drugiej strony drogi, roześmiana jak dziecko.

Teraz już nie robią butelek zwrotnych, Georgie. Motto tych czasów to brak kaucji, brak zwrotów. Zużyj i wyrzuć.

W tamten poniedziałek po pracy zebrali trzydzieści jeden dolarów za butelki; swoje bogactwo upłynnili w czterech różnych sklepach. Do sklepu Johna przybyli na dziesięć minut przed zamknięciem.

- Brakuje mi dziewięciu dolców - powiedział Johnowi.

John napisał ZAPŁACONO na karteluszkach przyklejonych do wielkiego telewizora RCA.

- Wesołych Świąt - powiedział. - Przyrowadzę wózek i pomogę panu z tym wyjechać.

Dowieźli telewizor do domu, a nieprzytomny z wrażenia Dick Keller z drugiego piętra pomógł im go wnieść do mieszkania. Tego wieczoru oglądali telewizję aż do hymnu narodowego, a potem kochali się

przed obrazem kontrolnym, a głowy pękały im z bólu po wyteżaniu wzroku.

Od tego czasu telewizja rzadko sprawiała im tyle radości.

Mary weszła do pokoju i zastała go przed telewizorem, z pustą szklanką w dłoni.

- Jedzenie gotowe - powiedziała. - Bodać tutaj?

Spojrzał na nią, zastanawiając się, kiedy ostatnio widział ten jej wyzywający uśmiech... i kiedy ta drobna zmarszczka na stałe ulokowała się między jej brwiami - jak zagniecenie, jak blizna, jak tatuaż świadczący o wieku.

Człowiek zastanawia się nad rzeczami, o których w ogóle wolałby nie wiedzieć. Co jest, do nagłej cholery?

-Bart?

- Zjedźmy w salonie - zdecydował. Wstał i wyłączył telewizor.

- Dobrze.

Zasiedli do stołu. Spojrzał na posiłek w aluminiowych pojemniczkach, podzielonych na sześć części. W każdą część wciśnięto coś innego. Mięso było z sosem. Zauważył, że mięso w mrożonych obiadach zawsze jest polane sosem. Bez sosu mrożone żarcie wyglądałoby jak nagie, pomyślał i nagle ni stąd, ni zowąd zupełnie bez powodu przypomniał sobie Lorne'a Greena: „Chłopcze, bo cię oskalpuję”.

Tym razem go to nie rozbawiło. Nie wiadomo dlaczego, przestraszył się.

- Dżebu zie uźmiegałeś w zalonie? - spytała Mary. Miała zaczerwienione oczy i obrzmiały nos.

- Nie pamiętam - odparł, a przez głowę przemknęła mu błyskawiczna myśl: Zaraz zacznę wyć. Za tym, co straciliśmy. Za twoim uśmiechem, Mary. Wybacz, ale zaraz odchyłę głowę do tyłu i zacznę wyć za tym uśmiechem, który już nigdy nie pojawi się na twoich ustach. Dobrze?

- Byłeś bardzo besoly.

Wbrew własnej woli - bo stanowiło to tajemnicę, a dziś czuł, że powinien wszystko trzymać w tajemnicy, dziś, gdy jego uczucia były równie obolałe jak nos Mary - wbrew samemu sobie powiedział:

- Myślałem o czasach, kiedy zbieraliśmy butelki, żeby starczyło nam na ten telewizor, wiesz, RCA.

- A, to - mruknęła Mary i kichnęła w chusteczkę nad mrożonym obiadem.

W Stop'n' Shop wpadł na Jacka Hobarta. Jack pchał przed sobą wózek wyładowany po brzegi mrożonym żarciem, puszkami i mnóstwem piwa.

- Jack! - zawołał. - Co tu robisz?

Jack uśmiechnął się blade.

- Jeszcze się nie przyzwyczyłem do tamtego sklepu, więc... pomyślałem...

- Gdzie EUen?

- Musiała polecieć do Cleveland. Umarła jej matka.

- O Jezu. Bardzo mi przykro. Umarłaagle?

Ludzie mijali ich, a z góry padał zimny blask świetlówek. Z ukrytych głośniczków sączyła się głupia sklepowa muzyczka, stare, dawno zapomniane przeboje. Obok przeszła kobieta z pełnym wózkiem, ciągnęła za sobą wrzeszczącego trzylatka w niebieskiej kurteczce ze smarkami na rękawach.

- Taa - mruknął Jack Hobart. Uśmiechnął się martwo i spojrział we własny wózek. Leżała w nim wielka żółta torba z etykietą, na której widniało:

„KICI KICI”

ŻWIREK DLA KICI

Użyj i wyrzuć!

Produkt higieniczny!

- Taa. Czowała się okropnie, ale myślała, że odbija się na niej przez prowadzka. A to był rak. Otworzyli ją, spojrzeli i zaszyli. Trzy tygodnie później już nie żyła. Cholernie trudny moment dla Ellen. Wiesz, jest młodsza zaledwie o dwadzieścia lat.

-Aha.

- Więc przez jakiś czas posiedzi w Cleveland.

- Taaa.

- Taaa.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się jak winowajcy w obliczu śmierci.

- Jak ci tam? - spytał. - W tym Northside?

- No, prawdę mówiąc, nie ma tam fajnych ludzi. - Nie?

- Wiesz, że Ellen pracuje w banku? -

No.

- Kobiety często się tam nawzajem podwożą, jak któraś gdzieś jedzie -ja dawałem Ellen samochód w każdy czwartek. To był jej wkład. W Nortside babki jechały razem do miasta, ale wszystkie należą do jakiegoś klubu, do którego Ellen nie może wstąpić, dopóki nie pomieszka tam przynajmniej rok.

- Cholera, to jakaś dyskryminacja.

- Pieprzyć je - warknął Jack. - Ellen nie wstąpi do tego ich durnego klubu nawet wtedy, gdy te baby przyjdą do niej na klęczkach. Kupiłem jej samochód. Używanego buicka. Uwielbia go. Powinienem to zrobić już dwa lata temu.

- Jak tam dom?

- Świetnie - powiedział Jack z westchnieniem. - Ale prąd jest drogi. Powinieneś zobaczyć nasz rachunek. Ciężko tak płacić, jak się ma dziecko na studiach.

Obaj przestąpili z nogi na nogę. Jack ochłonął i znów zaczął się uśmiechać jak winowajca. Widać było, że jest niemal szczęśliwy na widok dawnego sąsiada i że przeciąga chwilę spotkania, jak może. Nagle przed oczami stanęła mu wizja Jacka snującego się po nowym domu, gdy jedynym jego towarzyszem jest telewizor, a żona zajmuje się pogrzebem matki o tysiące kilometrów stąd.

- Słuchaj, może byś do nas wpadł? - spytał. - Wypijemy sobie piwa, posłuchamy, jak Howard Cosell wyjaśnia, co nie gra w NFL.

- Rany, fajnie.

- Tylko zadzwonię do Mary.

Zadzwonił, a Mary powiedziała, żeby przyszedł. Włożył do piecyka mrożone paszteciki i pójdzie do łóżka, żeby nie zarazić Jacka.

- Jak mu tam jest?

- Chyba dobrze. Marę, matka Ellen nie żyje. Ellen wyjechała na pogrzeb. Rak.

- O, nie!

- Więc pomyślałem, że Jack nie powinien zostać sam.

- Jasne. - Milczała przez chwilę. - Bowiedziałeś mu, że bożemy być sąsiadami?

- Nie. Tego mu nie mówiłem.

- Powinieneś. Boże go to rozweseli.

- Jasne. Do widzenia. -Pa.

- Weź aspirynę przed snem.

- Dobrze.

-Pa.

- Pa, George. - Odłożyła słuchawkę.

Spojrzał na telefon wstrząśnięty. Nazywała go tak tylko wtedy, gdy była z niego wyjątkowo zadowolona. Grę we Freda i George'a wymyślił Charlie.

Wrócił do domu z Jackiem Hobartem i obejrzeli mecz. Wypili dużo piwa. Nie było dobre.

Kwadrans po dwunastej Jack wszedł do samochodu, żeby wrócić do domu. Podniósł wzrok i powiedział:

- Do diabła z tą autostradą. Wszystko spieprzyła.

- Jasne. - Jack wydał mu się stary, a to go przestraszyło. Byli rówieśnikami.

- Bądźmy w kontakcie, Bart.

- Dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie słabo, trochę pijani, trochę chorzy. Patrzył za samochodem Jacka tak długo, aż jego reflektory zniknęły za łagodnym wzniesieniem.

27 LISTOPADA 1973

Od tego nocnego życia miał lekkiego kaca i był trochę senny. Burczenie pralek i monotonne łup-sss prasowalnic łupały go w skroniach.

Freddy był jeszcze gorszy. We Freddy'ego wstąpił dziś diabeł.

Słuchaj, mówił Fred. To twoja ostatnia szansa, mój chłopcze. Masz jeszcze całe popołudnie, możesz pójść do biura Monohana. Jeśli zostawisz to do piątej po południu, będzie za późno.

Opcja wygasa dopiero po północy.

Tak, owszem. Ale zaraz po godzinach pracy Monohan dostanie nagłej tęsknoty za krewnymi i poczuje nieodpartą potrzebę, żeby ich odwiedzić. Na Alasce. Dla niego oznacza to różnicę między czterdziestu pięcioma a pięćdziesięcioma tysiącami dolarów - cena nowego samochodu. Dla takich pieniędzy można wiele zrobić. Dla takich pieniędzy można odkryć, że ma się krewnych w kanałach pod Bombajem.

Ale to nieważne. To zaszło już za daleko. Pozwolił, by ta maszyna zbyt długo pracowała bez niego. Zbliżająca się eksplozja jakby go zahipnotyzowała, prawie go uwiodła.

Przez całe popołudnie siedział w pralni, przyglądając się, jak Ron Stone i Dave wypróbują nowe proszki. W pomieszczeniu panował

hałas. Głowa mu od niego pękała, ale przynajmniej nie słyszał własnych myśli.

Po pracy wyprowadził samochód z parkingu - Mary pożyczyła mu go z radością, ponieważ miał obejrzeć ich nowy dom - przejechał przez centrum i skierował się do Norton.

W Norton na każdym rogu i przed każdym barem stali czarni. Przed restauracjami widniały reklamy kuchni regionalnych. Dzieci skakały i grały w klasy na chodnikach. Przed anonimową kamienicą zatrzymał się samochód alfonsa - wielki różowy cadillac eldorado. Czarny, który z niego wysiadł, był wysoki jak koszykarz, miał biały kapelusz i kremowy garnitur z guzikami z masy perłowej oraz czarne buty na platformach z ogromnymi złotymi klamrami. Miał też trzciniową laskę z gałką z kości słoniowej. Powoli, majestatycznie podszedł do maski z przyczepionymi rogami karibu. Małe srebrne łyżeczka, zwisająca mu na łańcuszku na szyi, migotała w jesiennym słońcu. Dzieci podbiegły do niego, domagając się cukierków.

Dziewięć przecnic dalej zabudowa się przerzedziła, a pojawiły się surowe, nagie pola, jeszcze rozmiękłe i błotniste. W rozpadlinach stały kałuże, ich powierzchnie lśniły jak płaskie, trujące tęcze. Po lewej stronie, tuż nad horyzontem samolot schodził do lądowania na miejskim lotnisku.

Znalazł się na trasie 16, na bezludziu pomiędzy centrum miasta a jego granicami. Minął McDonalda i parę barów szybkiej obsługi, minął lodziarnię i hotel, zamknięte po sezonie, minął kino samochodowe; na plakacie reklamowym widniało:

PIAT., SOB., NIEDZ.

**NIESPOKOJNE ŻONY
SATYSFAKCJA GWARANTOWANA
KOSMICZNE JAJA**

TYLKO DLA DOROSŁYCH!!!

Minął kręgielnię i szkołę jazdy, zamknięte po sezonie. Minął parę stacji benzynowych - przed dwiema stały tablice, na których widniało:

PRZEPRASZAMY BRAK BENZYNY

Do przydziału benzyny na grudzień zostało jeszcze cztery dni. Jakoś nie mógł wykrzesać w sobie współczucia dla kraju, który zbli-

żał się na skraj kryzysu paliwowego - ten kraj zbyt długo marnował benzynę, żeby zasługiwać na współczucie - ale potrafił współczuć szaremu człowiekowi, któremu wielkie drzwi przytrzasnęły fajfusa.

Pół kilometra dalej pojawiły się „Używane samochody Magliore”. Nie wiedział, czego się właściwie spodziewał, ale poczuł się zawiedziony. Sklep wyglądał jak podupadająca firma krzak. Samochody stały na parkingu przy drodze, ogrodzonym sflaczałymi sznurami łopoczących chorągiewek - czerwonych, żółtych, niebieskich, zielonych - które przywiązano do latarni, oświetlających parking w nocy. Na przednich szybach samochodów widniały napisy:

795\$ *Dobrze
jeździ!*

Albo:

550\$ *Dobry środek
transportu!*

A na starym brudnym valiancie ze sflaczałymi oponami i rozbitą szybą:

75\$
Oferta specjalna!

Sprzedawca w szarzielonym prochowcu kiwał głową i uśmiechał się twardo do chłopaka w czerwonej jedwabnej marynarce. Stali przy niebieskim mustangu, którego karoserię toczył rak. Chłopak zapamiętał klarował coś sprzedawcy, uderzając dłonią w drzwiczki po stronie kierowcy; rdza osypywała się z nich małymi strużkami. Sprzedawca wzruszał ramionami i nie przestawał się uśmiechać. Mustang tylko stał i z minuty na minutę wyglądał coraz starzej.

Na środku parkingu znajdowało się coś pomiędzy biurem a warsztatem samochodowym. Zaparkował i wysiadł z samochodu. W warsztacie stał stary rozkraczony dodge. Z kanału wyłonił się mechanik, w obu rękach, jak kielich ofiarny, trzymał tłumik.

- E, panie, tu nie wolno parkować. Zatarasował pan wjazd.
- To gdzie mam się zatrzymać?
- Jak pan do biura, to na zapleczu.

Pojechał na zaplecze, ostrożnie sunąc wąską ścieżką pomiędzy przedrzewiałymi metalowymi ścianami warsztatu i szeregiem samochodów. Zaparkował za warsztatem i wysiadł. Skrzywił się od uderzenia wiatru, silnego i przenikliwego. Twarz przyzwyczaiła mu się do ciepła samochodu; musiał zmrużyć oczy, żeby nie zaczęły łzawić.

Na tyłach znajdowało się cmentarzysko samochodów. Ciągnęło się w nieskończoność, zdumiewający widok. Samochody przeważnie zostały ogołoczone z części i teraz stały na samych osiach jak ofiary jakiejś potwornej zarazy, zbyt zaraźliwej, by je pogrzebać. Puste oczodoły po reflektorach gapiły się na niego martwo.

Wrócił do warsztatu. Mechanik zakładał tłumik. Na sterście opon po prawej balansowała chwiejnie butelka coca-coli.

- Czy jest pan Magliore? - zawołał. Rozmawiając z mechanikami, zawsze czuł się jak palant. Pierwszy samochód kupił dwadzieścia cztery lata temu, a mimo to podczas każdej rozmowy z mechanikiem czuł się jak przyszczaty nastolatek.

Mechanik obejrzał się przez ramię, nie przerywając pracy.

- Taaa, jest z Manseyem. Obaj w biurze.

- Dziękuję.

-Aha.

Wszedł do biura. Na ścianach tapeta imitująca sosnowe drewno, na podłodze zabłocone linoleum w czerwono-białe kwadraty. Dwa stare krzesła, pomiędzy nimi wyświechtane gazety - „Outdoor Life”, „Field and Stream”, „True Argosy”. Krzesła były puste. Pojedyncze drzwi, prawdopodobnie prowadzące do wewnętrznego gabinetu, po lewej stronie mała budka, przypominająca kasę w kinie. W budce kobieta coś liczyła na maszynie. We włosach miała żółty ołówek. Na chudej szyi kołysały się jej okulary na łańcuszku wysadzonym sztucznymi brylancikami. Podeszedł do niej, nagle zdenerwowany. Zanim zaczął mówić, obliznął wargi.

- Przepraszam...

Podniosła głowę.

-Tak?

Coś go kusiło, by powiedzieć: chcę się zobaczyć z Jednookim Sal-lym, rusz dupę, suko. Zamiast tego wydukał:

- Byłem umówiony z panem Magliore.

- Tak? - Przez chwilę przyglądała się mu nieufnie. Zaczęła przerzucać karteczki koło maszyny do liczenia. Wyjęła jedną. - Pan się nazywa Dawes? Barton Dawes?

-Tak.

- Proszę wejść. - Wykrzywiła się w uśmiechu i znowu zaczęła dźwigać palec w maszynę do liczenia.

Zdenerwował się, i to bardzo. Na pewno już wiedzieli, że ich oszukał. Zajmowali się tu jakimiś nielegalnymi interesami, można to było poznać po sposobie, w jaki Mansey wczoraj z nim rozmawiał. I wiedzieli, że on wie. Może lepiej wyjść stąd, piorunem pojechać do biura Monohana i złapać go, zanim wyjedzie na Alaskę, do Timbuktu czy gdzie tam jeszcze się wybiera.

Wreszcie, odezwał się Freddy. Chłopak zaczyna myśleć rozsądnie.

Na złość Freddyemu podszedł do drzwi, otworzył je i wkroczył do gabinetu. Znajdowało się w nim dwóch mężczyzn. Ten za biurkiem był gruby i miał okulary z grubymi szklami. Ten drugi był chudy jak szczapa i miał na sobie łososiową kurtkę, która skojarzyła się mu z Vinniem. Pochylił się nad biurkiem. Obaj oglądali katalog.

Podnieśli głowy. Magliore uśmiechnął się zza biurka. Jego oczy za szklami okularów wydawały się wyblakłe i ogromne, jak żółtka jajek po wiedeńsku.

- Pan Dawes? -

Tak.

- Miło, że pan wpadł. Może pan zamknąć drzwi?

- Jasne.

Zamknął je. Kiedy się odwrócił, Magliore już się nie uśmiechał. Mansey też nie. Patrzyli na niego, a temperatura w pokoju spadła o czterdzieści stopni.

- Dobra - odezwał się Magliore. - Co jest grane?

- Chciałem z panem porozmawiać.

- Rozmawiam za darmo, ale nie z takimi gównojadami. Zadzwoń do Pete'a i wstawileś mu jakąś ściemę o dwóch eldorado. - Wymówił to „eldorajdo”. - Teraz mówisz do mnie. Mów, co kombinujesz.

Staął przy drzwiach.

- Słyszałem, że sprzedaje pan różne rzeczy.

- Tak, zgadza się. Samochody. Sprzedaję samochody.

- Nie. Inne. Na przykład... - Rozejrzał się po ścianach oklejonych imitacją sosny. Bóg jeden wie, kto tu założył podsłuch. - Inne rzeczy - zakończył, a słowa zabrzmiały nie kulawo, ale wręcz paralitycznie.

- Rzeczy, czyli narkotyki, kurwy („kurwi”) i hazard? A może chciałeś wynająć mordercę i skasować żonę albo szefa? - Magliore zobaczył jego grymas i roześmiał się zgrzytliwie. - Nieźle, facet, nieźle jak na gów-

nojada. To było przedstawienie pod tytułem „A jeśli tu jest podsłuch?”
- zgadza się? Uczą tego na pierwszej lekcji w akademii policyjnej, tak?

- Nie, ja nie jestem...

- Stul pysk - odezwał się Mansey. Trzymał w obu rękach katalog. Miał wymanikiurowane paznokcie; takie paznokcie widywał tylko w reklamach telewizyjnych, w których spiker musiał trzymać butelkę aspiryny czy czegoś w tym rodzaju. - Jak Sal będzie chciał, żebyś mówił, to ci powie, żebyś mówił.

Zamrugnął powiekami i zamknął gębę. To było jak zły sen.

- Chłopaki, z każdym dniem robicie się głupszy - powiedział Magliore. -1 dobrze. Lubię mieć do czynienia z cepami. Przyzwyczailem się pracować z cepami. Dobrze mi to idzie. No tak. Oczywiście to dla ciebie nie nowina, ale moje biuro jest czyste jak łąka. Sprzątam je co tydzień. W domu mam pudełko od cygar pełne pluskwów. Miniaturowe mikrofony. Magnetofony Sony nie większe od twojej dłoni. Z tym już skończyli. Teraz mi nasyłają takich gównojadów.

- Nie jestem gównojadem - usłyszał własny głos.

Na twarzy Magliorego rozlało się niebywałe zdumienie. Odwrócił się do Manseya.

- Słyszałeś? Mówi, że nie jest gównojadem.

- Taaa, słyszałem - przyświadczył Mansey.

- Wygląda ci na gównojada? -No.

- Nawet gada jak gównojad, nie? -

No.

- Więc jeśli nie jesteś gównojadem - ciągnął Magliore, odwracając się do niego - to kim jesteś?

- Jestem... - zaczął, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Kim jest? Fred, gdzie znikasz, kiedy cię potrzebuję?

- Śmiało, bez krępacji - zachęcił go Magliore. - Policja stanowa? Miejska? Urząd Skarbowy? FBI? Wygląda ci on na federalną biurwę, Pete?

- No - zgodził się Pete.

- Nawet policja miejska nie przysłałaby takiego gównojada, jak ty, brachu. Jesteś federalną biurwą albo prywatnym detektywem. Pierwsze czy drugie?

Poczuł, że wzbiera w nim złość.

- Wywal go, Pete - rozkazał Magliore, tracąc zainteresowanie. Mansey ruszył w jego stronę, nadal z katalogiem w rękach.

A on nagle wrzasnął:

- Ty głupi kutafonie! Jesteś tak głupi, że widzisz pewnie policjantów pod własnym łóżkiem! Pewnie ci się wydaje, że dymają twoją żonę, kiedy tu siedzisz!

Magliore wytrzeszczył na niego oczy, które i tak powiększały szkła okularów. Mansey zastygł z grymasem osłupienia.

- Kutafon? - powtórzył Magliore, sondując to słowo jak naukowiec, który natrafił na nieznaną substancję. - Powiedział: kutafon?

On sam był zdumiony.

- Zaprowadzę go na zaplecze - zaproponował Mansey, znów ruszając w jego stronę.

- Moment - rzucił Magliore. Przyglądał się mu z autentyczną ciekawością. - Powiedziałeś: kutafon?

- Nie jestem z policji! - rzucił. - Nie jestem oszustem. Słyszałem, że sprzedaje pan różne rzeczy ludziom, którzy mają na to pieniądze. A ja mam pieniądze. Nie wiedziałem, że trzeba powiedzieć jakieś hasło, zrobić tajny znak czy inne głupoty. Tak, powiedziałem: kutafon. Przepraszę, jeśli dzięki temu ten facet mnie nie pobije. Chcę... - Obliznął wargi i poczuł, że nie ma już nic do powiedzenia. Magliore i Mansey wpatrywali się w niego z fascynacją, jakby na ich oczach zmienił się w marmurowy grecki posąg.

- Kutafon - sapnął Magliore. - Przeszukaj gościa, Pete.

Pete klepnął go po ramieniu i odwrócił.

- Ręce na ścianę - szepnął z ustami tuż przy jego uchu. Pachniał miętowymi pastylkami. - Nogi rozstawione. Jak na filmach o policjantach.

- Nie oglądam tych filmów - odparł, ale wiedział, o co chodzi, i stanął tak, jak trzeba. Mansey przesunął dłońmi po jego nogach, oklepał kroczce z obojętnością lekarza, wsunął dłoń za pasek, przejechał nimi po bokach, wsunął palec pod kołnierz.

- Czysty - oznajmił.

- No, odwróć się - rozkazał Magliore.

Więc się odwrócił. Magliore nadal chłonał jego widok z fascynacją.

- Chodź tu.

Podszedł.

Magliore stuknął w tafłę szkła na biurku. Pod szkłem widniały fotografie: uśmiechająca się do obiektywu śniada kobieta z okularami przeciwsłonecznymi w kędzierzawych włosach, oliwkowe dzieci pluskające się w basenie, sam Magliore idący po plaży w czarnym kostiumie

mie kąpielowym - wyglądał w nim jak król Faruk - i z wielkim col-
lie u nogi.

- Wyrzucaj.

-Co?

- Wszystko z kieszeni. Wyrzucaj.

Chciał zaprotestować, ale potem pomyślał o Manseyu stojącym tuż
za nim. Wyrzucił wszystko z kieszeni.

Z kieszeni płaszcz zgniecione bilety z kina, do którego poszedł
z Mary. Strasznie dużo śpiewali na tym filmie; nie pamiętał, jaki miał
tytuł.

Zdjął płaszcz. Z marynarki - zapalniczka Zippo z wygrawerowany-
mi inicjałami - BGD. Opakowanie kamieni do zapalniczki. Paczka pa-
pierośców z jednym papierosem w środku. Rolka tabletek na wrzody żo-
łądka. Rachunek z warsztatu, w którym kupił zimowe opony. Mansey
przyjrzał się mu i powiedział z niejaką satysfakcją:

- No, aleś wdepnął.

Zdjął marynarkę. W kieszeni na piersi miał tylko zwitek ligniny.
Z prawej przedniej kieszeni spodni wyjął kluczyki do samochodu i
czterdzieści centów, przeważnie w pięciocentówkach. Z jakiegoś nie-
zrozumiałego powodu pięciocentówki same do niego lgnęły. Nigdy nie
mógł znaleźć dziesiątaka do parkometru, za to miał mnóstwo pięcio-
centówek, które się nie nadawały. Położył portfel na szklanym blacie
obok innych rzeczy.

Magliore wziął go i spojrzał na spłowieły monogram - prezent od
Mary na rocznicę ich ślubu sprzed czterech lat.

- Co znaczy to G? - spytał.

- George.

Magliore otworzył portfel i rozłożył na stole jego zawartość jak
pionki do gry.

Czterdzieści trzy dolary w dwudziestkach i jednodolarówkach.

Karty kredytowe: Shell, Sunoco, Arco, Grant's, Sers, Carey's De-
partment Store, American Express.

Prawo jazdy. Ubezpieczenie. Karta dawcy krwi, A Rh +. Karta bi-
blioteczna. Plastikowa okładka. Kopia metryki. Kilka starych rachun-
ków, niektóre ze starości przetarte na krawędziach. Wydruki z konta,
niektóre z czerwca.

- Co z tobą? - spytał Magliore z irytacją. - Nigdy nie porządkujesz
portfela? Ładujesz do niego, co popadnie, i fazisz z nim przez rok? To
mu źle robi.

Wzruszył ramionami.

- Nie lubię niczego wyrzucać. - Przyszło mu do głowy, że to dziwne - rozłościł się, kiedy Magliore nazwał go gównojadem, ale to, że krytykuje jego portfel, wcale nie zrobiło na nim wrażenia.

Magliore odwrócił plastikową okładkę, w której znajdowały się zdjęcia. Pierwsze przedstawiało Mary mrużącą oczy i wywalającą język. Stare zdjęcie. Wtedy była szczuplejsza.

- Twoja żona?

-Tak.

- Na pewno jest ładna, kiedy nikt jej nie podtyka aparatu pod nos.

Wyjął drugie i uśmiechnął się.

- Twój synek? Też mam syna w tym wieku. Potrafi grać w baseball?

Ha. Na pewno potrafi.

- Tak, to mój syn. Już nie żyje.

- A to przykre. Wypadek?

- Rak mózgu.

Magliore pokiwał głową i obejrzał pozostałe zdjęcia. Ścinki życia: dom na Crestallem Street, on i Tom Grenger w pralni, on na mównicy podczas zjazdu właścicieli pralni, kiedy zorganizowano go w ich mieście (przedstawiał głównego mówcę), grill w ogródku, stał w czapce kucharskiej i fartuchu, na którym widniał napis: „Tata gotuje, mama pilnuje”.

Magliore odłożył okładki, zgarnął karty kredytowe na stosik i podał je Manseyowi.

- Zrób kopię - powiedział. -I weź jeden wydruk z konta. Jego żo na trzyma książeczkę czekową pod kluczem, całkiem jak moja. - Roześmiał się.

Mansey przyglądał mu się z powątpiewaniem.

- Będziesz robić interesy z tym gównojadem?

- Nie nazywaj go gównojadem, to może on nie nazwie mnie kutafonem. - Parsknął świszczącym śmiechem, który urwał się z niepokojącą gwałtownością. - Pilnuj twoich spraw, Petie. Nie wtrącaj się do moich.

Mansey się roześmiał, ale wyszedł.

Magliore patrzył na zamykające się drzwi. Zachichotał. Pokręcił głową.

- Kutafon. Klnę się na Boga, myślałem, że obrzucono mnie już wszystkimi obelgami.

- Po co wam kopie moich kart?

- Mamy udziały w komputerze. Nikt nie posiada całego. Korzystamy z niego na zmianę. Jeśli człowiek zna odpowiednie szyfry, może się

włamać do banków informacji ponad pięćdziesięciu rządzących w tym mieście korporacji. Dlatego zamierzam cię sprawdzić. Jeśli jesteś gliną, dowiemy się tego. Jeśli te karty są fałszywe, też się tego dowiemy. Jeśli są prawdziwe, ale nie twoje, dowiemy się i tego. Ale mnie przekonałeś. Uważam, że nie kłamiesz. Kutafon. - Pokręcił głową i roześmiał się. - Czy wczoraj był poniedziałek? Chłopie, masz szczęście, że nie nazwałeś mnie tak w poniedziałek.

- Czy mogę już powiedzieć, co chciałbym kupić?

- Możesz, i nawet jeśli jesteś gliną i masz przy sobie sześć magnetofonów, i tak nie mógłbyś mnie tknąć. To się nazywa zagwozdka. Ale na razie nie chcę o niczym słyszeć. Wrócisz tu jutro o tej samej porze, a ja ci powiem, czy chcę cię wysłuchać. Nawet jeśli jesteś w porządku, nie muszę ci niczego sprzedawać. Wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

Magliore wybuchnął śmiechem.

- Bo według mnie jesteś świrnięty. Coś ci się oblużowało. Żyjesz w innej czasoprzestrzeni.

- Dlaczego? Bo się brzydsko wyraziłem?

- Nie. Bo przypominasz mi coś, co mi się przydarzyło, kiedy byłem w wieku mojego syna. W naszych stronach płatał się pewien pies. Mieszkaliśmy w slumsach na Manhattanie, w Kuchni Piekielnej, to było przed drugą wojną światową, w czasach wielkiego kryzysu. Jeden gość, nazywał się Piazzi, miał czarną kundlicę imieniem Andrea ⁿⁱ wszyscy nazywali ją suką pana Piazzi. Przez cały czas trzymał ją na łańcuchu, ale suka nie stała się od tego zła... aż do pewnego dnia w sierpniu, kiedy zrobiło się bardzo gorąco. To było mniej więcej w 1937. Skoczyła na dziecko, które chciało ją pogłaskać, i tak je załatwiła, że przez miesiąc smarkacz leżał w szpitalu. Trzydzieści siedem szwów na szyi. Ale ja wiedziałem, że to się musi stać. Suka była na słońcu przez cały dzień, codziennie, przez całe lato. W połowie czerwca przestała machać ogonem na widok dzieci, które ją głaszkowały. Potem zaczęła przewracać oczami. Pod koniec lipca zaczęła cicho warczeć, kiedy głaszkowało ją jakieś dziecko. Wtedy przestałem to robić, przestałem głaszkować sukę pana Piazzi. Jeden chłopak spytał, co jest, Sally? Cykora dostałeś? A ja powiedziałem, nie, nie mam cykora, za to mam rozum. Ten pies się wściekł. A oni wszyscy powiedzieli: daj se spokój, suka pana Piazzi nie gryzie, nigdy nikogo nie drasnęła, nie ugryzłaby nawet niemowlaka, choćby jej wsadził głowę do pyska. A ja powiedziałem: no to ją głaszczcie, żadne prawo nie zakazuje głaszkac

psa, ale mnie na to nie namówicie. I przez jakiś czas wszyscy mówili: Sally ma cykora, Sally to baba, Sally chce, żeby mamusia go uratowała przed suką pana Piazzi. Wiesz, jakie są dzieci.

- Wiem - mruknął. Mansey wrócił z jego kartami kredytowymi i stał w drzwiach, słuchając.

- Aż wreszcie ten, który wrzeszczał najbardziej, dostał za swoje. Luigi Bronticelli, tak się nazywał. Pobożny żyd, tak jak ja, wiesz? - Magliore parsknął śmiechem. - Pewnego sierpniowego dnia, kiedy zrobiło się tak gorąco, że można by usmażyć jajko na chodniku, poszedł pogłaskać sukę pana Piazzi i od tej pory mógł mówić tylko szeptem. Założył salon fryzjerski na Manhattanie i wszyscy nazywali go szepczący Gee.

Magliore uśmiechnął się do niego.

- Przypominasz mi sukę pana Piazzi. Jeszcze nie warczysz, ale kiedy ktoś chce cię pogłaskać, przewracasz oczami. A ogonem przestałeś machać już bardzo dawno temu. Pete, oddaj człowiekowi jego manele.

Mansey podał mu stosik rzeczy.

- Wróc tu jutro, to jeszcze pogadamy - dodał Magliore. Przyglądał się mu, kiedy pakował wszystko z powrotem do portfela. -I mówię ci, uporządkuj ten pierdolnik. Zupełnie zniszczysz dobry portfel.

- Może i tak - odpowiedział.

- Pete, odprowadź człowieka do samochodu.

- Jasne.

Otworzył drzwi i już miał wyjść, kiedy Magliore jeszcze za nim zawołał:

- E, facet, wiesz, co zrobili z suką pana Piazzi? Zabrali ją do schroniska i zagazowali.

Po kolacji, gdy John Chancellor opowiadał o tym, jak to redukcja ograniczenia prędkości na autostradzie do Jersey może wpłynąć na zmniejszenie liczby wypadków, Mary spytała go o dom.

- Termity - wyjaśnił.

Jej uśmiech zgasł jak przepalona żarówka.

- Och. Ale pech, prawda?

- Jutro spróbuję znowu. Jeśli Tom Granger zna jakiegoś dobrego specjalistę od dezynsekcji, zabiorę go ze sobą. Zasięgnę opinii eksperta. Może nie jest tak fatalnie, jak się wydaje.

- Mam nadzieję. To podwórko... i w ogóle... - Zawiesiła tęsknie głos.

Aleś ty dobry, odezwał się niespodziewanie Freddy. Prawdziwy książę. Jak to się stało, że jesteś taki dobry dla swojej żony, George? Wrodzony talent czy musiałeś brać korepetycje?

- Zamknij się - powiedział.

Mary obejrzała się ze zdumieniem.

-Co?

- A... mówiłem do Chancellora. Mam już powyżej uszu tych czarnych przepowiedni jego, Waltera Cronkite'a i całej tej reszty.

- Nie karze się pośląca za to, że przynosi złe wieści - zauważyła i przyjrzała się Johnowi Chancellorowi zatroskanym, niepewnym wzrokiem.

- Masz rację - mruknął i pomyślał: Freddy, ty szmato.

Freddy także mu powiedział, że nie wolno karać pośląca.

Przez chwilę oglądali wiadomości w milczeniu. Potem pojawiła się reklama środka na katar - dwaj mężczyźni, których głowy zmieniły się w klocki flegmy. Kiedy jeden z nich wziął pigułkę, szarozielony blok więżący jego głowę odpadł wielkimi płatkami.

- Chyba jesteś już zdrowsza.

- Chyba tak. Bart, jak się nazywa ten agent?

- Monohan - powiedział odruchowo.

- Nie, nie ten, który sprzedaje wam nową placówkę. Ten nasz.

- Olsen - odparł bez namysłu. Taka nazwa widniała na worku na śmieci.

Wiadomości znowu powróciły na ekran. Mówiono o Davidzie Ben-Gurionie, który dołączył do Harry'ego Trumana w rajskim ministerstwie na tamtym świecie.

- Jak się tam żyje Jackowi? - spytała.

Miał jej powiedzieć, że wcale mu się tam nie podoba, ale usłyszał własny głos mówiący:

- W porządku.

John Chancellor zakończył humorystyczną wiadomością o latających spodkach nad Ohio.

O wpół do jedenastej położył się spać i od razu przyśniły mu się wszystkie znane mu koszmary. Kiedy się obudził, na elektronicznym bu-dziku widniało:

11:22

W swoim śnie stał na rogu w Norton - był to róg Venner i Rice Street. Stał po prawej stronie, tuż pod tabliczką z nazwą ulicy. Na ulicy, przed

sklepem z cukierkami zatrzymała się różowa landara z rogami karibu na masce. Dzieci rzuciły się ku niej ze wszystkich ganków i schodów przed domami.

Po drugiej stronie ulicy siedział wielki czarny pies na łańcuchu przyczepionym do balustrady przed wałącym się ceglanym budynkiem. Do psa zbliżał się ufnie mały chłopczyk.

Chciał do niego zawołać: Nie głaszcz tego psa! Idź po cukierka! - ale nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Alfons w białym garniturze i szerokoskrzydłym kapeluszu zaczął się odwracać bardzo powoli, jak na zwolnionym filmie. Ręce miał pełne cukierków. Stłoczone wokół niego dzieci także się odwróciły. Wszystkie były czarne, tylko chłopczyk zbliżający się do psa był biały.

Pies skoczył, śmignął jak czarna strzała. Chłopczyk krzyknął, zatonął się do tyłu, zasłaniając gardło rękami. Kiedy się odwrócił, spomiędzy palców ciekły mu strużki krwi. To był Charlie.

Wtedy się obudził.

Te sny. Te cholerne sny.

Jego syn nie żył już od trzech lat.

28 LISTOPADA 1973

Kiedy się obudził, padał śnieg, ale ustał, zanim nadeszła pora wyjścia do pralni. Tom Granger wybiegł z budynku z podwiniętymi rękawami koszuli; jego urywany oddech zmieniał się na mroźnym powietrzu w małe, gęste obłoczki. Mina Toma świadczyła, że dzień będzie podły.

- Bart, mamy kłopoty.

-Duże?

- Dość. Johnny Walker miał wypadek w drodze powrotnej z Holiday Inn. Jakiś gość w pontiacu przejechał na czerwonym świetle na Deakman i trzasnął go jak w kaczy kuper. Łomot! - Zamilkł i obejrzał się mimowolnie na drzwi do pralni. Nikt w nich nie stał. - Gliny mówią, że Johnny jest w złym stanie.

- O Jezu kochany.

- Pojechałem tam jakiś kwadrans czy dwadzieścia minut po wszystkim. Znasz to skrzyżowanie...

- Tak, fatalne.

Tom potrząsnął głową.

- Gdyby to wszystko nie było takie kurewsko poważne, człowiek by się posikał ze śmiechu. Wygląda to tak, jakby ktoś spuścił bombę na praczkę. Wszędzie pościel i ręczniki z Holiday Inn. Ludzie zaczęli je kraść, pieprzone hieny, wyobrażasz sobie, do czego jest zdolny człowiek? A furgonetka... Z drzwi po stronie kierowcy nic nie zostało. Złom. Johnny'ego wyrzuciło na drugą stronę.

- Leży w centralnym?
- Nie, u Matki Boskiej. Johnny jest katolikiem, nie wiedziałeś?
- Chcesz ze mną pojechać?
- Lepiej nie. Ron choleruje o ten bojler. - Wzruszył ramionami z zażenowaniem. - Znasz Rona. Życie toczy się dalej.
- Jasne.

Wsiadł do samochodu i pojechał do szpitala Matki Boskiej. Jezu Chryste, ze wszystkich osób, którym się to mogło przydarzyć, Johnny Walker był jedynym pracownikiem pralni oprócz niego, który pracował w „Blue Ribbon” w roku 1953... właściwie Johnny był tu już w 1946. Ta myśl zacisnęła mu gardło. Jakiś omen. Wiedział z gazet, że dzięki rozbudowie autostrady 784 niebezpieczne skrzyżowanie na Deakman stanie się rzadziej używane.

Tak właściwie to Johnny wcale nie miał na imię Johnny. Nazywał się Corey Everett Walker - zobaczył to w jego papierach - ale już dwadzieścia lat temu wszyscy mówili do niego Johnny. Jego żona zmarła w 1956 podczas wakacji w Vermont. Od tego czasu mieszkał z bratem, który zajmował się opróżnianiem miejskich szamb. Ludzie nazywali Rona za plecami „Kamienne jaja”, ale tylko Johnny odważył się czasem użyć tego przezwiska w jego obecności i uchodziło mu to na sucho.

Jeśli Johnny umrze, pomyślał, to ja będę najstarszym pracownikiem pralni. Ale ubaw, Freddy, nie?

Nie, Freddy się nie śmiał.

Brat Johnny'ego siedział w poczekalni przed salą pogotowia, wysoki mężczyzna z rysami Johnny'ego i czerwoną twarzą, ubrany w oliwkowy kombinezon roboczy i czarną kurtkę. Obracał w rękach oliwkową czapkę i wpatrywał się w podłogę. Na dźwięk kroków podniósł głowę.

- Pan z pralni? - spytał.
- Tak. A pan jest... - Nie spodziewał się, że pamięć podsunie mu to imię, ale jednak. - Arnio, tak?
- Tak. Arnio Walker. - Powoli pokręcił głową. - No, nie wiem, panie...

- Dawes.
- Panie Dawes. No, nie wiem. Widziałem go na sali. Bardzo poobijany. Nie jest już młodzieniaszkiem. Złe to wygląda.
- Bardzo mi przykro.
- To fatalne miejsce. To nie była wina tego drugiego. Wpadł w poślizg na śniegu. Powiedzieli, że złamał nos, ale poza tym nic mu nie jest. Śmieszne, jak się to wszystko dzieje, wie pan?
- Tak.
- Pamiętam, jak jechałem do Hemingway, to było w początkach lat sześćdziesiątych, i akurat byłem na drodze do Indiany, kiedy zauważyłem...

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wkroczył ksiądz. Potupał nogami, żeby otrząsnąć buty ze śniegu, i spiesznym krokiem, niemal biegiem, ruszył korytarzem. Na jego widok oczy Arniego Walkera wyszły z orbit i powlekły się szklistym blaskiem strachu. Arnie wydał dziwny, skowyczący dźwięk i usiłował wstać. Przytrzymał go za ramiona.

- Jezu - krzyknął Arnie. - Niesie oleje, widział pan? Da mu ostatnie namaszczenie! Może Johnny już nie żyje!

W poczekalni byli także inni: nastoletni chłopak ze złamaną ręką, starsza kobieta z elastycznym bandażem na nodze, mężczyzna z kciukiem owiniętym gigantycznym opatrunkiem. Spojrzeli na Arniego, a potem wbili wzrok w gazety.

- Spokojnie - powiedział bezmyślnie.
- Niech mnie pan puści. - Arnie się szarpnął. - Muszę go zobaczyć.
- Proszę pana...
- Puszczaj!

Puścił go. Arnie Walker pobiegł w ślad za księdzem i znikł mu z oczu za rogiem, a on siedział przez chwilę na kanapie obitej skajem, zastanawiając się, co robić. Spojrzał na podłogę pełną błotnistych śladów. Spojrzał na pokój pielęgniarek, gdzie przy centrali telefonicznej siedziała jakaś kobieta. Spojrzał za okno i przekonał się, że śnieg przestał padać.

Potem od strony sal opatrunkowych dobiegło przeciągłe łkanie.

Wszyscy podnieśli głowy, na każdej twarzy pojawiła się taka sama mina.

Kolejne łkanie, a potem ostry, szczekliwy wrzask rozpaczy.

Wszyscy wbili wzrok w czytane gazety. Chłopak ze złamaną ręką głośno przełknął ślinę, mącąc ciszę.

A on wstał i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Wszyscy z pralni zbiegli się do niego; Ron Stone ich nie zatrzymywał.

Nie wiem, powiedział. Nie wiem, czy żyje, czy umarł. Sami się dowieďte. Ja niewiem.

Uciekł na górę. Czuł się dziwnie.

- Jak się czuje Johnny? - spytała Phyllis. Po raz pierwszy zauważył, że Phyllis wygląda staro mimo błękitnej płukanki na włosach.

- Źle. Ksiądz dał mu ostatnie namaszczenie.

- O, psiakrew. I to tak blisko Gwiazdki...

- Czy ktoś pojechał na skrzyżowanie, żeby pozbierać ładunek?

Spojrzała na niego z lekką naganą.

- Tom posłał Harry'ego Jonesa. Wrócił pięć minut temu.

- Dobrze - rzekł, ale nic nie było dobrze. Było niedobrze. Przyszło mu do głowy, żeby zejść do pralni i włąć do pralek tyle wybielacza, że by zżarł całe pranie. Kiedy PoUack otworzy maszyny, nie znajdzie w nich nic poza szarym puchem. I to dopiero będzie dobrze.

Phyllis powiedziała coś, czego nie dosłyszał.

- Przepraszam, co?

- Mówiłam, że dzwonił pan Ordner. Prosi, żeby pan zaraz oddzwonił. I jakiś pan nazwiskiem Harold Swinnerton. Powiedział, że przyszły naboje.

- Harold...? - A potem sobie przypomniał sklep Harveya. Tylko że Harvey, tak jak Marley, był już martwy jak kłoda. - A, tak.

Poszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Na tabliczce na jego biurku nadal widniało:

MYŚL! TO MOŻE BYĆ

NOWE DOŚWIADCZENIE

Wziął tę tabliczkę i wrzucił ją do kosza. Klonk.

Usiadł za biurkiem, wziął nową korespondencję i wyrzucił ją do kosza, nie czytając. Zastanowił się i rozejrzał po gabinecie. Na ścianach boazeria. Po lewej stronie dwa dyplomy w ramach: jeden z college'u, drugi z Instytutu Pralniczego, do którego chodził latem 1969 i 1970 roku. Za biurkiem znajdowało się duże zdjęcie, ścisnął na nim dłoń Raya Tarkingtona na parkingu pralni, który właśnie został wylany świeżym asfaltem. Obaj się uśmiechali. W tle widać było pralnię i trzy furgonetki przy rampie. Farba na kominie nadal była bardzo biała.

Siedział w tym gabinecie od 1967, ponad sześć lat. Przed Woodstock, przed zabójstwem Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kin-

ga, przed Nixonem. Całe lata swojego życia spędził w tych czterech ścianach. Miliony oddechów, miliony uderzeń serca. Rozejrzał się, sprawdzając, czy coś poczuje. Poczul lekki smutek. To wszystko.

Posprzątał na biurku, wyrzucił wszystkie osobiste dokumenty i prywatne księgi rachunkowe. Na czystej stronie zamówienia z pralni napisał rezygnację, kartkę wsunął do koperty z nazwą pralni. Zostawił rzeczy, które nie miały znaczenia - spinacze, taśmę klejącą, grubą książeczkę czekową, plik kart pracowniczych, ściągnięty razem gumką.

Wstał, zdjął ze ściany dwa dyplomy i wrzucił je do kosza. Szkło na dyplomie Instytutu Pralniczego pękło. Na ścianie w miejscu, gdzie przez te wszystkie lata wisiały dyplomy, zostały jasne prostokąty. I tyle.

Zadzwoił telefon; podniósł słuchawkę, sądząc, że usłyszy Ordnera. Ale to był Ron Stone. Dzwonił z parteru.

- Bart? -

Tak.

- Johnny umarł pół godziny temu. Chyba nawet nie miał szansy.

- Bardzo mi przykro. Chciałbym zamknąć pralnię na ten dzień.

Ron westchnął.

- Tak będzie najlepiej. Ale nie dostaniesz po głowie od szefów na górze?

- Nie pracuję już dla szefów na górze. Właśnie złożyłem rezygnację. - I proszę. Powiedział. Dzięki temu stało się realne.

W słuchawce zapadła rńartwa cisza. Słyszał po drugiej stronie pralki i monotonne łomotanie prasowalnicy. Nazywali ją młockarnią ze względu na to, co robiła z człowiekiem, który w nią wpadł.

- Chyba nie dosłyszałem - przemówił w końcu Ron. - Wydawało mi się, że powiedziałeś...

- Tak powiedziałem. To koniec. Dobrze mi się pracowało z tobą, Tomem i nawet Vinniem, kiedy trzymał głębę na kłódkę. Ale to koniec.

- Zaraz, Bart, posłuchaj... Nie spiesz się tak. Wiem, że się zdenerwowałeś...

- Nie chodzi o Johnny'ego. - Przerwał, nie wiedząc, czy tak jest rzeczywiście. Może ciągle mógłby zdobyć się na wysiłek i ocalić siebie, ocalić życie, które od dwudziestu lat kwitło pod ochronnym kloszem rutyny. Ale kiedy w pośpiechu na korytarzu minął ich ksiądz, niemal biegnąc do łóżka, na którym umierał lub umarł Johnny, i kiedy Arnie Walker wydał z siebie ten śmieszny skomlący dźwięk, on się poddał. Jakby jego samochód wpadł w poślizg, a on przez jakiś czas łudził się, że prowadzi, po czym zdjął ręce z kierownicy i zasłonił nimi oczy.

- Nie chodzi o Johnny'ego - powtórzył.
- Ale słuchaj... słuchaj... - Ron był chyba bardzo zdenerwowany.
- Porozmawiamy później - rzekł bez przekonania. - Idź, powiedz im, że mają wolne.
- Dobrze. Dobrze, ale...
- Delikatnie odłożył słuchawkę.
- Wyjął z szuflady książkę telefoniczną i znalazł na Żółtych Stronach pozycję BRON. Wykręcił numer sklepu Harveya.
- Tu sklep Harveya.
- Mówi Barton Dawes.
- A, tak. Naboje przyszły wczoraj wieczorem. Mówiłem, że sprowadzę je na długo przed Gwiazdką. Dwieście sztuk.
- Dobrze. Ale po południu będę okropnie zajęty. Czy sklep jest otwarty wieczorem?
- Do dziewiątej aż do samej Gwiazdki.
- Świetnie. Spróbuję zdążyć koło ósmej. Jeśli nie, przyjdę jutro po południu.
- Może być. Więc w końcu to było Boca Rio?
- Boca... - A tak, Boca Rio, gdzie wkrótce uda się na polowanie jego kuzyn Nick Adams. - Boca Rio. Tak, chyba tak.
- Jezu, ale mu zazdroścę. W życiu się tak nie bawiłem jak tam.
- Chwilowe zawieszenie broni - powiedział. Nagle nawiedziła go wizja głowy Johnny Walkera nad elektrycznym kominkiem Stephana Ordnera, z małą plakietką z brązu poniżej, na której widniało:

HOMO PRALNICUS

28 listopada 1973

Trafiony na rogu Deakman

- Słucham? - spytał zbity z tropu Harry Swinnerton.
- Powiedziałem, że też mu zazdroścę - wyjaśnił i zamknął oczy. Naszła go fala mdłości. Zaczyna mi odbijać, pomyślał. Tak to się nazywa.
- A. Hm. No to do zobaczenia.
- Oczywiście. Bardzo dziękuję.
- Odłożył słuchawkę, otworzył oczy i znów rozejrzał się po ogołocnym gabinecie. Przycisnął guzik interkomu.
- Phyllis?
- Tak?

- Johnny nie żyje. Zamykamy.
- Widziałam, że ludzie wychodzą z pralni, i tak pomyślałam. - Miała taki głos, jakby płakała.
- Zanim wyjdiesz, spróbuj mnie połączyć z panem Ordnerem, dobrze?

- Oczywiście.

Obrócił się razem z krzesłem i wyjrzał przez okno. Jaskrawopomarańczowy walec sunął po szosie, ugniatając drogę. To wszystko przez nich, Freddy. To przez nich. Radziłem sobie doskonale, dopóki ci goście z władz miasta nie postanowili wybebeszyć mojego życia. Radziłem sobie, prawda, Freddy?

Freddy?

Fred?

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Dawes.
- Ty zwariowałeś - powiedział Steve Ordner beznamytnie. - Odbiło ci.

- O co ci chodzi?

- O to, że dziś o wpół do dziesiątej osobiście zadzwoniłem do pana Monohana. Ludzie od McAna podpisali akt kupna siedziby w Waterford punkt dziewiąta. Co się stało, do kurwy nędzy?

- To nie jest rozmowa na telefon.

- Też tak sędzę. I sędzę, że będziesz mnie musiał bardzo przekonywać, żeby nie wylecieć z roboty.

- Przestań się mną bawić, Steve.

-Co?

- Nie masz zamiaru mnie tu zatrzymać, nawet jako dozorca. Już złożyłem rezygnację. Zakleiłem kopertę, ale mogę ci zacytować tekst z pamięci. „Odchodzę. Podpisano: Barton George Dawes”.

- Ale dlaczego? - Steve wydawał się zraniony do żywego. Lecz nie skowyczał, jak Arnie Walker. Steve Ordner nie zapłakał pewnie od dnia jedenastych urodzin. Płacz był ostatnią deską ratunku pośledniejszego gatunku.

- O drugiej?

- Świetnie.

- Do widzenia, Steve.

- Bart...

Odłożył słuchawkę i spojrzął tępo w ścianę. Po chwili do gabinetu zajrzała Phyllis, zmęczona, zdenerwowana i zdumiona pod Elegancką

Fryzurką Starszej Pani. Widok szefa, siedzącego w milczeniu w ogołonym gabinecie, nie poprawił jej nastroju.

- Czy mam iść? Bardzo chętnie zostanę, jeśli...

- Nie, idź już. Wróć do domu.

Walczyła z sobą, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale odwrócił się i wyrzwał przez okno, by oszczędzić im obojgu zażenowania. Po chwili drzwi zamknęły się bardzo, bardzo cicho.

Na dole bojler jęknął i ucichł. Na parkingu rozwarczały się silniki samochodów.

A on siedział w pustym gabinecie w pustej pralni, aż wreszcie nadeszła pora spotkania z Ordnerem. To było pożegnanie.

Ordner urzędował w centrum, w jednym z tych nowych wieżowców, które wkrótce się wyludnią w związku z kryzysem energetycznym. Siedemdziesiąt pięter, samo szkło, niemożliwe do ogrzania w zimie, katastrofa klimatyzacyjna w lecie. Biura Amroco znajdowały się na pięćdziesiątym czwartym piętrze.

Zaparkował w podziemnym parkingu, wszedł do windy, która wyniosła go na parter, przeszedł przez drzwi obrotowe i znalazł odpowiedni rząd wind. Wszedł razem z czarną kobietą z ogromnym afro. Była ubrana w sweter i trzymała notes stenotypistki.

- Ma pani ładną fryzurę - odezwał się niespodziewanie, zupełnie bez powodu.

Spojrzała na niego chłodno i nie odpowiedziała. Ani słowa.

Poczekalnia biura Stephana Ordnera była wyposażona w nowoczesne krzesła, a ruda sekretarka siedziała pod „Słonecznikami” Van Gogha. Na podłodze leżał brudnobiały dywan. Rozproszone światło. Rozproszona muzyczka.

Ruda uśmiechnęła się do niego. Była ubrana w czarny sweter, a włosy miała przepasane zwojem złotej przędzy.

- Pan Dawes? -

Tak.

- Może pan wejść od razu.

Więc otworzył drzwi i wszedł od razu. Ordner pisał coś przy biurku z białym z efektownego przezrzystego tworzywa. Za plecami miał wielkie okno z widokiem na zachodnią część miasta. Podniósł głowę i odłożył pióro.

- Witaj, Bart - powiedział cicho.

- Witaj.

- Usiądź.

- To potrwa aż tak długo?

Ordner patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

- Mam ochotę ci dać klapsa. Wiesz? Nie uderzyć, nie pobić. Dać ci klapsa.

- Wiem - powiedział i faktycznie wiedział.

- Pewnie nawet nie zdajesz sobie sprawy, co zmarnowałeś. Podejrzewam, że ludzie od McAna się z tobą skontaktowali. Mam nadzieję, że ci bardzo dobrze zapłacili, ponieważ osobiście cię wyznaczyłem na wiceprezesa tej korporacji. Oznaczałoby to trzydzieści pięć tysięcy na początek. Mam nadzieję, że zapłacili ci więcej.

- Nie dali mi ani centa.

- Naprawdę? -

Tak.

- Więc dlaczego, Bart? Dlaczego, w imię Boga?

- Czemu miałbym ci powiedzieć? - Zajął miejsce, które mu przeznaczone, miejsce petenta po drugiej stronie wielkiego biurka z blatem z przejrzystego tworzywa.

Przez chwilę Ordner wyglądał, jakby się kompletnie pogubił. Potrząsnął głową jak bokser, który oberwał, ale niezbyt mocno.

- Bo jesteś moim podwładnym. Co ty na to?

- Mało.

- Co to ma znaczyć?

- Steve, byłem podwładnym Raya Tarkingtona. On był prawdziwym człowiekiem. Tobie mógłby nie przypaść do serca, ale nawet ty musisz przyznać, że był prawdziwy. Czasami, kiedy się z nim rozmawiało, puszczał gazy, bekał albo wydłubywał woskowię z uszu. Miał prawdziwe problemy. Czasami to ja byłem jednym z tych problemów. Raz, kiedy podjąłem złą decyzję w sprawie rozliczeń z motelem na Crager Plaża, rzucił mną o drzwi. Ty nie jesteś taki jak on. „Blue Ribbon” to dla ciebie klocki Lego. Ja cię nie obchodzi, obchodzi cię tylko własny awans, więc nie wstawiaj mi tu kitu o podwładnych. Nie udawaj, że ugryzłem fiuta, który włożyłeś mi w usta.

Gdyby twarz Ordnera była fasadą domu, nie pojawiłoby się na niej ani jedno pęknięcie. Jego rysy wyrażały umiarkowane zatroskanie, nic więcej.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytał.

- Tak. „Blue Ribbon” obchodzi cię o tyle, o ile ma wpływ na twoją pozycję w korporacji. Dlatego przestań mi tu truć. Masz. - Przesunął rezygnację po blacie z tworzywa.

Ordner jeszcze raz potrząsnął głową.

- A co z ludźmi, których skrzywdziłeś? Z tymi zwykłymi ludźmi? Pominawszy wszystko inne, miałeś ważne stanowisko. - Wymówił te słowa, jakby je smakował. - Co z ludźmi, którzy tracą pracę, bo nie znałaś im nowego lokalu?

Parsknął chrapliwym śmiechem.

- Ty tandeciarzu. Za wysoko siedzisz, żeby spojrzeć w dół, co?

Ordner poczerwieniał.

- Lepiej mi to wytłumacz - powiedział, bardzo ostrożnie dobierając słowa.

- Każda pensja wypłacana w tej pralni, od Toma Grangera po Polacka, ma ubezpieczenie na wypadek utraty pracy. Zarobili sobie. Zapłacili za to. Jeśli trudno ci to skumać, możesz to uznać za koszt własne. Jak obiad z czterema drinkami u Benjaminia.

- To zapomoga, dobrze o tym wiesz - mruknął dotknięty Ordner.

- Ty parszywy tandeciarzu - powtórzył dobitnie.

Dłonie Ordnera zetknęły się, utworzyły podwójną pięść. Zacisnęły się jak ręce dziecka, które uczy się odmawiać paciorek.

- Przechodzisz sam siebie, Bart.

- Nieprawda. To ty mnie tu wezwałeś. Chciałeś, żebym się wytłumaczył. Co spodziewałeś się usłyszeć? Przepraszam, dałem dupy, ale wam to wynagrodzę? Nie przepraszam. Nie wynagrodzę wam tego. A jeśli dałem dupy, to w sprawach między mną a Mary. A ona nigdy się tego nie dowie, nie będzie miała pewności. Chcesz mi powiedzieć, że zaszkodziłem korporacji? Nie sądzę, nawet ty nie jesteś zdolny do takiego kłamstwa. Kiedy korporacja osiąga pewne rozmiary, nic nie może jej zaszkodzić. Zaczyna być dziełem Bożym. Przy dobrym obrocie spraw przynosi wielkie zyski, gdy czasy są złe, po prostu przynosi zyski, a kiedy wszystko się wali w gruzy, daje się odliczyć od podatku. I ty o tym wiesz.

- Co z twoją przyszłością? Co z Mary? - spytał ostrożnie Ordner.

- Ciebie to nie obchodzi. To tylko dźwignia, która według ciebie powinna mnie poruszyć. Pozwól, Steve, że ci zadam pytanie: czy na tym stracisz? Obetną ci pensję? Roczna dywidenda? Fundusz emerytalny?

Ordner pokręcił głową.

- Idź do domu, Bart. Nie jesteś sobą.

- Dlaczego? Bo mówię o tobie, a nie tylko o kasie?

- Coś ci dolega.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedział. Wstał i oparł się pięścią-

mi o przejrzysty blat biurka. - Jesteś na mnie wściekły, ale nie wiesz dlaczego. Ktoś ci powiedział, że jeśli zaistnieje taka sytuacja, powinieneś być wściekły, tylko że nie wiesz dlaczego.

- Coś ci dolega - powtórzył Ordner dobitnie.

- Może i masz rację. Kim jesteś?

- Idź do domu.

- Nie pójdę. Ale dam ci spokój, tego chcesz. Odpowiedz mi tylko na to pytanie. Na jedną sekundę przestań być przedstawicielem korporacji i odpowiedz mi na jedno pytanie. Obchodzi cię to? Czy ta praca coś dla ciebie znaczy?

Wydawało mu się, że Ordner patrzy na niego bardzo, bardzo dłużej. Za jego plecami rozpościerało się miasto - królestwo wieżowców otulone szarością i mgłą.

- Nie - powiedział Ordner.

- W porządku - szepnął. Spojrzał na Ordnera bez wrogości. - Nie zrobiłem tego, żeby ci zaszkodzić. Czy korporacji.

- Więc dlaczego? Odpowiedziałem na twoje pytanie. Ty odpowiedz na moje. Mogłeś kupić tę placówkę w Waterford. Kto inny martwiłby się tym, co stałoby się później. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Nie umiem tego wyjaśnić. Słuchałem samego siebie. Ludzie mówią do samych siebie różnymi językami. Kiedy się to usiłuje wyjaśnić, brzmi to jak najgorszy kit. Ale tak było trzeba.

Ordner wpatrywał się w niego, nie mrugając powiekami.

- A Mary?

Milczał.

- Wracaj do domu, Bart.

- Czego chcesz, Steve?

Ordner niecierpliwie potrząsnął głową.

- Z nami koniec. Jeśli chcesz się z kimś pobić, idź do baru.

- Czego ode mnie chcesz?

- Tylko żeb) • stąd wyszedł i poszedł do domu.

- W takim razie czego chcesz od życia? Gdzie są twoje ważne sprawy?

- Wracaj do domu.

- Odpowiedz! Czego chcesz? - Spojrzał Ordnerowi w oczy.

- Chcę tego, co wszyscy - odpowiedział Ordner cicho. - Wracaj do domu Bart.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. I nigdy tam nie wrócił.

Kiedy dotarł do „Używanych samochodów Magliorego”, śnieg spadał się gęsto i samochody, które go mijały, jechały przeważnie z zapalonymi światłami. Jego wycieraczki poruszały się monotonicznie, a śnieg poza ich zasięgiem topił się na szybie i spływał jak lzy.

Zaparkował na tyłach sklepu i poszedł do gabinetu. Zanim wszedł, spojrzął na swoje upiorne odbicie w szklanej ścianie i zdrapał z warg cienką różową powłokę. Spotkanie z Ordnerem zdenerwowało go bardziej, niż to sobie wyobrażał. Kupił w aptece butelkę środka na wrzody i wypił połowę w drodze do domu. Pewnie przez tydzień nie będzie się mógł wysrać, Fred. Ale Freddy wyszedł z domu. Może musiał odwiedzić krewnych Monohana w Bombaju.

Kobieta przy maszynie do liczenia uśmiechnęła się dziwnie i skinęła, żeby wszedł do gabinetu.

Magliore był sam. Czytał „Wall Street Journal”, ale na jego widok pchnął gazetę przez biurko prosto do kosza na śmieci. Wylądowała z głośnym łupnięciem.

- Wszystko idzie prosto do diabła - oznajmił Magliore, jakby kontynuował dialog rozpoczęty jakiś czas temu. - Wszyscy ci maklerzy to stare baby, jak powiada Paul Harvey. Czy prezydent ustąpi? Co? A nie? A może? Czy GE zbankrutuje przez kryzys energetyczny? Co za wrzód na dupie.

- Tak - odparł, ale nie wiedział, z czym się zgadza. Czuł się niepewnie i nie był do końca przekonany, czy Magliore go kojarzy. Co miał mu powiedzieć? Jestem tym facetem, który cię nazwał kutafonem, pamiętasz? Nie, tak się nie zaczyna rozmowy.

- Pada gęściej, co?

-Tak.

- Nienawidzę śniegu. Mój brat, ten się urządził. Co roku pierwszego listopada wyjeżdża do Puerto Rico i zostaje do piętnastego kwietnia. Ma tam czterdzieści procent udziałów w hotelu. Twierdzi, że musi dopilnować interesów. Gówno prawda. Nie potrafiłby dopilnować własnej dupy, nawet gdyby się nażart węgla w pastylkach. Czego chcesz?

- Co? - Drgnął lekko i poczuł wyrzuty sumienia.

- Przyszedełś pan po coś. Jak mam ci to dać, skoro nie wiem, co to jest?

W obliczu tak brutalnej otwartości poczuł, że słowa przychodzą mu z trudem. Słowo oznaczające to, czego chciał, miało za wiele kantów, nie chciało mu przejść przez gardło. Przypomniawszy sobie coś, co zrobił w dzieciństwie, i uśmiechnął się lekko.

- Co tu jest śmiesznego? - spytał Magliore z szorstką sympatią. - W moim fachu dowcipy się przydają.

- Kiedy byłem mały, wsadziłem sobie jo-jo do ust.

- To ma być śmieszne?

- Nie. Nie mogłem go wyjąć. To jest śmieszne. Matka zabrała mnie do lekarza, a on je wyjął. Uszczypnął mnie w tyłek, a kiedy otworzyłem gębę, żeby wrzasnąć, zwyczajnie je wyszarpnął.

- Dawes, ja cię szczypać nie będę. Czego chcesz?

- Materiałów wybuchowych.

Magliore spojrzął na niego. Przewrócił oczami. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego klepnął się po zwisającym policzku.

- Materiałów wybuchowych.

-Tak.

- Wiedziałem, że ten facet to szajbus - zwierzył się sobie Magliore.

- Od razu tak powiedziałem Pete'owi. „Ten facet czeka, aż mu się przydarzy jakiś wypadek”. Tak mu powiedziałem.

Nie odezwał się. Gadanie o wypadkach przypomniało mu o Johnnym Walkerze.

- Dobra. Dobra, kupuję to. Na co ci, facet, te zabawki? Chcesz wysadzić w powietrze Egipskie Targi Handlowe? Porwać samolot? A może posłać do diabła swoją teściową?

- Szkoda by mi było marnować na nią dynamit - odparł sucho i obaj się roześmieli, ale napięcie nie zelżało.

- Więc o co chodzi? Kto ci przytrzasnął fiuta?

- Nikt. Gdybym chciał kogoś zabić, kupiłbym broń. - Potem sobie przypomniał, że właśnie kupił dwie sztuki, a jego przepelniony medykamentami żołądek znowu zaczął się burzyć.

- Więc po co ci materiały wybuchowe?

- Chcę wysadzić w powietrze drogę.

Magliore przyjrzał się mu z hamowanym niedowierzaniem. Wszystkie jego emocje wydawały się nadnaturalnej wielkości; tak jakby dostosował charakter do powiększających szkieł w okularach.

- Wysadzić drogę? Którą?

- Jeszcze jej nie zbudowano. - Zaczął czerpać z tego jakąś perwersyjną przyjemność. I, oczywiście, był to jakiś sposób na odwołanie nieuniknionej konfrontacji z Mary.

- Więc chcesz wysadzić drogę, której jeszcze nie ma. Źle cię oceniłem, facet. Nie jesteś szajbuszem. Jesteś psychopatą. Rozumiesz?

Zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

- Miasto buduje drogę, znaną jako przedłużenie autostrady 784. Kiedy będzie gotowa, autostrada przetnie całe miasto. Z powodów, których nie chcę tu wyjaśniać - ponieważ nie mogę - ta droga zniszczyła dwadzieścia lat mojego życia. Jest...

- Bo zburzą pralnię, gdzie pracujesz, i twój dom?

- Skąd pan to wie?

- Chyba mówiłem, że cię sprawdzę? Myślałeś, że bujam? Wiem nawet, że stracisz robotę. Może sam tego nie wiesz.

- Nie, wiedziałem już miesiąc temu - odparł bez namysłu.

- I jak zamierzasz to zrobić? Chcesz wjechać na teren budowy, zapalić lont cygarem i wyrzucać dynamit z samochodu?

- Nie. Podczas świąt zostawiają maszyny na budowie. Zamierzam je wysadzić w powietrze. Ponadto wszystkie trzy nowe wiadukty. Też je wysadzę.

Magliore wytrzeszczał na niego oczy. Trwał tak bardzo długo. Potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Brzuch trząsł się mu jak galareta, a kłamra paska podskakiwała. Te śmiech był gromki, serdeczny i szczerzy. Śmiał się aż do łez, a wtedy wyciągnął z kieszeni ogromną chusteczkę jak z opery komicznej i wytarł twarz. A on stał, przyglądając się ryczącemu Maglioremu, i nagle zrozumiał, że ten grubas w grubych okularach sprzeda mu dynamit. Przyglądał się mu, lekko uśmiechnięty. Nie przeszkadzał mu ten śmiech. Dziś śmiech sprawiał mu przyjemność.

- Facet, odbiło ci, nie ma co - wykrztusił Magliore, kiedy śmiech wreszcie przeszedł w chichoty i czkawkę. - Szkoda, że Pete tego nie słyssał. Nigdy mi nie uwierzy. Wczoraj ten kutafon, a dzi-dziś... dziś... - I znowu ryknął śmiechem, ocierając łzawiące oczy.

W końcu się opanował.

- Jak zamierza pan sfinansować ten kaprys, drogi panie? Skoro nie ma pan już stałych dochodów?

Zabawnie to sformułował. Stałe dochody. Kiedy się o tym pomyślało w ten sposób, wszystko zrobiło się bardzo prawdziwe. Stracił pracę. I to nie był sen.

- W zeszłym miesiącu wycofałem ubezpieczenie na życie. Od dziesięciu lat wpłacałem na polisę. Zebrało się jakieś trzy tysiące dolarów.

- Planowałeś to od dziesięciu lat?

- Nie - powiedział szczerze. - Kiedy wypłaciłem pieniądze, jeszcze nie wiedziałem, po co mi one.

- Bo co, nie mogłeś się zdecydować? Myślałeś, że spalisz drogę, rozstrzelasz ją, udusisz albo...

- Nie, po prostu nie wiedziałem, co zrobię. Teraz wiem.

- Ja w to nie wchodzę.

- Co? - Drgnął, szczerze zaskoczony. Tego nie było w scenariuszu. Magliore miał go przeczłogać, dać mu ojcowską reprimendę, a potem sprzedać dynamit. Miał zastrzec sobie prawo do wyparcia się wszystkiego, coś w rodzaju: „Jeśli cię złapią, powiem, że nigdy w życiu cię nie widziałem”.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem: nie. N - i - e. Czyta się: nie. - Magliore pochylił się ku niemu. Rozbawienie całkiem zniknęło mu z oczu, które stały się twarde i nagle bardzo małe mimo powiększających szkieł. Nie były to oczy rubasznego neapolitańskiego Świętego Mikołaja.

- Chwileczkę - powiedział. - Jeśli mnie złapią, powiem, że nigdy o panu nie słyszałem. Nie wymienię pańskiego nazwiska.

- Gówno prawda. Wygadasz wszystko i udasz wariata. A ja dostanę dożywocie.

- Nie, niech pan posłucha...

- Sam słuchaj. Byłeś zabawny - do pewnego momentu. Ten moment już minął. Powiedziałem, że nie, i mówiłem poważnie. Nie dostaniesz broni, dynamitu, niczego. A dlaczego? Bo ty jesteś świrem, a ja człowiekiem interesu. Ktoś ci powiedział, że mogę zdobyć pewne rzeczy. Tak, mogę. Zdobywałem mnóstwo rzeczy dla mnóstwa osób. Dla siebie też coś ukręciłem. W 1946 dostałem dwa lata za chodzenie z ukrytą nielegalną bronią. Odsiedziałem dziesięć miesięcy. W 1952 oskarżyli mnie o spisek, z czego się wybroniłem. W 1955 oskarżyli mnie o niepłacenie podatków, z czego się również wybroniłem. W 1959 oskarżyli mnie o handel kradzionymi towarami, z czego się już nie wybroniłem. Odsiedziałem półtora roku w Castleton, ale facet, który mnie wsypał, dostał przytulną kwaterę na cmentarzu. Od 1959 oskarżali mnie jeszcze trzy razy, dwa razy sprawę oddalono, raz się wybroniłem. Bardzo by chcieli znowu mnie o coś oskarżyć, bo gdyby im się udało, wsadziliby mnie na dwadzieścia lat bez możliwości wyjścia za dobre zachowanie. Jak się ma tyle lat co ja, to się wychodzi z pierdła wyłącznie w postaci nerek, które przeszczepią jakiemuś czarnuchowi w szpitalu. Dla ciebie to jakaś zabawa. Walnięta, ale zabawa. Ja się nie bawię. Wydaje ci się, że naprawdę będziesz trzymać głowę na kłódkę, lecz to kłamstwo. I nie okłamujesz mnie, tylko siebie. Więc odpowiadam krótko: nie. - Uniósł ręce. - Jezu, gdyby chodziło ci o kurwy, dałbym ci dwie za darmo, za samo to przedstawienie, któreś tu wczoraj odstawił. Ale o tym, czego chciałeś, nie ma mowy.

- Dobrze - powiedział. Żołądek bolał go bardziej niż do tej pory. Groził wymiotami.

- Nie mam tu podsłuchu - dodał Magliore - i dobrze o tym wiem. Co więcej, zdaję sobie sprawę także, że ty też jesteś czysty, choć Bóg jeden wie, że długo taki nie zostaniesz, jeśli dalej będziesz się tak zachowywać. Ale coś ci powiem. Jakies dwa lata temu przyszedł do mnie jeden czarny i oznajmił, że chce dynamit. Nie planował takiego nieszkodliwego zamachu jak ta twoja droga. Chciał wysadzić całą, kurwa, sąd federalny.

Nie mów nic więcej, pomyślał, zaraz się porzygam. Czuł w żołądku pełno piórek i wszystkie go łaskotały.

- Sprzedałem mu jakieś gówno. Trochę tego, trochę owego. Dobieliśmy targu. On pogadał ze swoimi, ja ze swoimi. Pieniądze zmieniły właściciela. Mnóstwo pieniędzy. Tamto gówno też zmieniło właściciela. Dzięki Bogu ten gość i dwaj jego kolesie wpadli, zanim zdążyli zrobić komuś krzywdę. Ale ja ani na chwilę nie pomyślałem, że gość wyśpiewa wszystko glinom, prokuratorowi czy federalnym biurwom. Wiesz czemu? Bo to była cała paczka świrów, czarnych świrów, tacy są najgorsi, a paczka świrów to zupełnie inna para kaloszy. Jeden świrus, jak ty, to nic dobrego. Śpiewa jak kanarek. Ale kiedy zejdzie się ich trzydziestu i trzech wpadną, ci trzej zamykają gęby na kłódkę i boją się odechnąć.

- Dobrze - powtórzył. Oczy zrobiły mu się zapuchnięte i rozpalone.

- Słuchaj - dodał Magliore trochę spokojniej. - Za trzy tysiące i tak nic byś nie zwojował. To jak czarny rynek, wiesz? Za to, czego chcesz, musiałbyś zapłacić trzy lub cztery razy więcej.

Nie odpowiedział. Nie mógł odejść, dopóki Magliore go nie odprawił. To było jak koszmar, tyle że działo się na jawie. Musiał sobie ciągle powtarzać, że nie może zrobić nic głupiego w obecności Magliorego, jakby usiłował się ocucić.

- Dawes...?

-Co?

- Z tego i tak by nic nie wyszło. Nie wiesz? Możesz wysadzić w powietrze człowieka, górę albo arcydzieło, jak ten szalony gówniarz, który podniósł młotek na Pietę, oby mu usechł fajfus. Ale nie możesz zburzyć budynku, drogi czy czegoś w tym rodzaju. To coś, czego te walnięte czarnuchy nie potrafią pojąć. Jeśli wysadzisz w powietrze sąd federalny, rząd zbuduje na jego miejsce dwa takie same -jeden na miejscu te go zburzonego i drugi po to, żeby sądzić w nim każdego czarnucha, któ-

rego wykopali z pierwszego. Jeśli zaczniesz zabijać gliny, na miejsce każdego zabitego najmą sześcioru nowych - i każdy z nich będzie myślał tylko o tym, jak by tu wykończyć jak najwięcej czarnych. Ty też nie możesz wygrać. Biały czy czarny, jeśli staniesz tym ludziom na drodze, wdepczą cię w ziemię razem z domem i posadą.

- Muszę już iść - usłyszał własny ochrypły głos.

- Aha, nie wyglądasz za dobrze. Musisz to z siebie wyrzucić. Mogę ci sprowadzić starą kurwę, jeśli tego ci potrzeba. Starą i głupią. Możesz ją stłuc na kwaśne jabłko. Pozbądź się tej trucizny. Jestem trochę do ciebie podobny i...

Uciekł. Uciekł na oślep, przez drzwi i poczekalnię prosto w śnieg. Stał, dygocząc, łapczywie łykając wielkie mroźne hausty powietrza. Nagle wydało mu się pewne, że Magliore za nim wyjdzie, złapie za kołnierz, zaciągnie do gabinetu i będzie gadać do końca świata. Kiedy Archanioł Gabriel odtrąbi Apokalipsę, Jednooki Sally nadal będzie cierpliwie omawiał niezniszczalność wszelkich systemów i namawiał go na starą kurwę.

Kiedy dotarł do domu, napadało już z piętnaście centymetrów śniegu. Pługi przejechały inną trasą, więc w drodze do własnego podjazdu musiał przepchnąć LTD przez skamieniałą grudę. LTD nie robiło trudności. Dobry, ciężki samochód.

W domu panowały ciemności. Kiedy otworzył drzwi i wszedł, otrząsnąwszy buty ze śniegu, przekonał się, że panuje tu także cisza. Marv Griffin nie gawędził z gwiazdami.

- Mary? - zawołał. Nie doczekał się odpowiedzi. - Mary?

Prawie uwierzył, że wyszła, ale usłyszał płacz w salonie. Zdjął płaszcz i powiesił go w szafie. Na podłodze pod wieszakami stało małe pudełko. Puste. Mary stawiała je tu każdej zimy - na kapiące krople wody. Czasami zadawał sobie pytanie: kogo obchodzą krople wody w szafie? Teraz objawiła mu się odpowiedź, doskonała w swej prostocie. Obchodziły Mary. Właśnie ją.

Poszedł do salonu. Mary siedziała na kanapie przed wyłączonym zenitem. Płakała. Nie korzystała z chusteczki, ręce miała opuszczone bezwładnie. Zawsze płakała na osobności, uciekała do sypialni na górze, a jeśli płacz ją zaskoczył, kryła twarz w rękach lub chustce. Teraz jej twarz wydawała się naga, nieprzyzwoicie obnażona, jak twarz ofiary katastrofy lotniczej. Serce ścisnęło mu się na jej widok.

- Mary - odezwał się miękko.

Płakała dalej, nie patrząc na niego. Usiadł obok niej.

- Mary - powtórzył. - Nie jest tak źle. Na pewno. - Ale nie był tego pewien.

- To koniec wszystkiego - powiedziała; płacz rwał jej słowa na strzępy. Dziwne, ale uroda, której nigdy naprawdę nie osiągnęła ani naprawdę nie straciła, teraz rozświetliła jej twarz. W chwili ostatecznej katastrofy Mary stała się piękną.

- Kto ci powiedział?

- Wszyscy! - krzyknęła. Ciągle na niego nie patrzyła, ale jedna jej dłoń uniosła się i zrobiła konwulsyjny, gwałtowny ruch w powietrzu, zanim znów opadła na nogawkę spodni. - Zadzwoił Tom Granger. Potem żona Rona Stone'a. I Vincent Mason. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się z tobą dzieje. A ja o niczym nie miałam pojęcia! Nie miałam pojęcia, że coś jest nie tak!

- Mary... - Usiłował ująć jej dłoń. Cofnęła ją, jakby bała się zarazić.

- Chcesz mnie ukarać? - spytała i wreszcie na niego spojrzała. - O to ci chodzi? Chcesz mnie ukarać?

- Nie! - zaprotestował z mocą. - Och, Mary, nie! - Miał ochotę się rozplakać, ale to nie byłoby dobre. To nie byłoby dobre.

- Bo dałam ci martwe dziecko, a potem dziecko z wbudowanym mechanizmem autozniszczenia? Uważasz, że zamordowałam twojego syna? Czy to dlatego?

- Mary, to był nasz syn...

- Był twój!!! - krzyknęła.

- Przestań, przestań... - Usiłował ją objąć; wyszarpnęła się.

- Nie waż się mnie dotknąć!

Spojrzeni na siebie zdumieni, jakby po raz pierwszy odkryli, że jest w nich o wiele więcej, niż mogli się spodziewać - rozległe białe plamy na mapie ich wewnętrznych krajobrazów.

- Mary, musiałem to zrobić. Błagam cię, uwierz. - Ale to mogło być kłamstwo. Mimo to brnął dalej. - Jeśli to miało coś wspólnego z Charliem, no, to... miało. Zrobiłem rzeczy, których nie rozumiem. W październiku... wziąłem pieniądze z polisy ubezpieczeniowej. To była pierwsza z tych rzeczy, pierwsza prawdziwa rzecz, ale w mojej głowie zaczęło się coś dziać na długo przedtem. Tylko że łatwiej jest coś zrobić, niż o tym mówić. Rozumiesz? Możesz spróbować mnie zrozumieć?

- Co się ze mną stanie? Nie umiem niczego, potrafię tylko być twoją żoną. Co się ze mną stanie?

- Nie wiem.

- To tak, jakbyś mnie zgwałcił - powiedziała i znowu zaczęła płakać.
- Proszę cię, nie rób tego więcej. Nawet... nie próbuj.
- Czy kiedy robiłeś te swoje rzeczy, nie pomyślałeś o mnie? Nie pomyślałeś, że od ciebie zależę?

Nie potrafił odpowiedzieć. Na pewien dziwny, odległy sposób było to jak powtórna rozmowa z Magliorem. Tak jakby Magliore dobiegł do jego domu, włożył pas do pończoch, ubranie Mary i jej maskę. Co będzie dalej? Zaproponuje mu starą kurwę?

Wstała.

- Idę na górę. Chcę się położyć.
- Mary... - Nie przerwała mu, ale przekonał się, że za tym pierwszym słowem nie czeka żadne inne.

Wyszła z pokoju. Usłyszał jej oddalające się kroki. Potem skrzypnięcie łóżka. I znowu jej płacz. Wstał, włączył telewizor i podkręcił głos tak, żeby jej nie słyszeć. Na ekranie Merv Griffin gawędził z gwiazdami.

CZĄŚĆ DRUGA

GRUDZIEŃ

*Miłości, uczyfiżę nas prawdziwymi
Dla siebie i dla świata, który się przed nami
Rozpostarł jak kraj marzeń,
Tak różny, tak piękny, tak nowy.
Nie poznaliśmy szczęścia prawdziwego,
Ani miłości, światła ni pewności,
Pokoju ani ukojenia w bólu.
Oto jesteśmy tutaj, a w mrocznej dolinie
Zwarły się nocą nieświadome armie,
Walczą bezładne armie trudu i paniki.*

- Matthew Arnold
„Dover Beach”

5 GRUDNIA 1973

Pił swojego prywatnego drinka, southern comfort z seven up, i oglądał jakiś film, którego tytułu w ogóle nie kojarzył. Jego bohaterem był policjant w cywilu, względnie prywatny detektyw, którego właśnie jakiś facet zdzielił w głowę. W związku z tym policjant w cywilu (ewentualnie prywatny detektyw) nabrał przekonania, że jest już blisko. Zanim jednak zdążył wyjaśnić blisko czego, pojawiła się reklama sosu w proszku. Jakiś człowiek oznajmił, że ów proszek wymieszany z ciepłą wodą staje się prawdziwym sosem. Spytał widzów, czy nie wygląda to jak wołowy gulasz. Według Bartona George'a Dawesa wyglądał jak produkt końcowy rozwolnienia, który ktoś podał w czerwonej psiej misce. Reklama się skończyła. Prywatny detektyw (bądź też policyjny wywiadowca w cywilu) przesłuchiwał czarnego barmana, który był już notowany. Barman użył słowa „zajebisty”. I zwrotu „płyn stąd”. I jeszcze słowa „gostek”. To był bardzo wyluzowany barman, a jednak Barton George Dawes miał wrażenie, że prywatny gliniarz (jak również cywilny detektyw) sobie z nim poradzi.

Był już bardzo pijany. Oglądał telewizję, mając na sobie tylko szorty. W domu było gorąco. Podkreślił termostat do oporu i nie zmienił nic od odejścia Mary. Jaki kryzys energetyczny? Pieprzyć was wszystkich. Na autostradzie pruć sto dwadzieścia na godzinę, a kierowcom, którzy na niego trąbili, żeby zwolnił, pokazywał odpowiedni palec. Dwa dni temu wieczorem w telewizji wystąpiła specjalistka od spraw konsumenckich, która w latach trzydziestych była chyba dziecięcą gwiazdką, zanim upływający czas zmienił ją w politycznego hermafrodytę. Mówiła o tym jak to JA I TY!!! możemy oszczędzać w domu elektryczność. Nazywała się Virginia Knauer i cholernie dużo wiedziała o tym, jak JA I TY możemy oszczędzać prąd, ponieważ nadeszły ciężkie czasy, które dotyczą nas wszystkich. Po programie poszedł do kuchni i włączył blender. Pani Knauer twierdziła, że blendery są dru-

gimi w kolejności najgroźniejszymi pożeraczami prądu w gospodarstwie domowym. Włączył blender na całą noc, a kiedy wstał rano - to było wczoraj - blender był przepalony. Największym pożeraczem prądu według pani Knauer były przenośne grzejniki elektryczne. Nie posiadał przenośnego grzejnika elektrycznego, ale przez jakiś czas zastanawiał się, czyby go nie kupić i nie zostawić włączonego tak długo, aż się przepali. Gdyby w tym czasie on był pijany i stracił przytomność, może by zginął w pożarze. To by położyło kres temu durnemu użalaniu się nad sobą.

Zrobił sobie kolejnego drinka i zaczął dumac nad starymi programami, tymi, które leciały w telewizji, kiedy on i Mary byli jeszcze młodym małżeństwem, a nowiuteńki telewizor RCA - zwyczajny, najtańszy czarno-biały telewizor - stanowił wyjątkową atrakcję. Puszczali wtedy program Jacka Benny'ego i „Amos'n Andy" z tymi prawdziwymi wyszczekanymi czarnuchami. Był też „Dagnet", prawdziwy, oryginalny, z Benem Alexandrem w roli partnera Joe Friday zamiast tego nowego gościa, Harry'ego jakiegoś tam. I był „Higway Patrol" z Broderickiem Crawfordem, który wywarkiwał rozkazy do krótkofalówki, a wszyscy jeździli wielkimi pękatymi buickami z okrągłymi okienkami po bokach. I jeszcze „Parada hitów" z Gisselle MacKenzie, śpiewającą piosenki w rodzaju „Green Door" lub „Strangers in Paradise". Te piosenki zabił później rock and roli. Albo teleturnieje! Ludzie siedzący w kabinach, ze słuchawkami na uszach, przez które słyszeli kurewsko niewiarygodne pytania, i tak już im znane. I filmy, które puszczały w sobotnie poranki, Annie Oakley, która nieustannie ratowała swojego braciszka Taga z jakichś gwiazdkowych tarapatów. Zawsze się zastanawiał, czy ten Tag nie jest tak naprawdę jej nieślubnym dzieckiem. No i „Rin-Tin-Tin", działający na terenach Fort Apache oraz „Seargent Preston", działający nad Jukonem. Mary mówiła: Bart, gdyby ludzie wiedzieli, że to oglądasz, pomyśleliby, że jesteś jakiś dziwny. Daję słowo, w twoim wieku! A on zawsze odpowiadał: chcę mieć o czym rozmawiać z moimi dziećmi, mała. Ale przecież nie mieli dzieci. Tak naprawdę nigdy ich nie mieli. Pierwsze było martwą miazgą, drugie Charliem, o którym lepiej nie myśleć. Będziemy się widywać w snach, Charlie. Co noc ojciec i jego syn spotykają się we śnie. Barton George Dawes i Charles Frederick Dawes, zjednoczeni dzięki cudownej mocy podświadomości. Proszę szanownej publiki, oto najnowsza atrakcja Disney Worldu, wycieczka do Kraju Białolenia, gdzie czeka nas po-

dróż gondolą po Kanale Łez, wizyta w Muzeum Starych Fotek i przejażdżka Wspaniałym Tęsknotem, kierowanym przez Freda MacMurraya. Ostatnim przystankiem w tej cudownej podróży jest fantastyczna replika Crestallen Street West. Znajduje się tutaj, w samutkim śródeczku butelki southern comfort, zakonserwowana na wieki. Tak, proszę pani, przechodząc przez szyjkę, proszę schylić główkę. Wkrótce zrobi się przestronniej. I otóż dom Bartona George'a Dawesa, ostatniego żyjącego mieszkańca Crestallen Street West. Proszę zajrzeć przez okno - chwileczkę, synu, zaraz cię podadzę. Tak, to nasz George, siedzi przez kolorowym telewizorem Zenith, ma na sobie tylko bokserki w prążki, pije i płacze. Płacze? Ależ oczywiście. Co innego miałby robić w Kraju Białolenia? W kółko zalewa się łzami. Ten potok łez jest kontrolowany przez ŚWIATOWEJ SŁAWY ZESPÓŁ INŻYNIERÓW W poniedziałki chlipie trochę mniej, ponieważ noce mają wolne. Przez resztę tygodnia wyje na całego. W weekendy aż się przegrzewa. Boimy się, że na Gwiazdkę całkiem się przepali. Przyznaję, jest nieco odrażający, ale to i tak jeden z najpopularniejszych mieszkańców Kraju Białolenia - tuż po odtworzonym przez nas King Kongu na szczycie Empire State Building. Jest on...

Rzucił drinkiem w telewizor.

Trafił zupełnie gdzie indziej. Szklanka uderzyła w ścianę, upadła na podłogę, pękła. A on znowu wybuchnął płaczem.

Płacząc, pomyślał: Jezu, tylko na to spójrzcie, jesteś odrażający. Urządziłeś się tak, że aż trudno uwierzyć. Zmarnowałeś całe swoje życie, plus życie Mary, a teraz siedzisz tu i jeszcze z tego żartujesz, ty cholerny śmieciu. Jezu, Jezu, Jezu...

Był już w połowie drogi do telefonu, zanim zdołał się opanować. Poprzedniej nocy, pijany i zapłakany, zadzwonił do Mary i błagał ją, żeby wróciła. Błagał tak długo, aż także zaczęła płakać i odłożyła słuchawkę. Na samą myśl o tej koszmarnie żenującej chwili drgnął i uśmiechnął się nerwowo.

Poszedł do kuchni, wziął szczotkę i szufelkę, wrócił do salonu. Wyłączył telewizor, posprzątał rozbite szkło. Wrócił do kuchni, nieco się chwiejąc, wyrzucił szkło do śmieci. Stał nad koszem, zastanawiając się, co ma dalej robić.

Usłyszał owadzie brzęczenie lodówki, które go przeraziło. Poszedł do łóżka. Znow nawiedziły go sny.

6 GRUDNIA 1973

Było wpół do czwartej. Pruł autostradą do domu, dociągając do stu dwudziestu. Dzień był pogodny, mroźny i jasny, temperatura wahała się w okolicach zera. Codziennie od odejścia Mary wybierał się na długą jazdę autostradą - w pewnym sensie zastępowało to pracę. Przynosiła ukojenie. Kiedy widział przez sobą biegnącą naprzód drogę, ogrodzoną po obu stronach niskimi zaspami pierwszego śniegu, opuszczały go wszystkie myśli i ogarniał go spokój. Czasami, wtórując radiu, śpiewał ochryplym, namiętym głosem. Często podczas tych wycieczek wydawało mu się, że mógłby tak jechać bez końca, dokąd zawiedzie go droga. Mógłby kierować się na południe i nie zatrzymywać się, dopóki nie skończy mu się asfalt pod kołami. Czy mógłby tak dojechać do Ameryki Południowej? Nie miał pojęcia.

Ale zawsze wracał. Zjeżdżał z autostrady, posilał się hamburgerami lub frytkami na wynos i jechał do miasta. Przyjeżdżał o zachodzie słońca lub tuż po nim.

Zawsze jechał przez Stanton Street, stawał i wysiadał, by przyjrzeć się, jakie postępy poczynili przez dzień robotnicy. Firma budowlana zamontowała specjalny podest dla gapiów - przeważnie starszych mężczyzn i klientów sklepów - i w ciągu dnia nie było na nim jednego wolnego miejsca. Ludzie tłoczyli się za barierką jak na paradzie, z ust uchodziły im obłoki pary, a oni gapili się na buldożery, walce i mierniczych z przyrządami na trójnogach. Mógłby ich z radością powystrzelać.

Ale wieczorami, gdy temperatura zaczynała spadać, jadowicie pomarańczowe słońce zniżało się ku horyzontowi, a na firmamencie zimno migotały tysiące gwiazd, mógł spokojnie i w samotności oceniać postępy robotników. Chwile, które tam spędzał, były dla niego najważniejsze - podejrzewał, że w jakiś tajemny sposób chwile spędzone na platformie obserwacyjnej ładowały jego akumulatory, wzmacniały więzy łączące go ze światem przynajmniej częściowej normalności. W tych chwilach przed zatonięciem w pijaństwie, przed atakiem nieodpartego impulsu, by zadzwonić do Mary, przed przystąpieniem do codziennych obowiązków w Kraju Biadolenia - był sobą, trzeźwy jak świnia. Opierał obie dłonie o metalową barierkę i spoglądał w dół na budowę, aż jego palce stawały się tak samo martwe jak metal i trudno mu było rozpoznać, gdzie kończy się jego świat - świat ludzkich spraw - a zaczyna się zewnętrzny świat traktorów, żurawi i platform obserwacyjnych. W takiej chwili nie musiał

szlochać czy szperać w śmietniku pamięci. W takiej chwili czuł, jak jego „ja” pulsuje ciepłem w zimnym, obojętnym wieczorze, czuł, że jest prawdziwym człowiekiem, być może jeszcze całkiem normalnym.

Teraz, mknąc sto dwadzieścia po autostradzie, w pobliżu jednego ze zjazdów ujrzał jakąś postać, w marynarskiej kurtce i czarnej włóczkowej czapce. Postać trzymała tablicę, na której widniało (zadziwiające, na takim śniegu) LAS VEGAS. A poniżej wyzywająco: ALBO ŚMIERĆ!

Wdepnął hamulec i poczuł, jak pasy wrzynają się mu w brzuch. Pisk opon wydał się mu fascynujący, jak na filmach o policjantach. Zahamował jakieś dwadzieścia metrów za postacią, która chwyciła tablicę pod pachę i popędziła ku niemu. Coś w jej ruchach podpowiedziało mu, że to dziewczyna.

Drzwi się otworzyły i dziewczyna wsiadła do środka.

- Dzięki!

- Nie ma sprawy. - Spojrzał w lusterko wsteczne i ruszył, niemal od razu przyspieszając do setki. Droga znów zaczęła przed nim płynąć. - Do Vegas jeszcze daleko.

- Pewnie. - Posłała mu mechaniczny uśmiech specjalnie dla osób, które jej mówiły, że do Vegas jeszcze daleko. Zdjęła rękawiczki. - Mogę zapalić?

- Proszę.

Podsunęła mu paczkę marlboro.

- Chce pan?

- Nie, dziękuję.

Włożyła papierosa w usta, wyjęła z kieszeni marynarskiej kurtki pudełko kuchennych zapalek, zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym, od którego zamglili się przednia szyba, odłożyła papierosy i zapalki, rozluźniła ciemnoniebieski szalik i powiedziała:

- Jestem panu bardzo wdzięczna. Zrobiło się zimno.

- Długo czekasz?

- Jaką godzinę. Ostatni facet był pijany. Rany, ulżyło mi, kiedy wysiadłam.

Pokiwał głową.

- Jadę do końca autostrady.

- Do końca? Aż do Chicago?

- Co? A nie. - Wymienił nazwę swojego miasta.

- Ale autostrada przechodzi tędy. - Wyjęła z kieszeni kurtki mapę o stronach pozaginanych od częstego przeglądania. - Tak jest na mapie!

- Rozłóż ją i spójrz jeszcze raz.

Spojrzała.

- Jaki kolor ma autostrada, którą teraz jedziemy?

- Zielony.

- Jaki kolor ma autostrada biegnąca przez miasto?

- Jest kropkowana na zielono. Czyli... Jezu! Jest w budowie!

- Właśnie. Słynne na całym świecie przedłużenie 784. Dziewczyno, nigdy nie dojedziesz do Las Vegas, jeśli nie będziesz czytać oznaczeń.

Pochyliła się, niemal dotykając mapy nosem. Miała jasną skórę, normalnie pewnie mlecznobiałą; teraz mróz wymalował różowe plamy na jej policzkach i czole. Czubek nosa miała czerwony, a u lewego nozdrza wisiała jej kropelka wody. Włosy miała obcięte krótko i niezbyt umiejętnie. Domowa robota. Ładny kasztanowy kolor. Szkoda je obcinać, a tym bardziej obcinać kiepsko. Jak to było w tej gwiazdkowej opowieści O. Henry'ego? Komu kupiłaś dewizkę do zegarka, mała wędrowniczko?

- Zielona linia pojawia się w jakimś Landy - odezwała się. - To daleko?

- Dwadzieścia kilometrów.

- Chryste.

Zadumała się nad mapą. Zjazd numer piętnaście mignął za oknami i zniknął.

- Jak tam można dojechać? - spytała. - Dla mnie to wygląda jak jedna płatanina.

- Najlepiej trasą numer siedem. Jest przy ostatnim zjeździe z autostrady. - Zawahał się. - Ale lepiej nie stój tam w nocy. W okolicy jest Holiday Inn. Dojedziemy już o zmroku, a niedobrze jest łapać stop w nocy.

- Bo co? - spytała, przenosząc wzrok na niego. Miała dziwnie zielone oczy; o takim kolorze czasem czyta się w książkach, ale rzadko się go widuje.

- To droga objazdowa - wyjaśnił, wjeżdżając na pas szybkiego ruchu i wymijając cały szereg wlokących się samochodów. Kilka zatrąbiło na niego wściekle. - Mają cztery pasy, dwa na zachód do Landy, dwa na wschód do miasta. Mnóstwo sklepów, budek z hamburgerami, kręgielni i innych takich. Wszyscy się wloką. Nikt nie chce stanąć.

- Tak. - Westchnęła. - Czy do Landy jeździ jakiś autobus?

- Był jakiś miejski, ale go zdjęli. Pewnie jeździ jakiś dalekobieżny...

- Pieprzyć to. - Zgniotła mapę i wcisnęła ją do kieszeni. Spojrzała na drogę, zmęczona i zmartwiona.

- Nie stać cię na motel?
- Człowieku, mam trzydzieści dolarów. Nie stać mnie na piasię budę.
- Możesz przenocować u mnie.
- Aha, i mogę zaraz wysiąść.
- Nieważne. Wycofuję propozycję.
- Poza tym co by pomyślała twoja żona? - Spojrzała znacząco na jego obrączkę. Było to spojrzenie sugerujące, że uważa go za faceta, który krąży wokół szkolnych podwórek, kiedy nikt ich nie pilnuje.
- Jesteśmy w separacji.
- Od niedawna?
- Tak. Od pierwszego grudnia.
- A ty masz te smuteczki, na które szukasz lekarstwa - powiedziała pogardliwie, ale ta pogarda wydawała się zadawniona, niewymierzona konkretnie w niego. - Zwłaszcza od jakiejś młodej laseczki.
- Nie chcę nikogo przelecieć - rzekł szczerze. - Nawet nie sądzę, że by mi mógł stanąć. - Zdał sobie sprawę, że właśnie wypowiedział dwa słowa, których nigdy dotąd nie użył w rozmowie z kobietą, ale wydało mu się, że w tym wypadku jest to na miejscu. Nic dobrego ani złego, po prostu na miejscu, jakby rozmawiał o pogodzie.
- To ma być wyzwanie? - spytała. Zaciągnęła się głęboko papierosem, wydmuchnęła dym.
- Nie. Według mnie to raczej koło ratunkowe, jeśli go potrzebujesz. Podejrzewam, że samotna dziewczyna bez przerwy potrzebuje kół ratunkowych.
- To chyba trzeci akt - mruknęła. W jej głosie nadal brzmiała pogarda, ale już z domieszką pewnego zmęczonego rozbawienia. - Co taka miła dziewczyna robi w takim samochodzie?
- Ach, do diabła z tym. Jesteś niemożliwa.
- Zgadza się. Jestem. - Zgniotła papierosa w popielniczkę i zmarszczyła nos. - Coś takiego! Pełno papierków po cukierkach, celofanu i innego badziewia. Dlaczego nie masz torby na śmieci?
- Bo nie palę. Gdybyś zadzwoniła i powiedziała: Barton, stary byku, zamierzam dziś łąpać stop, więc może byś mnie podwiózł, co ty na to? Wyrzucić badziewie z popielniczki, bo zamierzam zapalić - wtedy bym wyrzucił. Może wywalisz za okno?
- Słuchała go z uśmiechem.
- Masz sympatyczne poczucie humoru.
- Bo moje życie jest smutne.

- Wiesz, ile trwa biodegradacja filtrów papierosowych? Dwieście lat. Naprawdę. Do tego czasu pomrą już twoje wnuki.

Wzruszył ramionami.

- Nie przeszkadza ci, że wdycham rakotwórcze substancje, ale nie chcesz wyrzucić niedopałka z filtrem na autostradę. Świetnie.

- Co to miało znaczyć?

-Nic.

- Słuchaj, chcesz mnie wyrzucić? Tak?

- Nie. Może porozmawiamy o czymś neutralnym? O stanie gospodarki. O stanie świata. O stanie Arkansas.

- Wolalabym się raczej zdrzemnąć. Zdaje się, że w nocy nie będę spała.

- Proszę bardzo.

Nasunęła czapkę na oczy, założyła ręce na piersi i znieruchomiła. Po paru minutach zaczęła oddychać wolniej, głębiej. Zerkał na nią ukradkiem, jakby kradł jej widok. Była ubrana w niebieskie dzinsy - cienkie, spłowiałe, obcisłe. Obejmowały jej nogi tak ściśle, że widział, iż nie ma pod nimi drugiej pary spodni czy kalesonów. Te nogi były długie, wygodnie wyciągnięte pod deską rozdzielczą, a teraz zrobiły się już chyba czerwone i paliły, paliły jak diabli. Chciał ją spytać, czy swędzą ją nogi, ale uświadomił sobie, jak by to zabrzmiało. Myśl o niej, tkwiącej przez całą noc na trasie numer siedem, przemieszczającej się po parę kilometrów lub czekającej na próżno, obudziła w nim niepokój. Noc, cienkie spodnie, mróz. No, to już jej sprawa. Jeśli zmarźnie, może gdzieś pójść i się ogrzać. Bez problemu.

Minęli zjazd 14 i 13. Przestał na nią zerkać i skupił się na prowadzeniu. Strzałka nie schodziła ze stu dwudziestu, a on sunął pasem szybkiego ruchu. Kiedy mijali zjazd 12, jakiś mężczyzna w samochodzie z naklejką NIE PRZEKRACZAJ 80 zatrąbił trzy razy klaksonem i mignął z rozdrażnieniem reflektorami. Pokazał mu środkowy palec.

- Jedziesz za szybko - odezwała się dziewczyna, nadal trzymając zamknięte oczy. - Dlatego trąbią.

- Wiem, czemu trąbią.

- Ale to cię nie obchodzi.

- Właśnie.

- Jeszcze jeden wzorowy obywatel. Robi, co może, żeby Ameryka wyszła z kryzysu energetycznego.

- Niedługo jeździłem dziewięćdziesiątką. Nie więcej, nie mniej. Mój samochód najlepiej się czuje przy takiej prędkości. Teraz bojkotuję Ety-

kę Tresowanego Psa. Na pewno czytałaś o niej na zajęciach z socjologii? A może się myłę? Założyłem, że jesteś z college'u. Wyprostowała się na krześle.

- Zrobiłam dyplom z socjologii. No, prawie. Ale nigdy nie słyszałam o Etyce Tresowanego Psa.

- Bo ją zmyśliłem.

- Ach. Prima aprilis. - Niesmak. Znowu osunęła się i zasłoniła oczy czapką.

- Etyka Tresowanego Psa, teoria stworzona przez Bartona George'a Dawesa pod koniec roku 1973, w pełni wyjaśnia tajemnicę kryzysu monetarnego, inflacji, wojny w Wietnamie oraz obecnego kryzysu energetycznego. Posłużmy się tym ostatnim jako przykładem. Amerykanie są jak tresowane psy - w tym wypadku wytresowano ich tak, by kochali zabawki pożerające benzynę. Samochody, wielkie statki, motocykle, skutery, motorówki i wiele, wiele innych. W latach 1973-1980 będziemy tresowani tak, by ich nienawidzić. Amerykanie uwielbiają tresurę. Kiedy się ich tresuje, machają ogonami. Korzystają z energii. Nie korzystają z energii. Siusiaj na gazetę. Nie mam nic przeciwko oszczędzaniu energii. Protestuję przeciwko tresurze.

Nagle pomyślał o suce pana Piazzii, która najpierw przestała machać ogonem, potem zaczęła przewracać oczami, a w końcu rozerwała gardło Luigiemu Bronticelli.

- Jak psy Pawłowa - ciągnął. - Wytresowano je, żeby się śliniły, kiedy usłyszą dźwięk dzwonka. Nas wytresowano, żebyśmy się ślinili na widok samochodu albo kolorowego telewizora ze sterowaną anteną. Sam mam taki. Ten telewizor jest wyposażony w urządzenie, które uruchamia go na odległość. Można siedzieć w fotelu i zmieniać programy, podkręcać głośno albo go ściszać, włączać telewizor i wyłączać. Kiedyś wsadziłem go sobie w usta, nacisnąłem guzik i telewizor się wyłączył. Sygnał przeszedł przez mój mózg, ale i tak zadziałał. Ta technologia mnie zachwyca.

- Zwariowałeś.

- Chyba tak. - Minęli zjazd 11.

- Jednak się prześpię. Powiedz, kiedy dojedziemy.

- Dobrze.

Znowu założyła ręce na piersi i zamknęła oczy.

Minęli zjazd 10.

- Zresztą nie protestuję przeciwko samej Etyce Tresowanego Psa - odezwał się. - Tylko przeciwko temu, że nasi panowie są umysłowymi, moralnymi i duchowymi analfabetami.

- Chcesz uspokoić sumienie retoryką - powiedziała, nadał nie otwierając oczu. - Może po prostu zwolnisz? Poczujesz się lepiej.

- Nie czuję się lepiej! - Rzucił to z taką zaciekłością, że wyprostowała się i spojrzała na niego.

- Coś się stało?

- Nic. Tylko straciłem żonę i pracę - bo albo świat zwariował, albo ja. Potem podwoziłem autostopowiczkę - dziewiętnastoletnią smarkulę, cholera jasna, która z założenia powinna uważać, że świat oszalał, a tymczasem mi mówi, że świat ma się doskonale. Trochę przymało benzyny, ale poza tym jest wspaniale.

- Mam dwadzieścia jeden lat.

- I dobrze - rzucił gorzko. - Jeśli świat jest taki doskonały, to dlaczego taka smarkula podróżuje w środku zimy autostopem do Las Vegas? Chciałaś przez całą noc łapać okazję i prawdopodobnie nabawić się odmrożeń, bo nic nie masz pod tymi spodniami?

- Mam coś! Za kogo ty mnie uważasz?

- Za idiotkę! - ryknął. - Odmrozisz sobie dupę!

- A ty sobie z niej skorzystasz, tak? - spytała słodko.

- Oż ty w życiu - mruknął. - Oż ty w życiu.

Śmignęły koło sedana jadącego osiemdziesiątką. Zatrąbił na nich.

- Wsadź sobie!!! - wrzasnął. - Głęboko!

- Może lepiej mnie już wypuść - poprosiła cicho.

- Nie zwracaj uwagi. Nie zamierzam nas rozbić. Śpij.

Przez długą chwilę mierzyła go nieufnym spojrzeniem. Wreszcie splotła ręce na piersi i zamknęła oczy. Minęli zjazd 9.

Pięć po czwartej dotarli do zjazdu 2. Cienie kładące się na drodze nabrały tego szczególnego błękitnego odcienia, który jest specjalnością zimy. Na wschodzie pojawiła się już Wenus. W pobliżu miasta ruch na drodze się zageścił.

Obejrzał się na nią; siedziała wyprostowana, patrząc na jadące w swoją stronę pojazdy. Samochód przed nimi wiózł na dachu choinkę. Zielone oczy dziewczyny zrobiły się ogromne; na chwilę zanurzył się w nich i spojrzał przez nie - była to chwila idealnego współbrzmienia z drugim człowiekiem, jaka nachodzi istoty ludzkie w wyjątkowo rzadkich odstępach czasu. Ujrzał, że wszystkie samochody zmierzają w jakieś ciepłe miejsce, w którym czekają sprawy do załatwienia, przyjaciele do powitania, rodzinne życie do naprawy. Ujrzał ich obojętność wobec obcych. W lodowatym mgnieniu iluminacji pojął, co Thomas Carlyle nazwał wielką martwą lokomotywą świata, która pędzi bez końca przed siebie.

- Ile jeszcze? - spytała.
- Piętnaście minut.
- Słuchaj, jeśli byłam niegrzeczna...
- Nie, to ja byłem niegrzeczny. Wiesz, nie mam nic szczególnego do roboty. Mogę cię zawieźć do Landy.
- Nie...
- Albo podwieźć do Holiday Inn na noc. To nie podstęp. Wesółych Świąt i tak dalej.
- Naprawdę jesteś z żoną w separacji?
- Tak.
- I naprawdę od niedawna? - Tak.
- Zabrała dzieci?
- Nie mamy dzieci. - Zbliżali się do bramki przy wjeździe na autostradę. Zielone światła migotały obojętnie we wczesnym zmroku.
- Więc zabierz mnie ze sobą do domu.
- Nie muszę tego robić. To znaczy, nie musisz...
- Nić chciałabym być dzisiaj sama. I nie lubię łapać okazji w nocy. Boję się.

Podjechał do bramki, otworzył okno, wpuszczając zimne powietrze. Wręczył strażnikowi swoją kartę oraz dolara dziewięćdziesiąt. Powoli ruszył dalej. Minęli podświetlony znak, na którym widniał napis:

DZIĘKUJEMY ZA BEZPIECZNĄ JAZDĘ!

- W porządku - powiedział ostrożnie. Wiedział, że prawdopodobnie nie powinien jej uspokajać - co mogło przynieść odwrotny skutek - ale nie potrafił się powstrzymać. - Wiesz, chodzi o to, że jestem bardzo samotny. Możemy zjeść razem kolację, a potem pooglądać telewizję i pochrupać popcorn. Ty weźmiesz sypialnię na górze, a ja...

Parsknęła cichym śmiechem. Zerknął na nią, ale wydała mu się trochę niewyraźna. Jakby ją sobie wyobraził. To go zaniepokoiło.

- Słuchaj - powiedziała. - Lepiej ci to teraz powiem. Ten pijak, z którym wczoraj jechałam... Spędziłam z nim noc. Jechał do Stilson, skąd mnie zabrałeś. Takiej zażądał zapłaty.

Zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Moja koleżanka uprzedzała, że tak będzie, ale jej nie uwierzyłam. Nie zamierzałam płacić tyłkiem za podróż. Nie ja. - Zerknęła na niego przelotnie, ale ciągle nie potrafił rozszyfrować wyrazu jej ukrytej w mroku twarzy. - Nie chodzi o to, że ktoś mnie zmuszał. To jest tak

kompletnie oderwane od rzeczywistości, jakbym chodziła w przestrzeni kosmicznej. Kiedy się przyjeżdża do wielkiego miasta i myśli się o wszystkich tych ludziach, którzy w nim mieszkają, ma się ochotę płakać. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. I w końcu zgadzasz się spędzić całą noc na wyciskaniu pryszczy jakiemuś gościowi tylko po to, żeby słyszeć, jak oddycha i mówi.

- Nie obchodzi mnie, z kim spałaś - powiedział i włączył się do ruchu. Mechanicznie skręcił w Grand Street, prowadzącą w stronę domu koło robót drogowych przy szosie 784.

- Ten handlowiec - ciągnęła. - Był żonaty od czternastu lat. Ciągłe to powtarzał, kiedy mnie posuwał. Czternaście lat, Sharon, czternaście lat, czternaście lat. Doszedł w ciągu czternastu sekund. - Parsknęła krótkim śmiechem, gorzkim i smutnym.

- Tak masz na imię? Sharon?

- Nie. To chyba imię jego żony.

Zjechał na pobocze.

- Co robisz? - spytała, znów nieufna.

- Nic wielkiego. To etap powrotu do domu. Możesz wysiąść, jeśli chcesz. Pokażę ci coś.

Wysiedli i podeszli do tarasu obserwacyjnego, teraz już pustego. Oparł ręce na zimnej metalowej rurze balustrady i spojrział w dół. Dziś położyli dwie warstwy asfaltu. Przez ostatnie trzy dni kładli żwir. Teraz asfalt. Porzucony sprzęt - ciężarówki, buldożery i żółty wózek widłowy - stał cicho w mroku; eksponaty w muzeum dinozaurów. Oto roślinożerny stegozaur, a to mięsożerny triceratops oraz przerażająca ziemiożerna koparka diesla. *Bon appétit.*

- I co o tym myślisz? - spytał.

- A mam coś myśleć? - Grała na zwłokę. Nie wiedziała, co to wszystko znaczy.

- Coś ci chyba przychodzi do głowy.

Wzruszyła ramionami.

- To roboty drogowe. I co z tego? Budują drogę w mieście. Pewnie nigdy tu już nie przyjadę. Co mam myśleć? Jest brzydka.

- Brzydka - powtórzył z ulgą.

- Dorastałam w Portland. Mieszkaliśmy w wielkim bloku, a po drugiej stronie ulicy postawili centrum handlowe...

- Czy coś zburzyli? -

Hm?

- Czy...

- Nie, to była pusta działka z wielkim placem z tyłu. Miałam jakieś sześć, może siedem lat. Myślałam, że będą tak kopać i drażyć do końca świata. I myślałam... to śmieszne... myślałam, że żal mi tej biednej starej ziemi. To tak, jakby jej dawali lewatywę i nie spytali jej o zdanie. W tamtym czasie miałam jakąś infekcję jelitową i w kwestii lewatyw byłam specjalistką.

-Ach.

- Raz, w niedzielę, kiedy nie było robotników, poszliśmy tam i było bardzo podobnie, bardzo cicho, jakbyśmy widzieli zwłoki leżące w łóżku. Położyli już część fundamentów i wszędzie z cementu wystawały takie pręty...

- Zbrojeniowe.

- Możliwe. I było mnóstwo rur i pęków kabli, a wokół sterty świeżej ziemi. Bawiliśmy się tam w chowanego, przyszła mama i zrobiła mnie i mojej siostrze awanturę. Powiedziała, że dzieciom może się zdarzyć wypadek na budowie. Moja młodsza siostra miała cztery lata i ryczała tak, że omal nie ogłuchłam. Śmiać mi się chce, jak to sobie przypomnę. Możemy już wrócić do samochodu? Zimno mi.

- Jasne - odparł i wrócili.

Kiedy znowu ruszyli, odezwała się jeszcze:

- Nie wyobrażałam sobie, że z tego bałaganu coś będzie. A tymczasem bardzo szybko wyrosło centrum handlowe. Pamiętam, jak kładli asfalt na parkingu. A po paru dniach pojawili się faceci z takim małym wózkiem i zaczęli malować linie na parkingu. Potem zrobili uroczystość, jakaś wielka fisza przecięła wstęgę, wszyscy zaczęli tam ku pować i było tak, jakby to centrum stało tam od zawsze. To był Megastore. Mama często tam chodziła. Czasami, kiedy zabierała Angie i mnie, myślałam o tych pomarańczowych prętach wystających z cementu w piwnicy. To była taka tajemna myśl.

Skinął głową. Tajemne myśli były mu bardzo bliskie.

- Co to miejsce dla ciebie znaczy? - spytała.

- Ciągle staram się zrozumieć.

Chciał przyrządzić kolację z mrożonki, ale dziewczyna zajrzała do zamrażarki, znalazła pieczeń i powiedziała, że ją robi, jeśli mu nie przeszkadza, że trzeba będzie trochę poczekać.

- Jasne - powiedział. - Nie wiedziałem, jak długo to trzeba piec ani w jakiej temperaturze.

- Tęsknisz za żoną?

- Jak diabli.
- Bo nie umiesz robić pieczeni? - spytała, ale nie odpowiedział.
- Upiekła ziemniaki i ugotowała mrożoną kukurydzę. Zjedli w kuchni. Dziewczyna nałożyła sobie cztery grube plastry pieczeni, dwa ziemniaki i dwie porcje kukurydzy.
- Od roku tak nie jadłam - odezwała się, zapalając papierosa i patrząc w pusty talerz. - Pewnie mnie brzuch rozboli.
- To co jadłaś?
- Kocie chrupki.
- Co?
- Kocie chrupki.
- Tak mi się wydawało.
- Są tanie. I zapychają. Mają mnóstwo substancji odżywczych i witamin, tak jest napisane na pudełku.
- Witaminy, też dowcip. Dziewczyno, za dorosła jesteś na takie wygłupy. Chodź.
- Zaprowadził ją do jadalni, otworzył serwantkę Mary. Wyjął srebrną misę, a z niej gruby zwitek banknotów. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.
- Facet, kogoś ty obrabował?
- Moją polisę ubezpieczeniową. Masz. Dwieście dolców. Kup sobie jedzenie.
- Nie przyjęła tych pieniędzy.
- Odbiło ci. Co niby mam zrobić za te dwieście dolarów?
- Nic.
- Parsknęła śmiechem.
- W porządku. - Położył banknoty na szafce i schował srebrną misę do serwantki. - Jeśli rano ich nie weźmiesz, spuszczę je w wychodku.
- Nie sądził, żeby mógł to zrobić.
- Zajrzała mu w oczy.
- Wiesz co? Uważam, że byś to zrobił.
- Nie odpowiedział.
- Jeszcze zobaczymy - dodała. - Rano.
- Rano - powtórzył jak echo.

W telewizji leciała gra „Prawdę mówiąc”. Dwaj uczestnicy kłamali na temat tego, kto zdobył pierwsze miejsce w mistrzostwach ujeżdżania koni w klasie pań, a jeden mówił prawdę. Jury, w którym zasiada-

li Soupy Sales, Bill Cullen, Arlene Dahl i Kitty Carlisle, musiało odgadnąć, kto mówi prawdę. Garry Moore, trzystuletni gospodarz programu, uśmiechał się, żartował i dawał sygnał dzwonkiem, kiedy czas się skończył.

Dziewczyna wyglądała przez okno.

- Hej! - odezwała się. - Kto tu właściwie mieszka? We wszystkich oknach ciemno.

- Ja i Dankmanowie - odpowiedział. - Ale oni wyprowadzają się piątego stycznia.

- Dlaczego?

- Droga. Chcesz drinka?

- Jak to droga?

- Będzie tędy przebiegać. Ten dom znajdzie się gdzieś pośrodku pasa szybkiego ruchu, tak mi się wydaje.

- To dlatego pokazałeś mi budowę?

- Chyba tak. Pracowałem w pralni, która stała jakiś kilometr stąd. „Blue Ribbon”. Droga przeleci także po niej.

- To dlatego straciłeś pracę? Bo zamknęli pralnię?

- Nie całkiem. Miałem się zająć kupnem nowej siedziby na przedmieściach, nazywają się Waterford, i nie zrobiłem tego.

- Dlaczego?

- To było ponad moje siły - powiedział z prostotą. - Chcesz drinka?

- Nie musisz mnie upijać.

- Ach, Boże - jęknął i przewrócił oczami. - Nie potrafisz się przestawić na inne myślenie?

Zapadła niewygodna cisza.

- Piję tylko wódkę z sokiem. Masz?

- Mam.

- Ale trawki nie masz?

- Nie, nigdy nie paliłem.

Poszedł do kuchni i zrobił jej drinka. Sobie nalał southern comfort z seven up i wrócił do salonu. Dziewczyna bawiła się urządzeniem zmieniającym kanały na odległość; skakała po wszystkich trzydziestu siedmiu kanałach: „To Tell the Truth”, śnieg, „Jaka to melodia”, „I Dream Jeannie”, „Gilligan Island”, śnieg, „I Love Lucy”, śnieg, śnieg, Julia Child przyrządzająca coś z awokado - wyglądało to trochę jak psia kupka, „Koło fortuny”, śnieg, a potem znowu Garry Moore, nalegający, by jury odgadło, który z trzech uczestników konkursu jest auto-

rem książki o tym, jak to zgubił się w lasach Saskatchewan i błąkał się po nich przez miesiąc. Dał drinka dziewczynie.

- Czy numer dwa jadł żuki? - spytała Kitty Carlisle.

- Co z wami, ludzie? - chciała wiedzieć dziewczyna. - Nie macie „Star Treka”? Jesteście poganami czy jak?

- Puszczają to na ósmym kanale o czwartej.

- Oglądasz?

- Czasami. Żona zawsze ogląda Merva Griffina.

- Nie widziałem tam żadnych żuków - odparł numer dwa. - Gdybym zobaczył, tobym je zjadł.

Publiczność ryknęła grzmiącym śmiechem.

- Dlaczego się wyprowadziła? Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz. - Patrzyła na niego nieufnie, jakby cena jego wyznań miała się okazać męcząco wysoka.

- Z tego samego powodu, z którego straciłem pracę.

- Bo nie kupiłeś tej siedziby?

- Nie. Bo nie kupiłem nowego domu.

- Głosuję na numer dwa - odezwał się Soupy Sales. - Wygląda mi na takiego, co nie przepuści żadnemu żukowi.

Publiczność ryknęła grzmiącym śmiechem.

- Nie kupiłeś... kurczę. Ożeż, kurczę. - Spojrzała na niego ponad szklanką. W jej oczach malowało się zdumienie, podziw i przerażenie. - Gdzie się podziejecie?

- Nie wiem.

- Nie masz pracy? -

Nie.

- Co robisz przez cały dzień?

- Jeżdżę po autostradzie.

- I przez całą noc oglądasz telewizję?

- I piję. Czasami robię popcorn. Dziś też zrobię.

- Nie lubię popcornu.

- Więc ja go zjem.

Wcisnęła guzik na gadzecie do zmieniania programów (czasami nazywał go w myślach modułem, ponieważ w tych czasach panowała tendencja do nazywania modułem wszystkiego, co służyło do włączania i wyłączania), obraz na ekranie zenitha skurczył się do małej plamki, która zgasła.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam - powiedziała dziewczyna. - Wyrzuciłeś żonę i pracę do śmieci...

- Niekoniecznie w tej kolejności.
- Nieważne. A wszystko z powodu tej autostrady. Tak?

Zerknął niespokojnie na czarny ekran telewizora. Rzadko naprawdę patrzył na to, co się na nim działo, ale czuł się niezręcznie, kiedy telewizor był wyłączony.

- Nie wiem. Nie zawsze rozumie się to, co się zrobiło.
- To miał być protest?
- Nie wiem! Kiedy się protestuje przeciwko czemuś, to dlatego, że dzięki temu można coś zmienić. Ci, co protestowali przeciwko wojnie, myśleli, że pokój jest lepszy. Ludzie protestują przeciwko zakazowi używania narkotyków, bo uważają, że można ustanowić inne prawo, bardziej sprawiedliwe, mniej krzywdzące albo... Nie wiem. Możesz włączyć telewizor?

- Za chwilę. - Znowu zauważył, jak zielone są jej oczy, jakie przenikliwe i kocie. - Czy to dlatego, że nienawidzisz tej drogi? Technologicznego społeczeństwa, którego jest symbolem? Odczłowieczenia naszej...

- Nie - przerwał. Szczerłość nie przychodziła mu łatwo; nie wiedział, dlaczego w ogóle się wysiła, skoro kłamstwo zakończy tę rozmowę o wiele szybciej i zgrabniej. Ta dziewczyna była jak wszyscy młodzi, jak Vinnie, jak ludzie, którzy uważają, że wykształcenie to droga do prawdy: pragnęła propagandy, całego kompletu z mapami, nie odpowiedzi.

- Wiele razy widziałem, jak się buduje domy i drogi. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, to było dla mnie tylko utrudnienie, kiedy trzeba było robić objazd albo przechodzić na drugą stronę, bo chodnik został zerwany albo trwało wyburzanie.

- Ale kiedy to dotyczy domu... twojego domu i pracy, mówisz: nie!

- Mówię. - Tylko że nie był pewien, czego dotyczyło to „nie”. A może powiedział „tak”? Tak, zgodził się na jakąś destrukcyjną siłę, która od samego początku w nim tkwiła, tak jak w mózgu Charliego tkwił wbudowany mechanizm samozniszczenia. Nagle zapragnął, żeby Freddy tu był. Freddy by jej powiedział to, co chciała usłyszeć. Ale Fred wziął go na przeczekanie.

- Albo jesteś szalony, albo nadzwyczajny - powiedziała.

- Nadzwyczajni ludzie są tylko w książkach. Pooglądajmy telewizję. Włączyła telewizor. Pozwolił jej wybrać program.

- Co pijesz?

Była za kwadrans dziewiąta. Szumiało mu już w głowie, ale nie był tak pijany jak wczoraj o tej samej porze. Robił popcorn. Lubił obser-

wować, jak ziarna pękają w szklanym garnku, kipiąc jak śnieg, który wyrasta z ziemi.

- Southern comfort i seven up.

-Co?!

Roześmiał się, zawstydzony.

- Mogę spróbować? - Podniosła pustą szklankę i uśmiechnęła się. Była to pierwsza naturalna reakcja, jaką mu pokazała od chwili, gdy zabrał ją z autostrady. - Tamto było okropne.

- Aha. Comfort i seven up to mój prywatny drink. W towarzystwie zawsze piję szkocką. Nienawidzę jej.

Popcorn był już gotowy. Przesypał go do wielkiej plastikowej miski.

- Mogę się poczęstować?

- Jasne.

Zmieszał comfort z seven up, polał popcorn roztopionym masełkiem.

- Będziesz miał masę cholesterolu we krwi - ostrzegła go, opierając się o framugę drzwi między kuchnią a jadalnią. Pociągnęła łyk.

- Hej, to dobre!

- No pewnie. Nikomu o tym nie mów, a wszystko będzie w porządku.

Posolił popcorn.

- Ten cholesterol zapycha serce - dodała. - Żyły robią się coraz ciaśniejsze, aż pewnego dnia... ggghaaa! - Chwyciła się dramatycznie za pierś i rozlała trochę drinka na sweter.

- Mam dobrą przemianę materii - odparł i minął ją w drodze do salonu. Niechący musnął jej pierś (sądząc z dotyku, opiętą stanikiem). Poczul coś, czego już od lat nie czuł z Mary. Być może nie powinien tak myśleć.

Dziewczyna zjadła prawie cały popcorn.

Zaczęła ziewać podczas dziennika o jedenastej, w którym mówiono głównie o kryzysie energetycznym i nagraniach z Białego Domu.

- Idź na górę - powiedział. - Do łóżka.

Zmierzyła go spojrzeniem.

- Dogadamy się, jeśli tylko przestaniesz na mnie patrzeć, jakbym cię uszczypnął w tyłek za każdym razem, kiedy padnie słowo „łóżko”. Pierwotnym przeznaczeniem Wielkiego Amerykańskiego Łóżka jest spanie, nie spófkowanie.

Na to się uśmiechnęła.

- Nie chcesz nawet zmienić pościeli?

- Jesteś już dużą dziewczynką.

Przyjrzała się mu spokojnie.

- Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną. Zdecydowałam się przed godziną.

- Nie... ale nie masz pojęcia, jak kuszące jest to zaproszenie. Dotąd spałem tylko z trzema kobietami, a z pierwszymi dwiema tak dawno temu, że prawie ich nie pamiętam. Jeszcze przed ślubem.

- Żartujesz?

- Ani trochę.

- Słuchaj, to by nie było dlatego, że mnie podwiozłeś, przenocowałeś czy cokolwiek. Ani dlatego, że zaproponowałeś mi pieniądze.

- Jesteś bardzo miła - powiedział i wstał. - Lepiej już idź. Ale ona nie skorzystała z okazji.

- Powinieneś wiedzieć, dlaczego się wycofujesz.

- Powinienem?

- Tak. Jeśli coś robisz, a nie wiesz dlaczego - tak jak powiedziałeś - to nic nie szkodzi, bo i tak to robisz. Ale jeśli się wycofujesz, powinieneś wiedzieć dlaczego.

- Dobrze. - Skinął głową w stronę jadalni, gdzie pieniądze nadal leżały w srebrnej misie. - Chodzi o pieniądze. Jesteś za młoda, żeby się puszcząć.

- Nie wezmę ich - odparła szybko.

- Wiem. Dlatego się wycofuję. Chcę, żebyś je wzięła.

- Bo jesteś porządniejszy od innych?

- Owszem. - Spojrzał na nią wyzywająco.

Pokręciła głową z desperacją i wstała.

- Dobrze. Jesteś burżujem, wiesz o tym? -

Tak.

Podeszła i pocałowała go w usta. To go podnieciło. Czuł jej zapach, ten zapach był miły. Niemal natychmiast dostał erekcji.

- Idź - powiedział.

- Jeśli zmienisz zdanie...

- Nie zmienię. - Patrzył, jak wchodzi boso po schodach. - Hej...

Odrzuciła się z uniesionymi brwiami.

- Jak masz na imię?

- OHvia, jeśli chcesz wiedzieć. Głupio, nie? Jak OHvia De Haviland.

- Nie, to ładne. Podoba mi się. Dobranoc, OHvia.

- Dobranoc.

Poszła na górę. Usłyszał pstryknięcie kontaktu, tak jak za każdym razem, kiedy Mary szła przed nim na górę. Gdyby natężył słuch, usły-

szałby oształamiający szmer swetra ocierającego się o jej skórę, gdy zdejmowała go przez głowę, albo brzęk klamry paska, który ścisnął jej dzinsy w talii...

Ujął moduł i włączył telewizor.

Miał pełny wzwód, co było szalenie niewygodne. Penis napierał na materiał spodni, co Mary nazywała czasem skałą wszech czasów, a czasem węzłem, który zmienił się w kamień - kiedyś, w młodych latach, gdy łóżko było dla nich tylko kolejną sportową dyscypliną. Pociągnął za fałdy bielizny, a kiedy penis nie opadł, wstał. Po chwili erekcja zwiędła, a on znowu usiadł.

Po dzienniku zaczął się film - John Agar w „Brain from Planet Arous”. Zasnął przez telewizorem z modułem w ręce. Po paru minutach w jego spodniach znowu wszczął się ruch i erekcja powróciła ukradkiem, jak morderca odwiedzający ponownie miejsce zbrodni.

7 GRUDNIA 1973

A jednak do niej poszedł.

Znowu miał sen o suce pana Piazzi i tym razem wiedział, że ten chłopiec to Charlie. Wiedział to, zanim suka skoczyła. Przez to bał się jeszcze bardziej, a kiedy suka pana Piazzi skoczyła, wygrzebał się ze snu jak człowiek wygrzebujący się pazurami z płytkiego piaszczystego grobu.

Machnął rękami w powietrzu, już obudzony, choć jeszcze nie całkiem przytomny, i stracił równowagę na kanapie, na której zwinął się w kłębek. Przez chwilę szamotał się żałośnie, zdezorientowany, z przerażeniem myślący o swym nieżyjącym synu, który w jego snach bez końca umierał od nowa.

Upadł na podłogę, uderzył się w głowę i ramię i wreszcie obudził się na tyle, żeby zrozumieć, że jest we własnym salonie, a sen się skończył. Rzeczywistość była żałobna, ale nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia.

Co on wyprawiał? Nagle stanął mu przed oczami widok tego, co zrobił ze swoim życiem - makabryczny widok. Rozdarł je na pół, jak szmatę. Nic już nie było jak należy. Wszystko go bolało. Czuł na podniebieniu przetrawiony smak alkoholu; odbiło mu się czymś kwaśnym, przełknął to.

Zaczął drzeć; objął kolana, na próżno usiłując opanować dygot. W nocy wszystko wydawało się dziwne. Co on wyprawia, czemu siedzi

na podłodze salonu, ściskając kolana i trzęsąc się jak stary pijak na śmietniku? Albo jak narkoman albo psychol, tak, raczej to. Czy to już to? Stał się psychopata? Nie kimś zabawnym i nieprzewidywalnym jak świrek, palant czy odlotowiec, ale zwyczajnym, stuprocentowym psycholem? Ta myśl wywołała nową falę przerażenia. Czy rzeczywiście poszedł do gangstera, żeby kupić dynamit? Czy naprawdę ukrywał w garażu broń, w tym jedną tak wielką, że można było z niej zabić słonia? Z gardła wyrwał się mu cichy pisk; wstał niechętnie. Kości zatrzeszczały mu głośno, jakby był starcem.

Poszedł po schodach, nie pozwalając sobie na zastanowienie. Wszedł do sypialni.

- Olivio... - szepnął. Co za tandeta, jak film z Rudolfem Valentino.
- Śpisz?

- Nie - odpowiedziała. Miała zupełnie przytomny głos. - Ten zegarek nie dał mi zasnąć. Ten elektroniczny. Ciągłe klikał. Wyłączyłam go.

- W porządku - mruknął. Idiotyczne. - Miałem zły sen.

Szelest podnoszonej kołdry.

- Chodź. Połóż się obok mnie.

- Ja...

- Zamkniesz się wreszcie?

Położył się. Była naga. Zaczęli się kochać. Potem zasnęli.

Rano było minus dwanaście stopni. Dziewczyna spytała go, czy ma nową gazetę.

- Kiedyś dostawaliśmy codziennie. Kenny Upslinger ją przynosił. Wyjechał z rodziną do Iowa.

- Iowa, coś podobnego - powiedziała i włączyła radio. Spiker czytał prognozę pogody. Pogodnie i zimno.

- Zjesz jajko sadzone?

- Dwa, jeśli masz.

- Jasne. Wiesz, co do ostatniej nocy...

- Nie przejmuj się. Szczytowałam. Rzadko mi się udaje. Fajna sprawa.

Poczuł cichą dumę - może chciała, żeby ją poczuł. Usmażył jajka.

Dwa dla niej, dwa dla siebie. Tosty i kawa. Wypiła trzy filiżanki z cukrem i mlekiem.

- I co zamierzasz zrobić? - spytała, kiedy oboje skończyli.

- Zawieźć cię na autostradę.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie to. Co zrobisz z życiem?

Uśmiechnął się.

- Zabrzmiało poważnie.

- Nie dla mnie. Dla ciebie.

- Jeszcze o tym nie myślałem. Wiesz, zanim... - położył lekki nacisk na słowie „zanim”, żeby oddzielić całość życia od tej części, którą stracił w przepaść - zanim spadł topór, sądziłem, że tak się czują skazańcy w celi śmierci. Nic nie wydawało mi się prawdziwe. Miałem wrażenie, że żyję w szklanym śnie, który nie chce się skończyć. Teraz wszystko jest prawdziwe. Wczorajsza noc... była bardzo prawdziwa.

- Cieszę się - powiedziała i rzeczywiście się ucieszyła. - Ale co zrobisz teraz?

- Naprawdę nie wiem.

- To smutne.

- Tak? - spytał. Bardzo chciał usłyszeć odpowiedź.

Potem znowu wsiedli do samochodu i ruszyli trasą numer 7 w stronę Landy. Na drodze zrobił się korek; samochody na przemian stawały i ruszały. Ludzie jechali do pracy. Kiedy mijali roboty drogowe, okazało się, że robotnicy już są. Mężczyźni w żółtych kaskach i zielonych gumiakach wspinali się na maszyny, a przed ustami wykwitwały im białe kwiaty oddechu. Silnik jednej z pomarańczowych ciężarówek zazgrzytał, strzelił jak z moździerza, znowu zazgrzytał i przeszedł w urywany warkot.

- Stąd wyglądają jak chłopcy, którzy się bawią samochodzikami w piaskownicy - odezwała się dziewczyna.

Poza granicami miasta szosa się wyludniła. Dziewczyna wzięła te dwieście dolarów bez zażenowania czy oporów, ale i bez szczególnej łapczywości. Przecięła podszewkę kurtki, wsunęła pod nią banknoty i zaszyła dziurę niebieską nitką z pudełka na przybory do szycia Mary. Nie zgodziła się, żeby ją podwiózł na dworzec autobusowy. Powiedziała, że pieniądze wystarczą jej na dłużej, jeśli będzie jechać stopem.

- Więc... co taka miła dziewczyna robi w takim samochodzie? - spytał.

- Hm? - Spojrzała na niego, wytrącona z zamyślenia.

Uśmiechnął się.

- Dlaczego ty? Dlaczego Las Vegas? Mieszkasz na takim samym marginesie życia jak ja. Podaj mi jakieś fakty.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma ich wiele. Chodziłam do college'u przy Uniwersytecie New

Hampshire w Durham. To blisko Portsmouth. Miałam skończyć za rok. Mieszkałam poza miasteczkiem akademickim. Z chłopakiem. Wciągnęliśmy się w twarde narkotyki.

- Heroinę?

Roześmiała się wesoło.

- Nie. Nie znam nikogo, kto by brał heroinę. My, sympatyczne ćpuny z klasy średniej, wolimy halucynogeny. LSD. Meskalina. Parę razy peyotl. Parę razy STP. Chemikalia. Od września do listopada byłam na tripie szesnaście albo nawet osiemnaście razy.

- Jak wtedy jest?

- Kiedy się ma zły odjazd?

- Nie, nie o to chodzi... - wycofał się.

- Czasem bywają złe, ale wszystkie mają miłe momenty. I wiele dobrych odjazdów ma złe momenty. Kiedyś wydawało mi się, że mam białączkę. To było straszne. Ale przeważnie jest po prostu dziwnie. Nigdy nie widziałam Boga, nigdy nie chciałam popełnić samobójstwa. Nigdy nie usiłowałam nikogo zabić.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Wszyscy przesadzają, kiedy chodzi o chemikalia. Ci porządni, jak Art Linkletter, mówią, że narkotyki to śmierć. Świry mówią, że otwierają drzwi, które powinny zostać otworzone. Tak jakbyś mógł w sobie znaleźć jakiś tunel, jakby twoja dusza była skarbem z powieści H. Rider Haggarda. Czytałeś?

- W dzieciństwie czytałem powieść „Ona”. To jego?

- Tak. Uważasz, że twoja dusza jest jak szmaragd na czole bóstwa?

- Nigdy o tym nie myślałem.

- Ja tak nie uważam. Mówię ci, najlepsze i najgorsze chwile w moim życiu przeżyłam na prochach. Najfajniej było wtedy, kiedy położyłam się na plecach w mieszkaniu i patrzyłam na tapetę. Była w groszki, a mnie się wydawało, że to śnieg. Leżałam i patrzyłam na śnieżną zamieć na ścianach prawie przez godzinę. I po chwilę ujrzałam brnącą przez śnieg małą dziewczynkę. Miała na głowie chustkę z bardzo szorstkiego materiału, jakby z samodiała, i trzymała ją tak. - Przyłożyła pięść pod brodę. - Pomyślałam, że wraca do domu i bang! Zobaczyłam całą ulicę, zupełnie zasypaną śniegiem. Dziewczynka przeszła przez nią, a potem weszła do domu. To było najlepsze. Leżenie w mieszkaniu i oglądanie ścianowizji. Jeff mówił, że to głowowizja.

- Jeff to ten chłopak, z którym mieszkasz?

- Tak. Najgorszy odjazd miałam, kiedy postanowiłam przepchać

zlew. Nie wiem dlaczego. Czasami na prochach ma się dziwne pomysły, tylko że wtedy wydają się całkiem naturalne. Czułam, że muszę przetkać ten zlew. Więc poszłam po ten gumowy interes i zabrałam się do pracy... i nagle z sitka wyszło to gówno! Nie wiem, w jakim stopniu było prawdziwe, a w jakim pochodziło z mojej głowy. Kawa. Strzęp starej koszuli. Wielkie grudy zbitego tłuszczu. Coś czerwonego, jakby krew. A potem ręka. Męska. -Co?

- Ręka. Zadzwoniłam do Jeffa i powiedziałam: słuchaj, ktoś wsadził do zlewu jakieś ciało. Ale on gdzieś pojechał, a ja byłam sama. Dalej przetykałam zlew, zmachałam się jak diabli i wreszcie wyciągnęłam resztę ramienia. Dłoń leżała na porcelanie, zbryzgana starymi fusami z kawy, a potem obok niej pojawiło się ramię. Poszłam do salonu, żeby sprawdzić, czy Jeff nie wrócił, a kiedy znowu wróciłam do kuchni, ramię i dłoń zniknęły. Trochę się tym zmartwiłam. Czasami mi się to śni.

- Szaleństwo - powiedział, zwalnając, ponieważ wjechali na most biegnący nad robotami drogowymi.

- Prochy sprowadzają szaleństwo. Czasami to dobrze. Na ogół nie. Nieważne. Więc wciągnęliśmy się w narkotyki. Widziałeś kiedyś rysunek atomu, z protonami, neutronami i elektronami latającymi wokół?

-Tak.

- Więc było tak, jakby nasze mieszkanie było jądrem, a ludzie, którzy się przez nie przewijają, to protony i elektrony. Ludzie wchodzą i wychodzą, wszyscy sobie obcy, jak w „Manhattan Transfer”.

- Tego nie czytałem.

- A powinieneś. Jeff zawsze mówił, że Dos Passos był pierwszym z prawdziwych dziennikarzy. Ryzykant. Nieważne. Czasami wieczorami siedzieliśmy w domu, oglądaliśmy telewizję z wyłączonym dźwiękiem i słuchaliśmy płyt, wszyscy narąbani, ludzie kochali się w sypialni... chyba... i nawet nie wiedziałam, kim oni wszyscy są, do kurwy nędzy. Rozumiesz?

Pomyślał o tych imprezach, na które się zabłąkał jak pijana Alicja w Krainie Czarów, i skinął głową.

- Pewnego razu w telewizji leciał program Boba Hope'a. Wszyscy byli najarani, śmiali się na okrągło z tych starych żartów, tych samych starych banałów, z tego dobrotliwego kpienia z waszyngtońskich szaleńców. Siedzieliśmy przed telewizorem jak nasze mamusie i tatusiowie, a ja pomyślałam: i po to była nam wojna w Wietnamie, żeby Bob Ho-

pe mógł wypełnić przepaść między pokoleniami? Wystarczy tylko się odpowiednio naćpać.

- Ale na to byłaś zbyt czysta.

- Czysta? Nie, nie chodziło o to. Zaczęłam podejrzewać, że ostatnie piętnaście lat to była jakaś groteskowa gra w monopol. Francis Gary Powers zostaje zestrzelony w U-2, tracisz jedną kolejkę. Demonstracja czarnych rozpędzona armatkami wodnymi w Selma, idziesz prosto do więzienia. Uczestnicy marszu wolności zabici w Missisipi, marsze, zamieszki, Lester Maddox z siekierą, Kennedy zabity w Dallas, Wietnam, znowu marsze, strajki studenckie, ruch feministyczny i po co to wszystko? Żeby parę ćpunów mogło sobie siedzieć w obleśnym mieszkaniu, oglądając Boba Hope'a? Pieprzyć to wszystko. Dlatego postanowiłam odejść.

- A Jeff ?

Wzruszyła ramionami.

- Ma stypendium. Dobrze się uczy. Mówi, że przyjedzie w przyszłym roku, ale nie będę o nim myśleć, dopóki go nie zobaczę. - Przez jej twarz przemknął szczególny wyraz rozczarowania; prawdopodobnie oznaczał wewnętrzną walkę.

- Tęsknisz za nim?

- Co noc.

- Skąd ci się wzięło to Vegas? Masz tam kogoś? -

Nie.

- Śmieszne miejsce dla idealistki.

- Tak mnie oceniasz? - Roześmiała się i zapaliła papierosa. - Może. Lecz nie sądzę, żeby idealizm wymagał jakiegoś szczególnego otoczenia. Chcę zobaczyć to miasto. Jest tak inne od reszty kraju, że musi być dobre. Ale nie będę grać. Chcę znaleźć pracę.

- A potem?

Wydmuchnęła dym i wzruszyła ramionami. Mijali tablicę, na której widniało:

Landy 8 km

- Spróbuję coś zdziałać - powiedziała. - Zamierzam na dobre odstawić prochy i rzucić to. - Wskazała na papierosa, który przypadkowo poruszył się w powietrzu, jakby wiedział co innego. - Przestanę udawać, że moje życie jeszcze się zaczęło. Zaczęło się. Wykorzystałam już dwadzieścia procent. Spiłam całą śmietankę.

- Patrz, już autostrada.

Zatrzymał się na poboczu.

- A ty? Co zrobisz?
- Zobaczą, jak się to rozwinie - odparł ostrożnie. - Niczego nie przesądzam.
- Nie jesteś w najlepszym stanie, jeśli mogę zauważyć.
- Możesz.
- Masz. Weź. - Między wskazującym a środkowym palcem trzymała aluminiową paczuszkę.

Wziął ją i obejrzał. Folia zaślniła w porannym słońcu i poraziła jego oczy.

- Co to?
- Syntetyczna meskalina. Nazywają to substancją numer cztery. Najtwardszy i najczystszy specyfik od początku świata. - Zawahała się.
- Może lepiej ją spuścić w wychodku. Popieprzy ci w głowie gorzej, niż masz. Ale może też pomóc. Słyszałam o tym.
- A widziałaś?

Uśmiechnęła się gorzko. -

Nie.

- Zrobisz coś dla mnie? Jeśli będziesz mogła?
- Jeśli będę mogła.
- Zadzwoń do mnie na Boże Narodzenie.
- Po co?
- Jesteś jak książka, której nie skończyłem. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej. Zadzwoń na mój rachunek. Czekać, zapiszę numer.

Zaczął gmerać po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś do pisania.

- Nie - powiedziała.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Lubię cię, ale chyba ktoś cię skrzywdził. Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. To tak, jakbyś miał zrobić coś zupełnie szalonego.
- Myślisz, że jestem świrem - usłyszał własny głos. - Pieprz się.

Wysiadła w milczeniu z samochodu. Wychylił się za nią.

- Olivio...
- Może wcale nie mam tak na imię.
- A może tak. Zadzwoń, proszę cię.
- Uważaj z tym tam - odparła, wskazując aluminiową torebkę. - Ty też chodzisz w przestrzeni kosmicznej.
- Do widzenia. Bądź ostrożna.
- Ostrożna? Co to znaczy? - Znowu ten gorzki uśmiech. - Do wi-

dzenia. Dzięki. Jesteś dobry w łóżku, pozwolę sobie zauważyć. Naprawdę. Do widzenia.

Zatrzasnęła drzwi, odeszła parę kroków dalej i stanęła przy wjeździe na autostradę. Przyglądał się, jak macha na samochody. Żaden się nie zatrzymał. Potem zrobiło się pusto, a on zawrócił i przycisnął klakson. We wstecznym lusterku ujrzał jej drobną sylwetkę. Machała na niego.

Głupia smarkula, pomyślał, z głową napchaną jeszcze głępszymi pomysłami. Ale kiedy wyciągnął rękę, by włączyć radio, zobaczył, że jego palce drżą.

Wrócił do miasta, wjechał na autostradę i przejechał setką sto pięćdziesiąt kilometrów. Raz prawie wyrzucił aluminiową torebkę przez okno. Raz prawie połknął pigułkę. Wreszcie po prostu schował ją do kieszeni.

Po powrocie poczuł się jak wyżęty z uczuć, pusty. Roboty drogowe poczyniły postępy; za parę tygodni pralnia zamieni się w gruzy. Sprzęt już stał na miejscu, Tom Granger powiedział mu o tym przed trzema dniami podczas dziwnej, utykającej rozmowy telefonicznej. Uzgodnili wtedy, że przez cały dzień będą się przyglądać robotnikom. Spakował nawet kanapki.

W poczcie znalazł list od brata Mary z Jacksonville. Czyli nie wiedział o ich rozstaniu. List trafił na stosik innych, zaadresowanych do Mary. Jakoś nie mógł się zebrać i odesłać ich żonie.

Wstawił mrożonkę do piekarnika i zastanowił się, czy nie zrobić sobie drinka. Rozmyślał się. Chciał pomyśleć o seksualnej przygodzie z poprzedniej nocy, rozsmakować się w niej, zanurzyć w niuansach. Parę drinków i wspomnienie nabierze nienaturalnych, gorączkowych kolorów kiepskiego pornosu, a nie chciał o tym tak myśleć.

Ale wspomnienie nie chciało nadejść, nie tak, jak go pragnął. Nie potrafił sobie przypomnieć dotyku twardych piersi czy sekretnego smaku sutek. Wiedział, że sam stosunek był przyjemniejszy z nią niż z Mary. Olivia była ciaśniejsza, a jego penis raz wyśliznął się z pochwy z głośnym puknięciem, jak korek wyskakujący z butelki szampana. Ale nie potrafił sobie przypomnieć tej rozkoszy. Zamiast ją poczuć, zapragnął się masturbować. To pożądanie wydało mu się niesmaczne. Co więcej, ten niesmak także przejął go niesmakiem. To nie była żadna święta, upominał się, siadając do mrożonki. To tylko puszczałka na gigantcie.

W dodatku w drodze do Las Vegas. Nagle zapragnął móc spojrzeć na ten incydent szyderczym okiem Magliorego i to wydało mu się szczerem niesmaku.

Tego wieczora upił się pomimo wcześniejszych założeń i około dziesiątej obudziła się w nim stara potrzeba, by zadzwonić do Mary. Zamiast tego zaczął się masturbować przed telewizorem i osiągnął orgazm akurat wtedy, gdy spiker oznajmił, że Anacin okazał się najskuteczniejszym na rynku lekiem przeciwbólowym.

8 GRUDNIA 1973

W sobotę nie wybrał się na zwykły objazd. Snuł się bez celu po domu, odwołując rzecz, którą musiał zrobić. Wreszcie zadzwonił do swoich teściów, Lestera i Jean Callowayów. Oboje zbliżali się do siedemdziesiątki. Poprzednim razem słuchawkę podnosiła Jean (którą Charlie zawsze nazywał „mammą Jean”), a kiedy się przedstawiał, jej głos zmieniał się w lodowiec. Dla niej i pewnie dla Lestera był jak zwierzę, które nagle oszalało i ugryzło ich córkę. Teraz zwierzę nieustannie do nich wydzwaniało, najwyraźniej pijane, skomląc, by ich córka wróciła, żeby mogło ją znowu pogryźć.

Usłyszał głos Mary i ulżyło mu, że może mówić normalnie.

- To ja.
- O. Bart. Co u ciebie? - Nieodgadniony ton.
- Dobrze.
- Jak tam zapasy southern comfort?
- Nie piję.
- Zwycięstwo, tak? - Ten głos brzmiał lodowato; poczuł drgnienie paniki, głównie dlatego, że tak się pomylił. Czy ktoś, kogo znał od dawna i, jak mu się wydawało, dobrze, mógł tak łatwo z niego zrezygnować?
- Chyba tak - powiedział, czując się jak idiota.
- Rozumiem, że pralnię już zamknięto.
- Chyba tylko na jakiś czas. - Miał dziwne uczucie, że jedzie windą i prowadzi nerwową rozmowę z kimś, kto go uważa za nudziarza.
- Żona Toma Grangera mówiła co innego. - No, wreszcie atak. Lepszy atak niż nic.
- Tom nie będzie miał żadnych kłopotów. Konkurencja od lat się o niego ubiega. Ludzie z „Brite-Kleen”.

Wydawało mu się, że westchnęła.

- Dlaczego do mnie dzwonisz?

- Uważam, że powinniśmy się spotkać - powiedział ostrożnie. -
Musimy to obgadać.

- Masz na myśli rozwód? - spytała spokojnie, ale wydawało mu się,
że tym razem usłyszał w jej głosie panikę.

- A chcesz go?

- Nie wiem, czego chcę. - Jej spokój prysnął; zaczęła mówić ze zło-
ścią i strachem: - Myślałam, że wszystko jest w porządku. Byłam szczę-
śliwa, myślałam, że ty też. I nagle wszystko się zmieniło.

- Myślałaś, że wszystko jest w porządku - powtórzył. Nagle ogar-
nęła go wściekłość. - To cholernie głupio, że tak pomyślałaś. Myślałaś,
że rzuciłem pracę, żeby zrobić komuś dowcip?

- Więc o co chodzi? Co się stało?

Jego gniew zapadł się w sobie jak poźółkła sterta śniegu; okazało
się, że pod spodem kryją się łyzy. Opanował je z wściekłością. Czuł się
zdradzony. Coś takiego nie powinno się wydarzać na trzeźwo. Kiedy
jesteś trzeźwy, powinienes się kurewsko dobrze kontrolować. A tu
tymczasem miał ochotę zwierzyć się jej ze wszystkiego i wyplakać na
piersi, jak dziecko z rozbitym kolanem. Nie potrafił wyjaśnić, co się
stało, ponieważ sam tego nie wiedział, a uzalanie się nad czymś, cze-
go się nie rozumie, to bilet prosto do wariatkowa.

- Nie wiem - powiedział wreszcie.

- Charlie?

- Jeśli nawet częściowo chodzi o niego, jak mogłaś być ślepa na całą
resztę? - wyrwało mu się.

- Ja też za nim tęsknię. Ciągle. Codziennie.

Znowu uraza. *Więc zabawnie to okazujesz.*

- To na nic - wykrztusił. Łzy spływały mu po policzkach, ale w je-
go głosie nie było słyhać, że płacze. - Nie przez telefon. Zadzwońłem,
żeby cię zaprosić na obiad w poniedziałek. U Andy'ego.

- Dobrze. O której?

- Wszystko jedno. Mogę się zwolnić z pracy. - Żart upadł na pod-
łogę i skończył tam bezgłośnie.

- O pierwszej?

- Dobrze. Zajmę stolik.

- Zarezerwuj. Nie idź tam o jedenastej i nie zaczynaj pić.

- Dobrze - zgodził się pokornie, choć nie zamierzał dotrzymać
słowa.

Nastąpiła chwila ciszy. Nie zostało im nic do powiedzenia. W oddali, niemal zagłuszone szumem, widmowe głosy rozmawiały o widmowych sprawach. Potem Mary powiedziała coś, co go zupełnie zaskoczyło.

- Bart, musisz iść do psychiatry.

- Muszę co?

- Iść do psychiatry. Wiem, jak to brzmi, kiedy się to tak mówi, ale chcę, żebyś wiedział: cokolwiek postanowimy, nie wrócę do ciebie, dopóki się nie zgodzisz.

- Do widzenia - powiedział powoli. - *Do* zobaczenia w poniedziałek.

- Bart, potrzebujesz pomocy. Ja ci jej nie mogę dać.

- Od początku to wiedziałem. - To była strzała posłana na drugą stronę drutu. - Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, zanim usłyszał odpowiedź, i przyłapał się na poczuciu cichego zadowolenia. Gem, set, mecz. Rzucił o ścianę plastikowym kubkiem i przyłapał się na poczuciu cichego zadowolenia, że niczego nie zbił. Otworzył szafkę nad zlewem, złapał dwie pierwsze szklanki, jakie wpadły mu w ręce, i rzucił nimi o podłogę. Rozprysnęły się na kawałki.

Smarkaczu, ty cholerny smarkaczu! Wrzasnął na siebie. Może byś tak wstrzymał ten cholerny oddech, aż zrobisz się SINY?

Uderzył pięścią o ścianę, by uciszyć ten głos i wyplakać ból. Chwytał obolałą dłoń i stanął na środku podłogi, dygocząc. Kiedy zdołał się opanować, przyniósł szczotkę, szufelkę i posprzątał szklane odłamki - przestraszony, naburmuszony i skacowany.

9 GRUDNIA 1973

Przejechał sto osiemdziesiąt kilometrów i wrócił. Nie odważył się zapuścić dalej. To była pierwsza niedziela, kiedy nie sprzedawano benzyny i wszystkie stacje benzynowe zostały zamknięte. A on nie miał ochoty wracać piechotą. Widzisz? - powiedział do siebie. Tak się załatwia takich gównojadów jak ty, Georgie.

Fred? To naprawdę ty? Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Odwal się, koleś.

W drodze do domu usłyszał radiową reklamę:

- Więc martwisz się, że zabraknie ci benzyny, i chciałbyś mieć pewność, że twoja rodzina jest zabezpieczona na zimę? Dlatego pojechałeś na stację benzynową z dziesięcioma kanistrami? Ale jeśli napraw-

dę dbasz o swoją rodzinę, lepiej zawróć i wracaj do domu. Niefachowe przechowywanie benzyny jest niebezpieczne. Jest też nielegalne, ale tym się nie martw. Raczej zastanów się nad czym innym: kiedy wyziewy benzyny miesza się w powietrzem, tworzą materiał wybuchowy. A jeden galon benzyny ma moc dwunastu lasek dynamitu. Zastanów się, zanim napełnisz te kanistry. I pomyśl o swojej rodzinie. Widzisz - chcemy, żebyś to przeżył.

To było ogłoszenie rządowe. Nasze radio przypomina: zostawcie przechowywanie benzyny ludziom, którzy mają w tym wprawę.

Wyłączył radio, zwolnił do osiemdziesięciu na godzinę i zjechał z pasa szybkiego ruchu.

- Dwanaście lasek dynamitu - powiedział do siebie. - Niesamowite. Gdyby spojrział w lusterko wsteczne, zobaczyłby własny uśmiech.

10 GRUDNIA 1973

Dotarł do restauracji Andy'ego o wpół do dwunastej; kelnerka zaprowadziła go do stołu koło stylizowanych skrzydeł nietoperza, za którymi zaczynał się korytarz - stolik nie był dobry, ale restauracja zaczęła się zapełniać i nie zostało już wiele wolnych miejsc. Specjalizowała się w stekach, kotletach i andyburgerach, które wyglądały jak sałatka pomiędzy spiętymi wykałaczką połówkami wielkiej bułki z ziarnami sezamu. Jak wszystkie miejskie restauracje przeżywała okresy popularności i zapomnienia. Dwa miesiące temu mógłby tu przyjść w samo południe i wybrać dowolny stolik - podobnie jak trzy miesiące temu. Zawsze uważał to za mniej ważną tajemnicę życia.

Kiedy siadał, rozejrzał się szybko; bał się, że dostrzeże Vinnie Masona, Steve'a Ordnera czy któregoś z szefów pralni. Ale w restauracji siedzieli sami obcy. Po lewej stronie jakiś młodzieniec usiłował przekonać swoją dziewczynę, że stać ich na trzy dni w Sun Valley w lutym. Inne rozmowy były zwykłym bełkotem - to go uspokajało.

- Czy podać drinka? - Kelner znalazł się tuż obok niego.
- Szkocką z lodem.
- Doskonale.

Pierwszego drinka wypił o dwunastej, dwa następne do wpół do pierwszej, a potem, z czystej przekory, zamówił jeszcze jednego, podwójnego. Właśnie go dopijał, kiedy w drzwiach pomiędzy korytarzem a salą poja-

wiła się Mary. Rozglądała się. Wszyscy na nią spojrzeli, a on pomyślał: Mary, powinnaś mi dziękować -jesteś piękna. Uniósł prawą rękę i dał jej znak. Pomachała mu na powitanie i ruszyła do jego stołu. Była ubrana w sięgającą kolan wełnianą sukienkę, szarą w rzucik. Włosy miała splecione w gruby warkocz sięgający łopatek - nie pamiętał, kiedy ostatnio się tak czesała (być może właśnie dlatego wybrała tę fryzurę). Wyglądała młodo, a on nagle przypomniał sobie Olivie, poruszającą się pod nim na łóżku, które tak często dzielił z Mary.

- Cześć, Bart - powiedziała.
- Cześć. Niesamowicie ładnie wyglądasz.
- Dzięki.
- Chcesz drinka?
- Nie... tylko andyburgera. Długo tu jesteś?
- E, niezbyt.

Na sali zrobiło się luźniej. Kelner pojawił się niemal natychmiast.

- Czy mogę już przyjąć zamówienie?
- Tak. Dwa andyburgery. Dla pani mleko, dla mnie jeszcze jedna szkocka. - Zerknął na Mary, ale jej twarz nic nie wyrażała. Niedobrze. Gdyby coś powiedziała, odwołałby zamówienie na szkocką. Miał nadzieję, że nie będzie musiał iść do łazienki, bo chyba nie zdołałby utrzymać równowagi. Cóż by to była za zabawa. Zanieście mnie do klopa, bo sam nie mogę. Omal nie zaczął chichotać.

- Nie jesteś pijany, ale niewiele ci brakuje - odezwała się i rozłożyła serwetkę na kolanach.

- To było dobre. Długo ćwiczyłaś przed lustrem?
- Bart, nie kłóćmy się.
- Dobrze.

Zaczęła się bawić szklanką; on skubał podstawkę.

- No więc? - odezwał się wreszcie.
- No więc co?
- Wydawało mi się, że chcesz mi coś powiedzieć. Skoro sobie chlapanieś dla kurazu, możesz mi powiedzieć?

- Do twarzy ci z tym chłodem - rzekł idiotycznie i niechący przedał podstawkę. Nie mógł jej powiedzieć tego, co mu się cisnęło na usta: że się zmieniła, że nagle stała się wyrafinowana i niebezpieczna jak sekretarka, która czeka na późną kolację i odmówi drinka każdemu, kto nie nosi garnituru za czterysta dolarów. I która potrafi poznać jego cenę po samym kroju.

- Bart, co zamierzasz zrobić?

- Mogę się spotkać z psychiatrą, jeśli chcesz - odparł, zniżając głos.
 - Kiedy?
 - Wkrótce.
 - Jeśli zechcesz, możesz się umówić nawet na dziś.
 - Nie znam żadnych psychiatrów.
 - Są jeszcze Żółte Strony.
 - Tak się nie wybiera lekarza.
- Spojrzała na niego i od razu poczuł się niezręcznie.
- Jesteś na mnie zły, tak?
 - No wiesz, nie mam pracy. Pięćdziesiąt dolarów za godzinę to dość drogo jak na bezrobotnego.
 - A jak ci się wydaje, z czego żyję? - spytała ostro. - Na garnuszku moich rodziców. Być może sobie przypominasz, że oboje są na emeryturze.
 - O ile pamiętam, twój ojciec ma tyle udziałów w SOI i Beechcraftcie, że może utrzymywać was troje przez następne stulecie i niczego wam nie zabraknie.
 - Bart, to nie tak. - Wydawała się zdumiona i urażona.
 - Gówno prawda. Zeszłej zimy byli na Jamajce. Dwa lata temu w Miami, w dodatku w Fontainebleau, a trzy lata temu w Honolulu. Emeryta na to nie stać. Więc nie opowiadaj mi tu bajek o biednym staruszku...
 - Przestań. Słoma wychodzi ci z butów.
 - Nie wspominając już o cadillacu i combi. Nieźle. Którym jeżdżą do darmowej jadłodajni?
 - Przestań! - syknęła; pomiędzy wargami błysnęły jej drobne białe zęby, palce zacisnęły się na krawędzi blatu.
 - Przepraszam - wymamrotał.
 - Obiad na stole.
- Napięcie między nimi nieco zelżało, gdy kelnerka postawiła na stole andyburgery i frytki, dodała małe talerzyki z zielonym groszkiem i cebulkami, po czym zniknęła. Przez jakiś czas jedli w milczeniu, uważając, żeby ślina nie ściekała im po brodzie. Ciekawe, zastanowił się, ile małżeństw przetrwało dzięki andyburgerom. Wyłącznie z jednego powodu: kiedy się je, trzeba zamilknąć.
- Odłożyła napoczętego andyburgera na talerz, otarła usta serwetką i powiedziała:
- Są tak smaczne, jak zapamiętałam. Bart, masz jakiś rozsądny pomysł, co z tym zrobić?

- Ależ oczywiście - odparł, urażony. Nie wiedział tylko, co to za pomysł. Gdyby mógł zamówić następną szkocką, pewnie by go sobie przypomniał.

- Chcesz rozwodu?

- Nie - oznajmił bez namysłu. Pora na jakieś pozytywy.

- Chcesz, żebym wróciła?

-A ty?

- Nie wiem. Mogę ci coś powiedzieć? Po raz pierwszy od dwadzieciu lat martwię się o siebie. Zaczynam się bronić. - Nadgryzła andyburgera i znowu go odłożyła. - Wiesz, że niewiele brakowało, a nie wyszłabym za ciebie? Zaświtało ci to kiedyś?

Zaskoczenie na jego twarzy chyba sprawiło jej przyjemność.

- Tak sądziłam. Byłam w ciąży, więc oczywiście chciałam za ciebie wyjść, ale coś we mnie się sprzeciwiało. Coś ciągle szeptało, że będzie to najgorszy błąd mojego życia. Więc przez trzy dni przypiekałam się na wolnym ogniu, każdego ranka wymiotowałam, nienawidziłam cię za to, rozważałam sytuację ze wszystkich stron. Uciec. Zrobić skrobankę. Urodzić dziecko i oddać je do adopcji. Urodzić dziecko i je wychować. Wreszcie postanowiłam pokierować się rozsądkiem. Rozsądkiem! - Roześmiała się. - A potem i tak je straciłam.

- Tak - mruknął. Wolałby już o tym nie rozmawiać. Czuł się, jakby otworzył drzwi do piwnicy i wdepnął w rzygowiny.

- Ale byłam z tobą szczęśliwa.

- Naprawdę? - spytał odruchowo. Poczuł, że ma ochotę uciec. To się nie uda. Przynajmniej nie z nim.

- Tak. Tylko że w małżeństwie z kobietą dzieje się coś, co nie spotyka mężczyzny. Pamiętasz, jak byłeś mały i nie martwiłeś się o rodziców? Wydawało ci się, że będą przy tobie i byli, tak jak jedzenie, dom i ubrania.

- Chyba tak. Na pewno.

- A ja po prostu zaszłam w ciążę, idiotka. I przez te trzy dni wokół mnie pojawił się zupełnie nowy świat. - Pochyliła się ku niemu, spojrzenie miała roziskrzona i niespokojne, a on nagle zdał sobie sprawę, że ten monolog był dla niej ważny, że było to coś więcej niż spotkanie z bezdzielnymi przyjaciółkami, wybieranie spodni w sklepie czy zgadywanie, z jaką gwiazdą będzie gawędził Merv o wpół do piątej. To było dla niej ważne i czyżby naprawdę przeżyła dwadzieścia lat małżeństwa z tą jedną ważną myślą? Czyżby? Prawie to powiedziała. Dwadzieścia lat, mój Boże. Nagle zrobiło mu się niedo-

brze. O wiele bardziej wolał pamiętać, jak machała do niego butelką z pobocza drogi.

- Uważałam się za osobę niezależną - ciągnęła. - Osobę niezależną, która nie musi się nikomu tłumaczyć i nikogo nie musi słuchać. Nie było koło mnie kogoś, kto by spróbował mnie zmienić - a wiedziałam, że można mnie zmienić. Zawsze miałam tę słabość. Ale nie było też nikogo, kto by mnie podtrzymał, kiedy upadnę, kto by mi pomógł, kiedy będę chora. Więc posłużyłam się rozsądkiem. Jak moja matka i jej matka. Jak moje przyjaciółki. Miałam już dość bycia druhną na weselach i łapania bukietu. Dlatego się zgodziłam, czego się po mnie spodziewałeś, a kiedy umarł Charlie, miałam ciebie. Zawsze byłeś dla mnie dobry. Wiem o tym i to doceniam. Ale żyłam w zamkniętym świecie. Przestałam myśleć. Wydawało mi się, że jeszcze myślę, ale się myliłam. Teraz myślenie sprawia mi ból. To boli. - Przez chwilę patrzyła na niego z przejmującą urazą. Potem uczucie stopniało. - Dlatego proszę, żebyś za mnie myślał. Co teraz zrobimy?

- Zdobędę nową pracę - skłamał.

- Pracę.

- I spotkam się z psychiatrą. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Słowo honoru. Byłem trochę nieswój, ale wszystko wróci do normy. Będę...

- Chcesz, żebym wróciła do domu?

- Tak, za parę tygodni. Muszę uporządkować parę spraw i...

- Dom? O czym ja mówię? Przecież go zburzą. Co ja mówię, jaki dom? - Jęknęła. - Jezu, co za bagno. Dlaczego mnie zaciągnąłeś w to gówniane bagno?

Nie mógł znieść, kiedy tak mówiła. Nie była jego Mary, wcale jej nie przypominała.

- Może jednak go nie zburzą - powiedział, ujmując jej dłoń. - Mo że tego nie robią, Mary, może się rozmyślą, jeśli z nimi porozmawiam, wyjaśnię im sytuację, może wtedy zgodzą się...

Wyrwała mu rękę. Wpatrywała się w niego ze zgrozą.

- Bart - szepnęła.

- Co... - Urwał, zbity z tropu. Co takiego powiedział? Co sprawiło, że miała takie straszne spojrzenie?

- Przecież wiesz, że go zburzą. Wiedziałeś o tym od dawna. A jednak siedzimy tu i kręcimy się w kółko i w kółko...

- Nie, nieprawda. Wcale się nie kręcimy. Przysięgam. My... My... - Właściwie co tu robili? Poczul się nierzeczywisty.

- Lepiej już pójde.
- Mary, zdobęde pracę...
- Zadzwońe do ciebie. - Wstała gwałtownie, uderzyła udem o kant stołu; naczynia zaszczekały.
- Mary, ten psychiatra... obiecuję...
- Mama prosiła, żebym zrobiła zakupy...
- Więc idź! - wrzasnął. Parę głów odwróciło się w ich stronę. - Wy-nocha, suko! Zabrałaś mi, co miałem najlepszego, a co dostałem w zamian? Dom do rozbiórki. Zejdź mi z oczu!

Uciekła. W sali zapanowała cisza - trwała bardzo długo, chyba wieczność. Wreszcie znowu zaczęto rozmawiać. Spojrzał na niedojedzonego, rozmiękłego hamburgera. Zadrzał, przestraszył się, że za chwilę zwymiotuje. Po jakimś czasie nabrał pewności, że jednak nie. Zapłacił i wyszedł, nie patrząc na nikogo.

12 GRUDNIA 1973

Poprzedniej nocy zrobił listę gwiazdkowych prezentów (po pijaku), a dziś pojechał do miasta, by zrealizować jej skróconą i poprawioną wersję. Pierwotna była oszałamiająca - ponad sto dwadzieścia nazwisk, w tym wszyscy bliscy i dalecy krewni jego i Mary, mnóstwo przyjaciół i znajomych, a na samym dole - alleluja - Steve Ordner, jego żona oraz ich, jak w mordę strzelił, pokojówka.

Większość nazwisk skreślił, chichocząc z rozbawieniem nad niektórymi, a teraz kroczył powoli koło wystaw pełnych gwiazdkowych atrakcji, wszystko na cześć tego dawnego holenderskiego złodziejaszka, który wdzierał się do mieszkań przez komin i okradał ludzi z całego dobytku. Poklepał się po kieszeni, w której spoczywał pięciusetdolarowy zwitek dziesięciodolarówek.

Żył za pieniądze z ubezpieczenia; pierwszy tysiąc dolarów stopniał w zadziwiającym tempie. Według jego obliczeń pieniądze miały się skończyć w połowie marca, być może szybciej, ale zdał sobie sprawę, że wcale go to nie martwi. Myśl o tym, gdzie mógłby być i co mógłby robić w marcu była jak równanie z samymi niewiadomymi.

Wszedł do jubilera i kupił srebrną broszkę sowę dla Mary. Sowa miała oczy z zimnych migotliwych brylantów. Kosztowała sto pięćdziesiąt dolarów plus podatek. Sprzedawczyni była uprzedzająco miła. Żo-

nie z pewnością się spodoba. Uśmiechnął się. Widzisz, Freddy, poszły na to trzy spotkania z doktorkiem Świrkiem. Co o tym sądzisz?

Freddy się nie odzywał.

Poszedł do dużego centrum handlowego i pojechał windą na piętro z zabawkami, zdominowane przez ogromną wystawę z elektrycznym pociągiem - zielone plastikowe wzgórza podziurawione jak sito tunełami, plastikowe stacje, wiadukty, zwrotnice oraz lokomotywa, która przez to wszystko pruła, ciągnąc za sobą wstążki syntetycznego dymu, jak również długi sznur wagonów - B&O, SOO LINE, GREAT NORTHERN, GREAT WESTERN, WARNER BROTHERS (Warner Brothers??), DIAMOND INTERNATIONAL, SOUTHERN PACIFIC. Wokół drewnianego płotu stali chłopcy z tatusiami; poczuł ciepły, nieskazonny zawiścią przyływ miłości. Czuł, że mógłby do nich podejść i powiedzieć, jak bardzo kocha ich i tę porę roku. Mógłby także poprosić, żeby na siebie uważali.

Poszedł korytarzem lalek, wybierając po jednej dla swoich trzech siostrzenic: Mówiąca Cathy dla Tiny, Maisie Akrobatka dla Cindy i Barbie dla Sylvii, która miała już jedenaście lat. W następnym rzędzie znalazł GI Joe dla Billa, a po namyśle, szachy dla Andy'ego. Andy miał dwanaście lat i przysparzał rodzinie zmartwień. Stara Bea z Baltimore wyznała Mary, że ciągle znajduje na jego prześcieradłach sztywne plamy. Czy to możliwe? Tak wcześnie? Mary wyjaśniła jej, że dzieci teraz dojrzewają coraz wcześniej. Bea wyraziła przypuszczenie, że to przez to mleko i witaminy, ale naprawdę by wołała, żeby Andy bardziej zajął się gramy zespołowymi. Albo letnimi obozami. Albo konną jazdą. Albo czymkolwiek.

Nie przejmuj się, Andy, pomyślał, biorąc szachy pod pachę. Możesz doskonalic gambity i inne takie, a jednocześnie brandzlować się pod stołem, jeśli masz na to ochotę.

Środek piętra zajmował ogromny tron Świętego Mikołaja. Był puisty, a przed nim stała tablica na stojaku. Widniało na niej:

MIKOŁAJ JEST NA OBIEDZIE W NASZYM SŁYNNYM „ŚRÓDMIEJSKIM GRILLU”. MOŻE DO NIEGO DOŁĄCZYŚ?

Tronowi przyglądał się młodzieniec w drelichowej kurtce i dzinsach, z całym naręczem prezentów w objęciach. Kiedy się odwrócił, okazało się, że to Vinnie Mason.

- Yinnie! - zawołał.

Vinnie uśmiechnął się i lekko zaróżowił, jakby go przyłapano na czymś nieprzystojnym.

- Cześć, Bart - powiedział i podszedł. Ominęła ich chwila zażenowania towarzysząca uściśnięciu sobie rąk; Vinnie trzymał zbyt wiele paczek.

- Zakupy świąteczne?

- Tak. - Vinnie zachichotał. - Przywiozłem Sharon i Bobbie... to moja córka, Roberta... żeby się rozejrzały. Bobbie ma trzy latka. Chcieliśmy jej zrobić zdjęcie z Mikołajem. Wiesz, robią je tylko w sobotę. Kosztuje dolara. Ale ona się nie zgodziła. Rozwrzeszczała się na cały sklep. Sharon się trochę zdenerwowała.

- No wiesz, taki dziwny facet z wielką brodą. Maluchy czasem się go boją. Może w przyszłym roku da się namówić.

- Może. - Vinnie uśmiechnął się lekko.

Odpowiedział uśmiechem. Teraz czuł się z nim swobodniej. Miał ochotę mu powiedzieć, żeby się za bardzo na niego nie gniewał. Miał ochotę go przeprosić, jeśli coś mu spieprzył.

- Jak tam życie, Vinnie?

Vinnie dosłownie się rozpromienił.

- Nie uwierzyłybyś, jak jest świetnie. Jestem kierownikiem kina. A w przyszłym roku w lecie będę zarządzał jeszcze trzema.

- Media Associates? - Była to jedna z firm korporacji.

- Tak. Stanowimy część Cinemate Releasing. Wysyłają nam wszystkie filmy... najlepsze, sprawdzone. Ale Westfall Cinema podlega wyłącznie mnie.

- Chcą kupić inne?

- Tak, Cinema II i III, w przyszłym roku. I kino samochodowe w Beacon. Nim też będę zarządzać.

Zawahał się.

- Vinnie, może czegoś nie rozumiem, ale jeśli Cinemate wybiera filmy i je kupuje, to czym się właściwie zajmujesz?

- No, pieniędzmi, oczywiście. I innymi tam t; kimi, bardzo ważnymi sprawami. Wiesz, że jedno stoisko z cukierkami zarabia przez jeden wieczór tyle pieniędzy, że zwraca się koszt wynajmu filmu? Tylko trzeba odpowiednio podejść do sprawy. Poza tym zajmuję się też sprawami porządkowymi i - wyraźnie się nadał - angażowaniem i zwalnianiem ludzi. Jestem bardzo zajęty. Sharon się cieszy, bo uwielbia oglądać filmy, zwłaszcza z Pauliem Newmanem i Clintem Eastwoodem. Ja też jestem zadowolony, bo nagle skoczyłem z dziewięćciu tysięcy do jedenastu pięćset.

Przyglądał się Vinniemu tępo, nie wiedząc, czy powinien coś powiedzieć. Więc to jest nagroda od Ordnera. Dobry piesek. Masz tu kość.

- Uciekaj stamtąd, Vinnie - powiedział. - Jak najszybciej się ratuj.
- Co? - Vinnie zmarszczył czoło w najszczerzym zdumieniu.
- Wiesz, co znaczy słowo „goniec”?
- Goniec? Jasne. To taka figura w szachach...
- Nie, ten inny goniec. Człowiek, który załatwia różne sprawy.

Awansowany chłopak na posyłki. Przynieś, wynieś, pozamiataj.

- O co ci chodzi? Chciałem tylko...

- A ja chciałem tylko powiedzieć, że Steve Ordner przedstawił twoją sprawę innym członkom zarządu - tym, którzy się liczą - i powiedział: słuchajcie, chłopaki, musimy coś zrobić z Vincentem Masonem. Sprawa jest delikatna. To on nas ostrzegł, że Bartowi Dawesowi poprzestawiały się klepki, i choć nie potrafił wkroczyć na czas, żebyśmy mogli powstrzymać Dawesa, zanim wszystko zawalił, i tak jesteśmy temu Masonowi coś winni. Ale oczywiście nie możemy mu powierzyć zbyt ważnego zadania. A wiesz dlaczego, Vinnie?

Vinnie patrzył na niego z nienawiścią.

- Wiem, że nie muszę już słuchać tych głupot. Tyle wiem na pewno. Zrobił niewinną minę.

- Przecież cię nie oszukuję. To, co robisz, już mnie nie obchodzi. Ale na Boga, Vinnie, jesteś przecież młody. Nie chciałbym, żeby cię w ten sposób załatwili. Ta robota jest z pozoru żyłą złota, a naprawdę to gów no. Najtrudniejsza decyzja, jaka cię czeka, to kiedy zamówić nowy transport landrynek i czekoladek. A Ordner już dopilnuje, żeby nic się nie zmieniło, dopóki będziesz pracować dla korporacji.

Świąteczny nastrój, jeśli to był właśnie on, wyraźnie się zwarzył. Vinnie stał, ściskając pudełko tak mocno, że słycać było szelest zgniatanych opakowań, a jego oczy aż poszarzały z nienawiści. Żywy obraz młodzieńca, który wychodzi z domu, pogwizdując, gotowy na gorącą randkę i widzi, że ktoś przeciął wszystkie opony w jego nowym sportowym wozie. W dodatku nie słucha. Mógłbym mu puścić nagranie i też by mi nie uwierzył.

- Jak się okazało, popisałeś się odpowiedzialnością - ciągnął. - Nie wiem, co ludzie o mnie teraz mówią...

- Że oszalałeś - rzucił Vinnie cienkim, wrogim głosem.

- Może tak, może nie. A więc miałeś rację. Ale jednocześnie popełniłeś błąd. Zdradziłeś tajemnicę. Nie daje się odpowiedzialnej pozycji ludziom, którzy zdradzają tajemnice, nawet kiedy mają do tego prawo,

nawet jeśli na ich milczeniu ucierpi korporacja. Ci goście z czternastego piętra, Vinnie, są jak lekarze. Nie lubią plotkarzy, tak jak lekarze nie lubią stażystów, trąbiących na prawo i lewo o chirurga, który zawałił operację, ponieważ wypił za wiele do obiadu.

- Naprawdę się uparłeś, żeby mi namieszać w życiu, prawda? - warknął Vinnie. - Ale już dla ciebie nie pracuję. Zostaw ten jad dla kogoś innego.

- Vinnie, Vinnie, nie bądź ślepy. To gorzka pigułka w słodkiej polewie. W tym roku na pewno zarobisz jedenaście i pół tysiąca, a w przyszłym, kiedy zajmiesz się pozostałymi kinami, mogą ci podwyższyć pensję nawet do czternastu. Za dwanaście lat będziesz dalej tkwić w tym samym miejscu. Przynies, Vinnie, wynies, pozamiataj, ale pionem. Załatw nowe wykładowiny, nowe siedzenia, odnieś film, który tu przysłano przez pomyłkę z drugiego końca miasta. Chcesz się tym zajmować, kiedy ci stuknie czterdziestka, chcesz, żeby twoją jedyną perspektywą był złoty zegarek w nagrodę?

- To i tak lepsze od tego, co ty robisz. - Vinnie odwrócił się gwałtownie, niemal wpadając na Świętego Mikołaja, który powiedział coś podejrzanie podobnego do: „Gdzie się, kurwa, pchasz”.

Poszedł za Vinniem. Coś w wyrazie zaciętej twarzy chłopaka mówiło mu, że się do niego przebił pomimo wszystkich mechanizmów obronnych. Boże, Boże, pomyślał. Niech się stanie.

- Daj mi spokój, Bart. Spadaj.

- Uciekaj stamtąd - powtórzył. - Jeśli zaczekasz do lata, będzie za późno. Przez ten kryzys energetyczny z pracą zrobi się krucho jak diabli. To może być twoja ostatnia szansa. Może...

Vinnie odwrócił się do niego.

- Ostrzegam cię po raz ostatni.

- Spuszczasz swoją przyszłość w wychodku, Vinnie. Szkoda życia. Co powiesz swojej córce, kiedy...

Vinnie walnął go w oko. Czaszkę przeszła mu biała błyskawica; zatoczył się do tyłu, młóćąc rękami. Dzieci, idące za Świętym Mikołajem rozbiegły się na wszystkie strony, prezenty, które niósł - lalki, żołnierze, szachy - poleciały w powietrze. Wpadł na stojak z plastikowymi telefonami, które posypały się na podłogę jak grad. Gdzieś mała dziewczynka krzyknęła jak zranione zwierzę, a on pomyślał: Nie płacz, kochanie, to tylko głupi stary George się przewrócił. Ostatnio często mu się to zdarza. Ktoś inny - pewnie pocciwy Święty Mikołaj - kłął i wzywał ochroniarza. Potem znalazł się na podłodze między telefonami z magnetofono-

nową taśmą w środku, jeden z nich w kółko skrzeczał mu do ucha: Chcesz iść do cyrku? Chcesz iść do cyrku? Chcesz iść do cyrku? Chcesz...

17 GRUDNIA 1973

Świdrujący dzwonek telefonu wyrwał go z płytkiej, niespokojnej popołudniowej drzemki. Śnił, że jakiś młody naukowiec odkrył, iż dzięki minimalnej zmianie budowy atomu orzeszka ziemnego Ameryka może produkować nieograniczone ilości benzyny niezanieczyszczającej powietrza. Od razu wszystko zmieniło się na lepsze w skali jednostki i narodu, a w jego śnie zapanował nastrój radosnego święta. Dzwonek telefonu stanowił złowróżbny kontrpunkt, coraz bardziej narastający, aż sen się rozerwał, a spod niego wyjrzała nieprzyjazna rzeczywistość.

Dźwignął się z kanapy, podszedł do telefonu i niezdarnie podniósł słuchawkę. Oko już go nie bolało, ale w korytarzowym lustrze zobaczył, że nadal jest podbite.

- Halo?

- Cześć, Bart. Tu Tom.

- Aha. Jak tam?

- Dobrze. Słuchaj, pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć. Jutro będą burzyć pralnię.

Oczy same mu się otworzyły.

- Jutro? Niemożliwe. Przecież... cholera, już prawie Gwiazdka.

- No właśnie.

- Ale na razie nie są gotowi.

- To tylko przemysłowy budynek, który im stoi na drodze. Zburzą go przed świąteczną przerwą.

- Wiesz na pewno?

- Tak. W porannym programie „Dzień w mieście” nadają aktualne wiadomości.

- Będiesz tam?

- Tak. Zbyt duży kawał życia spędziłem w tej budzie, nie potrafię się powstrzymać, żeby tam nie przyjechać.

- Więc pewnie się zobaczymy.

- Pewnie tak.

Zawahał się.

- Słuchaj... chciałbym cię przeprosić. Nie sędzę, żeby chcieli otworzyć pralnię w Waterford czy gdziekolwiek. Jeśli cię załatwiłem...

- Nie, nic mi się nie stało. Pracuję w „Brite-Kleen”, sprawy administracyjne. Krótsze godziny, wyższa pensja. Znalazłem pertę w stercie gówna.

- Jak ci tam jest?

Po drugiej stronie przewodu rozległo się westchnienie.

- Nie za bardzo. Ale stuknęła mi pięćdziesiątka. Trudno mi się zmienić. W Waterford byłoby tak samo.

- Tom, jeśli chodzi o to, co zrobiłem...

- Nie chcę o tym słyszeć. - W głosie Toma słychać było skrzypowanie. - To sprawa między tobą a Mary. Naprawdę.

- W porządku.

- A... jak się czujesz?

- Dobrze. Byłem przemęczony, ale już wszystko dobrze.

- Cieszę się. - Tom zamilkł na tak długo, że milczenie zaczęło gęstnieć, a on miał już podziękować za pamięć i odłożyć słuchawkę. Jednak Tom odezwał się znowu: - Zadzwoił do mnie Steve Ordner. Pytał o ciebie. Zadzwoił, wyobraź sobie, do mojego domu.

- Naprawdę? Kiedy?

- Tydzień temu. Na myśl o tobie zieje ogniem. Ciągle pytał, czy ktoś z nas wiedział, że sabotujesz kupno tej siedziby w Waterford. Ale w tym było coś więcej. Wypytywał o inne rzeczy.

- Na przykład?

- Na przykład czy kiedykolwiek zabierałeś coś z biura do domu, dokumenty i inne. Albo czy praleś swoje rzeczy w firmowych pralkach. Spytał mnie nawet, czy przy okazji umowy z motelami nie wzięłeś w łapę.

- A to sukinsyn - powiedział w zadumie.

- Jak mówię, aż go ręce swędzą, żeby znaleźć na ciebie haka i wsadzić ci go w dupę. Najchętniej by cię oskarżył o jakieś przestępstwo kryminalne.

- Nie może. Wszystko zostało w rodzinie. A rodzina się rozpadła.

- Już dawno - odparł Tom spokojnie. - Po śmierci Raya Tarkingtona. Tylko Ordner jest na ciebie wkurzony, nikt inny. Ci z zarządu... dla nich to jedynie forsa. Na pralni się nie znają i nie chcą znać.

Nie wpadła mu do głowy żadna odpowiedź.

- No tak... - Tom westchnął. - Pomyślałem, że powinieneś o tym usłyszeć. I pewnie już wiesz o bracie Johnny'ego Walkera?

- O Arniem? Nie, o co chodzi?

- Zabił się.

-Co?!

W słuchawce rozległ się dziwny dźwięk, jakby Tom pociągał nosem.

- Podłączył gumowy przewód od rury wydechowej, wsadził go przez tylne okno i zamknął samochód. Znalazł go gazeciarsz.

- Dobry Boże - szepnął. Pomyślał o Arniem Walkerze, siedzącym w poczekalni, i wzdrygnął się, jakby przeskoczyła go śmierć. - To straszne.

- Tak... -I znowu ten dźwięk. - Słuchaj... muszę już kończyć.

- Jasne. Dzięki, że zadzwoniłeś.

- Było mi miło. Cześć.

Powoli odłożył słuchawkę, wciąż myśląc o Arniem Walkerze i o tym śmiesznym, skomlącym dźwięku, jaki wydał na widok księdza. *Jezu, niesie oleje, widział pan?*

- Szkoda. Szkoda - powiedział w pustym pokoju. Słowa zabrzmiały głucho. Poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie drinka.

Samobójstwo.

Słowo brzmiało jak syknięcie, jakby wąż wślizgiwał się w ciasną rozpadlinę. Dlaczego to zrobił, Freddy? To były tylko dwa stare pierniki, które mieszkały razem. Dlaczego ktokolwiek miałby to robić?

Ale wydawało mu się, że wie.

18-19 GRUDNIA 1973

Pojechał do pralni na ósmą. Zaczęli ją burzyć dopiero koło dziewiątej, ale tłum zebrał się już godzinę wcześniej. Ludzie stali na mrozie z rękami w kieszeniach i obłoczkami pary przed ustami jak dymki w komiksie - Tom Granger, Ron Stone, Ethel Diment, dziewczyna od koszul, która przeważnie się wstawiała podczas przerwy obiadowej, a potem przez całe popołudnie przypalała niepodjęzawające niczego kołnierzyki, Gracie Floyd i jej kuzynka Maureen, obie obsługujące prasownicę, a także dziesięć do piętnastu innych osób.

Na ulicy stanęły żółte ogrodzenia i wielkie pomarańczowo-czarne znaki, na których widniało:

OBJAZD

Znaki kierowały ruch wokół dzielnicy. Chodnik przed pralnią też był zamknięty.

Tom Granger podniósł palec na jego widok, ale nie podszedł. Pozostali zerknęli na niego z ciekawością i pochylili się ku sobie.

To jak sen paranoika, Freddy. Które z nich podbiegnie pierwsze i rzuci mi w twarz *faccusel*

Ale Fred się nie odzywał.

Za kwadrans dziewiąta pod pralnię podjechała nowa toyota corolla rocznik '74, jeszcze na tymczasowych numerach; wysiadł z niej Vinnie Mason, wspaniały i trochę stremowany, w nowym płaszczu z wielbłądziej wełny i skórzanych rękawiczkach. Rzucił mu jadowite spojrzenie, zdolne wypalić dziurę w żelaznej sztabie, po czym podszedł do Rona Stone'a, stojącego z Davem i Pollackiem.

Parę minut po dziewiątej podjechał dźwig z kulą kołyszącą się w powietrzu jak dójka bez krowy. Dźwig toczył się bardzo wolno na dzieściu olbrzymich kołach, a monotony warkot silnika wstrząsał kryształowym mroźnym powietrzem niczym młot rzeźbiarza wykuwający nieznaną posąg.

Mężczyzna w żółtym kasku kierował dźwig ku krawężnikowi i parkingowi. W szoferce inny mężczyzna zmieniał biegi i manewrował sprzęgłem. Z komina dźwigu waliły kłęby brązowego dymu.

Od chwili gdy zaparkował samochód trzy przecznice dalej i przyszedł tu pieszo, dręczyło go dziwne, niesprecyzowane uczucie, fantom, którego nie potrafił z niczym połączyć. Teraz, gdy dźwig zatrzymał się tuż pod ceglana ścianą budynku, na lewo od rampy wyładunkowej, to uczucie znowu do niego wróciło. Całkiem jak w ostatnim rozdziale kryminału, kiedy zbierają się wszyscy bohaterowie, by można było obnażyć mechanizm zbrodni i zdemaskować mordercę. Wkrótce ktoś - najprawdopodobniej Steve Ordner - wystąpi z tłumu, wskaże na niego i krzyknie: To on! Bart Dawes! To on zamordował „Blue Ribbon"! On zaś powinien w tej chwili wyciągnąć broń, by uciszyć mściciela, a potem paść od policyjnych kul.

Ta scena wytrąciła go z równowagi. Odwrócił się w stronę drogi, żeby odzyskać spokój, i poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, ponieważ tuż przy żółtych barierach zatrzymał się właśnie ciemnozielony samochód Ordnera, delta 88, z podwójnym pióropuszem spalin dobywających się z dwóch rur wydechowych.

Steve Ordner patrzył na niego spokojnie przez szybę.

W tej samej chwili kula zatoczyła łuk z cichym, przenikliwym zgrzytem i uderzyła w ceglana ścianę, przebijając się przez nią z głuchym łoskotem wybuchającego armatniego pocisku. Tłum westchnął.

Do czwartej po południu z pralni została tylko sterta gruzu i szkła, z której wystawały połamane belki - zgruchotany szkielet jakiegoś wykopaliskowego potwora.

Jego późniejszemu postępowaniu nie towarzyszyła żadna świadoma myśl o przyszłości czy konsekwencjach. Mniej więcej tak jak wtedy, gdy miesiąc temu kupował broń w sklepie Harveya. Ale teraz nie musiał korzystać z wyłącznika, ponieważ Freddy zamilkł.

Pojechał na stację benzynową i zatankował do pełna. W ciągu dnia nad miastem zawisły chmury, prognozy zapowiadały zadymkę - dzieśnięć do dwunastu centymetrów świeżego śniegu. Pojechał do domu, zaparkował w garażu i zszedł do piwnicy.

Pod schodami stały dwa duże pudła zwrotnych butelek po wodzie i piwie. Pokrywała je gruba warstwa kurzu. Nawet Mary o nich zapomniiała, w związku z czym przestała mu suszyć głowę, żeby wreszcie je oddał. Teraz sklepy na ogół nie przyjmowały już butelek zwrotnych. Zużyj i wyrzuć. Może nie?

Postawił pudła jedno na drugim i zataszczył do garażu. Kiedy poszedł do kuchni po nóż, lejek i wiadro, za oknem już padał śnieg.

Włączył światło w garażu, zdjął zielony wąż ogrodowy z haka, który tam spoczywał od końca września. Odkręcił metalową końcówkę - upadła na cement z wymownym brzękiem. Odmierzył metr węża i odciął. Resztę odrzucił; przez jakiś czas przyglądał się mu w zamyśleniu. Potem odkręcił bak i łagodnie wsunął do niego wąż, jak delikatny kochanek.

Widział już, jak się przetacza benzynę, znał ogólne zasady, ale nigdy tego nie robił. Przygotował się na smak benzyny, włożył rurę do ust i zassał powietrze. Przez chwilę nie czuł nic z wyjątkiem nieuchwytnego oporu, a potem jego usta wypełniły się płynem tak zimnym i obcym, że musiał powstrzymać impuls, każący mu wciągnąć powietrze, a przy okazji trochę benzyny. Wypluł ją, krzywiąc się, z językiem zdrętwiałym od tego smaku. Pochylił wąż do wiadra; na dno bluznął różowawy strumień. Strumień zmienił się w strumyczek, dlatego wkrótce należało jeszcze raz powtórzyć rytuał. Tym razem strumień był silniejszy i jednostajny. Benzyna spływała do wiadra z ciurkaniem jak w publicznej toalecie.

Splunął na podłogę, przepłukał wnętrze ust śliną, znowu splunął. Już lepiej. Przyszło mu do głowy, że przez całe swoje dorosłe życie niemal codziennie korzystał z benzyny, a mimo to jeszcze nigdy nie nawiązał z nią tak intymnego kontaktu. Dotykał jej tylko przy okazji napełniania zbiorniczka małej kosiarki Briggs & Stratton. Nagle ucieszył się, że tak się stało. Nawet posmak w ustach wydał mu się dobry.

Wiadro powoli się napełniało; w tym czasie wrócił do domu (śnieg padał coraz gęściej), z szafki pod zlewem wyjął jakieś szmaty, zabrał je

do garażu i podarł na długie pasy, które następnie ułożył ładnie na masce samochodu. Wiadro napełniło się do połowy. Przełożył wąż do stalowego kubła, w którym zwykle przechowywał piasek do posypywania oblodzonego podjazdu. Kiedy kubel się napełniał, ustawił dwadzieścia butelek po piwie i wodzie w czterech zdyscyplinowanych rzędkach i każdą napełnił przez lejek w trzech czwartych. Następnie wyciągnął wąż z kanistra i wlał benzynę z metalowego kubła do wiadra. Wypełniło się niemal po brzegi.

Wsadził do każdej butelki lont ze szmaty, dokładnie zatykający szyjkę. Wrócił do domu z lejkiem. Śnieg chłostał ziemię długimi ukosnymi smugami. Podjazd był już zupełnie biały.

Włożył lejek do zlewu i znalazł przykrywkę pasującą do wiadra. Zabrał ją do garażu, zabezpieczył nią wiadro, otworzył bagażnik, włożył je do środka. Ustawił koktajle Mołotowa w tekturowym pudle, ciasno przy sobie, by stały na baczność jak wzorowi żołnierze. Postawił pudło na siedzeniu pasażera, żeby mieć je pod ręką. Wrócił do domu, usiadł w fotelu i włączył telewizor zenith za pomocą modułu. Już leciał „Wtorkowy hit tygodnia”, jakiś western z Davidem Janssenem. Doszedł do wniosku, że David Janssen jako kowboj jest do dupy.

Po filmie obejrzał, jak Marcus Welby leczy zbuntowaną nastolatkę chorą na epilepsję. Zbuntowana nastolatka nieustannie miała ataki w miejscach publicznych. Welby ją uleczył. Po programie pojawiło się logo stacji filmowej oraz dwie reklamy: jedna zachwalała supermikser, druga album zawierający czterdzieści jeden religijnych hitów. Następnie zaczął się dziennik. Facet od pogody oznajmił, że śnieg będzie padać przez całą noc i część następnego dnia. Powiedział z naciskiem, że wszyscy powinni zostać w domu. Drogi będą śliskie, a sprzęt do odśnieżania zostanie sprowadzony nie wcześniej niż o drugiej nad ranem. Spodziewane są porywiste wiatry i zadymki, a tak w ogóle, dał do zrozumienia, przez najbliższy dzień na dworze będzie sodoma z gromą.

Po dzienniku pojawił się Dick Cavett. Oglądał go przez godzinę, po czym wyłączył telewizor. A więc Ordner chciał go zrobić w jakieś przestępstwo, tak? No, po tym, co zamierzał, wystarczy jedna mała stłuczka, a życzenie Ordnera się spełni. A jednak uważał, że ma szansę. LTD jest ciężkim samochodem, a on założył mu zimowe opony.

W drzwiach kuchni włożył płaszcz, czapkę i rękawiczki. Zatrzymał się na chwilę. Wrócił do wnętrza tonącego w ciepłym świetle do-

mu i rozejrzał się - stół kuchenny, piecyk, komódka z kubkami zwi-
sającymi z kołków na ścianie, fiołki na kominku w salonie - poczuł
przyływ ciepłej miłości, przyływ opiekuńczości. Wyobraził sobie
metalową kulę sunącą ze zgrzytem przez te pokoje, rozbijającą ścia-
ny, tłukącą okna, zarzucającą podłogi gruzem. Nie zamierzał na to
pozwolić. Po tych podłogach raczkował Charlie, w tym salonie po-
stawił pierwsze kroki, z tych schodów spadł i wystraszył swoich ro-
dziców na śmierć. Pokój Charliego został przerobiony na gabinet do
pracy, ale przecież nadal tam był - pokój, w którym jego syn po raz
pierwszy poczuł, że boli go głowa, doświadczył podwójnego widze-
nia i tych dziwnych zapachów, czasami jakby pieczonej wieprzowiny,
kiedy indziej palonej trawy, jeszcze innym razem - opiłków grafito-
wych. Po jego śmierci odwiedziło ich ze sto osób, a Mary częstowała
wszystkich w salonie ciastkami i tortem.

Nigdy, Charlie, pomyślał. Nigdy, jeśli tylko będę miał coś do powie-
dzenia.

Podniósł drzwi garażu i przekonał się, że na podjazd napadało już
dziesięć centymetrów śniegu, bardzo sypkiego i suchego. Wsiadł do
LTD, zapalił silnik. Zostało mu jakieś trzy czwarte baku. Zaczekał,
aż samochód się rozgrzeje; siedząc za kierownicą, w mistycznym zie-
lonym blasku tablicy rozdzielczej, zatonął w rozmyślaniach o Arniem
Walkerze. Wystarczy gumowy wąż, nieźle. Zupełnie jakby się zasnę-
ło. Czytał gdzieś, że tak to wygląda, kiedy się człowiek zatruje tlen-
kiem węgla. Dostaje rumieńca na policzkach, toteż wygląda krzep-
ko i zdrowo, jakby tryskał życiem i energią. I...

Zaczął drzeć, śmierć chyba ćwiczyła na nim skok przez płotki. Włą-
czył grzejnik. Kiedy w samochodzie się ociepliło, a jego drzenie usta-
ło, wrzucił wsteczny i wycofał się w sypki śnieg. Usłyszał chlupot ben-
zyny w wiaderku Mary, co mu przypomniało, że o czymś zapomniał.

Wrócił do domu. W szufladzie komódki leżała duża paczka zapa-
łek. Wypchał kieszenie chyba dwudziestoma pudełkami. Potem wsiadł
do samochodu.

Jezdnie były bardzo śliskie.

Pod płatami świeżego śniegu kryły się jezory lodu, a raz, gdy zatrzy-
mał się na światłach na rogu Crestallen i Garner, samochód omal nie
wpadł w poślizg. Kiedy zdołał go wreszcie zatrzymać, serce łomotało
mu mocno o żebra. Popętnił szaleństwo, nie ma co. Gdyby miał dach-

wanie z całym tym ładunkiem, zdrapywaliby go łyżeczką, a pochowali w pudełku po butach.

To lepsze niż samobójstwo. Samobójstwo to grzech śmiertelny.

Tak twierdzą katolicy. Ale nie sądził, żeby spotkało go dachowanie. Na drodze z rzadka pojawiał się jakiś samochód, a gliniarzy nie było widać jak okiem sięgnąć. Pewnie kryli się w zaułkach, wszyscy na kupie.

Ostrożnie skrzył w Kennedy Promenadę - kiedyś myślał, że zawsze będzie ją nazywać Dumont Street, bo tak się nazywała do jednej specjalnej sesji miejskiej rady, która przemianowała ją w styczniu 1964. Dumont/ Kennedy biegła od Westside przez całe miasto, mniej więcej kilometr równoległe do budowy trasy 784. Mógł nią jechać pół kilometra, po czym skrzyć w Grand Street. Nieco dalej Grand Street była już tylko wspomnieniem, tak jak stare kino „Grand”, niech spoczywa w pokoju. W przyszłym roku w lecie miała zmartwychwstać w postaci wiaduktu (jednego z trzech, o których wspomniał Maglioremu), ale to już nie będzie ta sama ulica. Zamiast kina po prawej będzie widać tylko sześć - a może osiem - pasów autostrady w dole. Wiele informacji zaczerpnął z radia, telewizji i codziennych gazet, nie poprzez jakiś świadomy wysiłek, lecz niemal drogą osmozy. Niewykluczone, że gromadził materiał instynktownie, tak jak wiewiórka zbiera orzechy. Wiedział, że firma budowlana, która podpisała umowę na budowę autostrady, już niemal zakończyła roboty zaplanowane na zimę, ale orientował się też, że miała dokonać wszystkich koniecznych wyburzeń (wyburzenia, Fred, co ty na to? Ale Fred nie podjął rękawicy) w mieście do końca lutego. To oznaczało, że zajmą się też Crestallen Street West. Była w tym pewna ironia. Gdyby mieszkali pół kilometra dalej, wyburzenia czekałyby ich dopiero pod koniec wiosny - w maju lub na początku czerwca 1974 roku. A gdyby pobożne życzenia były koźmi, żebracy jeździliby w poszostnych zaprzęgach. Wiedział też, tym razem dzięki w pełni świadomym obserwacjom, że maszyny robotników znajdują się obok miejsca, w którym zamordowano Grand Street.

Skrzył w Grand; tylne koła samochodu usiłowały mu uciec w bok. Skrzył z poślizgiem, opanował samochód, przemówił do niego ruchami kierownicy i sunął dalej, przez niemal dziewiczy śnieg - ślady ostatniego samochodu, który tu przed nim jechał, były już zawiane, niewyraźne. Nie wiadomo dlaczego, widok takiej obfitości świeżego śniegu podniósł go na duchu. W takim śniegu dobrze było ruszać się, działać.

Sunąc przez ulicę niespiesznie, czterdziestką, uleciał myślami do Mary i pojęcia grzechu, śmiertelnego i powszedniego. Mary została wycho-

wana w wierze katolickiej, chodziła do przyklasztornej szkoły i choć w chwili ich pierwszego spotkania odrzuciła już większość religijnych założeń - przynajmniej intelektualnie - niektóre przy niej zostały, mocno wszczepione w psychikę. Jak powiedziała sama Mary, zakonnice dały jej sześć warstw lakieru i trzy wosku. Po poronieniu matka wezwała do szpitala księdza, żeby ją wyspowiadał; na jego widok Mary zaczęła płakać. Był przy niej, kiedy wszedł ksiądz z ostatnim namaszczeniem i ten szloch żony rozdarł jego serce tak, jak tylko jedna rzecz w życiu.

Raz, na jego prośbę, wyrecytowała mu pełną listę grzechów śmiertelnych i powszednich. Uczyła się ich na lekcjach katechezy przed dwudziestu, dwudziestu pięciu lub nawet trzydziestu laty, a jednak recytowała (tak mu się zdawało) bezbłędnie. Nie rozumiał tylko kwestii interpretacji. Czasami jakiś uczynek był grzechem śmiertelnym, czasem tylko powszednim. Wyglądało na to, że interpretacja zależy od poglądów oceniającego. *Świadoma wola czynienia zła*. Czy tak powiedziała Mary podczas tych dawnych dyskusji, czy też Freddy szepnął mu to do ucha? To go zbiło z tropu i zmartwiło. *Świadoma wola czynienia zła*.

Wreszcie wydało mu się, że określił dwa najważniejsze grzechy śmiertelne, zabójcze i niezawodne: morderstwo i samobójstwo. Ale w późniejszej rozmowie - chyba z Ronem Stone'em... tak, chyba tak - to pierwsze także straciło wyrazistość. Ron twierdził (podczas popijawy w barze, tak mu się zdawało, a było to jakieś dziesięć lat temu), że czasem morderstwo jest grzechem powszednim. Albo w ogóle nim nie jest. Jeśli z zimną krwią zaplanujesz morderstwo na kimś, kto zgwałcił twoją żonę, grzech może być powszedni. A jeśli zabijesz kogoś w wojnie o słuszną sprawę - to były słowa Rona, niemal je słyszał, nagrane na taśmę pamięci - to wcale nie popełniasz grzechu. Według Rona wszyscy amerykańscy żołnierze, którzy zabijali hitlerowców i Japońców, w dniu Sądu Ostatecznego będą w porządku.

Zostało samobójstwo, to syczące słowo.

Zbliżył się do budowy. Była obstawiona czarno-białymi zaporami z okrągłymi migającymi reflektorami na górze, a także pomarańczowymi znakami, które rozbłyskiwały przelotnie w światłach reflektorów. Na jednym z nich widniało:

DROGA TYMCZASOWO ZAMKNIĘTA

Na drugim:

OBJAZD - NOWE OZNACZENIA

Na trzecim:

UWAGA, EKSPLOZJE! UPRASZA SIĘ
O WYŁĄCZENIE KRÓTKOFALÓWEK

Zjechał na pobocze, wyłączył światła, zgasił silnik i wysiadł. Podszedł do czarno-białych barierek. W pomarańczowym świetle migających sygnalizatorów śnieg wydawał się gęstszy i miał absurdalny kolor.

Przypomniał sobie, jak bardzo zbiło go z tropu pojęcie rozgrzeszenia. Początkowo myślał, że wszystko jest proste: jeśli popełniasz śmiertelny grzech, jesteś śmiertelnie ranny, potępiony. Możesz się modlić, aż ci język odpadnie, a i tak pójdziesz do piekła. Tymczasem Mary powiedziała, że jest inaczej. Istnieje spowiedź, pokuta i tak dalej. To było bardzo skomplikowane. Jezus powiedział, że dla mordercy nie będzie życia wiecznego, ale powiedział też: wszyscy, którzy we mnie wierzą, nie zginą. Wszyscy. Wyglądało na to, że w biblijnej doktrynie jest tyle samo luk co w kodeksie prawnym. Co nie dotyczyło oczywiście samobójstwa. Kiedy się je popełni, nie można iść do spowiedzi, wyrazić żalu za grzechy i odpokutować, ponieważ już się przecięło srebrną nić i teraz można się tylko błąkać po tamtym świecie, jeśli taki istnieje. A...

A właściwie dlaczego się nad tym zastanawiał? Nie zamierzał nikogo zabić i z całą pewnością nie zamierzał popełnić samobójstwa. Nigdy w życiu nie zastanawiał się nad samobójstwem. Przynajmniej do niedawna.

Spojrzał na czarno-białe barierki i zrobiło mu się zimno w środku.

Maszyny stały, przysypane śniegiem, przycupnięte wokół górującego nad nimi dźwigu z kulą do wyburzania. Dźwig, jakby znieruchomiał w zamyśleniu, wydawał się przerażający. Jego wznoszący się wśród śnieżnych ciemności czarny szkielet kojarzył się z modliszką, która na jakiś czas zapadła w sen zimowy.

Odsunął z drogi jedną barierkę. Była bardzo lekka. Wrócił do samochodu, wsiadł i zapalił silnik. Samochód przetoczył się obok barierki i zaczął się zsuwać po zboczu, mocno ubitym kołami wjeżdżających i zjeżdżających wielkich pojazdów. Na ubitej ziemi prawdopodobieństwo wpadnięcia w poślizg było bliskie zera. Zjechał na sam dół, stanął na jałowym biegu i wyłączył reflektory. Wspiął się z powrotem po zboczu, aż się zasapał, postawił barierkę na miejsce. Wrócił.

Otworzył bagażnik LTD, wyjął z niego wiadro. Podszedł do samochodu od strony siedzenia pasażera i postawił wiadro na podłodze, po-

nizej pudła z bombami zapalającymi. Zdjął z wiadra białą pokrywkę i cicho podśpiewując, zanurzył każdy lont w benzynie. Następnie zaniósł wiadro do dźwigu, wspiął się do otwartej szoferki, uważając, żeby się nie pośliznąć. Był ożywiony, serce biło mu mocno, gardło się zacisnęło od gorzkiego uniesienia.

Chlusnął benzyną na siedzenie, deskę rozdzielczą i dźwignię biegów. Stał na wąskim pomoście nad silnikiem dźwigu i wlał pod przykrywkę resztę benzyny. W powietrzu rozniósł się zapach węglowodorów. Benzyna przemoczyła mu rękawiczki, zmoczyła dłonie, które niemal natychmiast zaczęły drętwieć. Zeskoczył, zdarł rękawice, schował je do kieszeni kurtki. Pierwsza paczka zapalek wypadła mu z palców, zesztyniałych jak kawałki drewna. Drugą paczkę zdołał utrzymać, ale wiatr zgasił dwie pierwsze zapalki. Odwrócił się do niego plecami, osłonił następną zapalkę własnym ciałem i ta wreszcie zajęła się ogniem. Przytknął ją do pęku pozostałych - buchnęły syczącym płomieniem. Rzucił je do szoferki.

Przez chwilę sądził, że zapalki chyba zgasty, bo nic się nie działo. Potem rozległo się ciche „fflffuuuu!” i w kabine eksplodował z furją kłęb ognia. Pomarańczowy kwiat, który w niej rozkwitł, bił takim blaskiem, że trzeba było osłonić oczy ręką.

Z kabiny wystrzeliła ognista ręka, sięgnęła pod przykrywkę silnika, na chwilę się zatrzymała, jakby się wahała, po czym wpetrzała do środka. Tym razem wybuch nie był tak cichy. KA - BUM! I nagle przykrywa wystrzeliła w powietrze tak wysoko, że zniknęła mu z oczu, obracając się w miejscu i furkocząc. Coś przeleciało mu ze świstem koło głowy.

Pali się, pomyślał. Naprawdę się pali!

Zaczął tańczyć ociężale w mroku rozświetlonym płomieniami, z twarzą wykrzywioną w takiej ekstazie, że omal nie rozpadła się na tysiąc uśmiechniętych kawałków. Ręce same zwinęły się mu w pięści i uniosły nad głowę.

- Hura! - wrzasnął na wiatr, a wiatr wrzasnął na niego. - Hura, psia-krew, hura!

Popędził wokół samochodu, pośliznął się na śniegu, upadł... i to chyba uratowało mu życie, ponieważ akurat wtedy wybuchnął bak dźwigu, rozsyłając wokół grad żelaznych pocisków. Kawałek rozpalonego metalu trafił prosto w prawe okno LTD, wybił promienistą dziurę w szkłe i zostawił po sobie szaloną pajęczynę pęknięć.

Wstał (z przodu był zupełnie oblepiony śniegiem) i usiadł za kierownicą. Włożył znowu rękawiczki - odciski palców - ale potem

ostrożność go opuściła. Przekręcił kluczyk w stacyjce, prawie go nie czując pod palcami, wdepnął gaz do dechy, aż tył samochodu zakotyssał się na obie strony. Dźwig płonął jak wszyscy diabli, wyglądało to nawet lepiej, niż sobie wyobrażał, szoferka zmieniała się w piekło, wielka szyba pękła.

- Jasna cholera! - wrzasnął. - Och, Freddy, jasna cholera!

Przejechał przed dźwigiem - blask ognia rzucił na jego twarz haloweenowe kolory - dziabnął wskazującym palcem w tablicę rozdzielczą, zapalając zapalniczkę za trzecim podejściem. Pojazdy znajdowały się po jego lewej stronie; opuścił okno. Wiadro Mary turlało się po podłodze, butelki po wodzie i piwie szczękały gorączkowo o siebie, a samochód podskakiwał na zamarzniętej ziemi.

Zapalniczka wyskoczyła z tablicy rozdzielczej. Z całej siły wdepnął hamulec, puknął palcem w tablicę, wydlubał z niej zapalniczkę. Wyjął z pudła jedną butelkę i przycisnął żarzącą się spiralkę do lontu. Zapłonął niemal natychmiast, a wtedy rzucił butelkę. Rozbiła się na zabłoczonej karoserii buldożera, płomienie rozpełzły się wesoło. Schował zapalniczkę na miejsce, przejechał sześć metrów dalej i rzucił trzy butelki na walec drogowy. Jedna chybiła, jedna uderzyła bokiem i benzyna rozlała się na śnieg, a trzecia poszybowała prosto do kabiny.

- Kurwa, w dziesiątkę! - ryknął.

Drugi buldożer. Mniejszy walec. Potem mieszkalna przyczepa. Na drzwiach widniało:

LANE CONSTRUCTION

Biuro terenowe

NIE PROWADZIMY NABORU PRACOWNIKÓW!

Proszę wycierać nogi!

Zahamował w pobliżu i rzucił cztery butelki w duże okno koło drzwi. Wszystkie wpadły do środka, pierwsza rozbiła szybę, zasłony zajęły się ogniem.

Za przyczepą stała furgonetka. Wsiadł z LTD, nacisnął klamkę od strony pasażera. Drzwi okazały się otwarte. Zapalił lont bomby i wrzucił ją do środka. Płomienie skoczyły ochoczo na siedzenie.

Wsiadł do samochodu i przekonał się, że zostały mu cztery, najwyżej pięć butelek. Ruszył dalej, drżąc z zimna; z nosa mu ciekło, śmierdział benzyną, ale ogarnęło go radosne uniesienie.

Koparka. Rzucił w nią pozostałymi butelkami. Dopiero ostatnia się zapaliła; wybuch uszkodził gąsienicę.

Sięgnął do pudełka, przypomniał sobie, że jest puste, spojrzął w lustro wsteczne.

- Ja pierdolę! - wrzasnął. - O matko, ja pierdolę, Freddy, ty złamasie!

Za nim w śnieżnych ciemnościach ciągnął się szereg ognisk, jak światła na pasie startowym. Z okien przyczepy buchały płomienie. Furgo-netka stała w ogniu. Kabina walca wyglądała jak pomarańczowy kocioł. Ale prawdziwym dziełem sztuki był dźwig, ponieważ stał się żółtą latarnią morską, syczącą pochodnią na środku terenu budowy.

- Rozpierdoburzenie! - zawył.

Powoli zaczął wracać do rzeczywistości. Nie ośmielił się skorzystać z drogi, którą przyjechał. Policja wkrótce tu będzie, może już jedzie. Strażacy też. Zdoła się wydostać czy utknął?

Heron Place, może się przebić do Heron Place. Czeką go wjazd pod górę i będzie musiał przejechać przez barierki, ale wydawało mu się, że zdołało zrobić. Tak, na pewno. Dziś stać go na wszystko.

Ruszył przez rozkopany teren, ślizgając się i grzęznąc. Kiedy w górze, nieco po prawej zobaczył latarnie Heron Place, dodał gazu. Sunąc w stronę nasypu, patrzył, jak wskazówka mija pięćdziesiątkę. Jechał już niemal siedemdziesiąt na godzinę, kiedy zaczął się wtaczać na zbocze. W połowie drogi tylne koła zaczęły buksować w miejscu. Zmienił bieg, silnik przycichł, a samochód skoczył do przodu. Prawie na samej górze koła znowu zaczęły się obracać w miejscu, pryskając śniegiem, kamkami i grudami zamrożonej ziemi. Przez chwilę wydawało się, że wszystko na nic. Potem siła bezwładu - oraz jego siła woli - wyprowadziły samochód na równą ziemię.

Samochód puknął maską czarno-białą barierkę; przewróciła się w śnieg, z którego uniósł się bajkowy biały obłoczek pyłu. Samochód przetoczył się przez krawężnik, a on niemal ze wstrząsem przekonał się, że znowu jest na normalnej ulicy, jakby nic się nie wydarzyło. Ruszył przed siebie z umiarkowaną prędkością, pięćdziesiąt na godzinę.

Miał już zawrócić w stronę domu, ale przypomniał sobie, że zostawi ślady w świeżym śniegu, które nie znikną przez najbliższe dwie godziny albo nawet dłużej. Zamiast skrócić w stronę Crestallen Street West, jechał dalej w stronę River Street, a potem do trasy numer 7. Ruch był niewielki, ponieważ ciągle padało, ale samochodów było na tyle dużo, że rozjeździły śnieg na burą breję.

Ruszył na wschód, nieco przyspieszając.

Przejechał trasą 7 niemal pięć kilometrów, zawrócił w stronę miasta i skierował się na Crestallen Street West. Na drogach pojawiły się

pługi śnieżne, sunące przez noc jak gigantyczne pomarańczowe mastyfy z płonącymi żółtymi ślepiami. Parę razy obejrzał się w stronę budo-
wy, ale syjący śnieg zasłonił wszystko.

W połowie drogi do domu zdał sobie sprawę, że choć okna ma zamknięte, a ogrzewanie włączone na cały regulator, jest mu zimno. Obejrzał się i ujrzał dziurę w tylnym oknie od strony pasażera. Na siedzeniu leżało szkło i śnieg.

Jak to się stało, pomyślał zdumiony. W ogóle sobie nie przypominał.

Wjechał na swoją ulicę od strony północnej i skierował się prosto do domu. Był taki, jak go zostawił, jedno oświetlone kuchenne okno, jedyne światelko na całej ulicy. Przez domem nie było policyjnych samochodów, ale drzwi garażu stały otworem, a to już świadczyło o zwykłej głupocie. Kiedy pada, zamyka się garaż, zawsze, bez wyjątku. Po to się ma garaż, żeby uchronić swoje rzeczy przed żywiołem. Tak mówił jego ojciec. Ralph Dawes umarł w garażu, tak jak brat Johnny'ego, ale nie popełnił samobójstwa. Dostał jakiegoś ataku. Znalazł go sąsiad - ojciec trzymał w lewej sztywniejącej już ręce sekator, a w drugiej małą ostrzałkę. Śmierć na przedmieściach. Boże, pošlij jego białą duszyczkę prosto do nieba, gdzie nie ma chwastów, a czarnuchy znają swoje miejsce.

Zaparkował samochód, zamknął drzwi garażu i wszedł do domu. Dygotał ze zmęczenia i szoku. Był już kwadrans po trzeciej. Powiesił płaszcz i czapkę w szafie, i raptem, kiedy zamykał drzwi, przeszył go gorący spazm strachu, żrący jak setka czystej whisky. Rzucił się sprawdzać kieszenie płaszcza. Wyrwało mu się głośne westchnienie ulgi, kiedy namacał w nich rękawiczki, wciąż mokre od benzyny, zwinięte w ciasne przemoczone kłębki.

Zastanowił się, czy nie zrobić kawy, ale się rozmyślił. Jego głowa pulsowała bólem, od którego robiło mu się niedobrze. To pewnie przez opary benzyny i szaleńczą jazdę w śnieżnych ciemnościach. W sypialni zdjął ubranie i rzucił je na krzesło, nie składając. Wydawało mu się, że zaśnie, ledwie przyłożył głowę do poduszki, ale tak się nie stało. Dopiero teraz, w domu, w teoretycznie bezpiecznym miejscu, stał się czujny i napięty. I przerażony jak dziecko. Złapią go i wsadzą do więzienia. Pokażą jego zdjęcie w gazetach. Znajomi będą kręcić głowami i plotkować o nim w kawiarniach i restauracjach. Vinnie Mason powie żonie, że od początku wiedział, iż ten Dawes to wariat. Rodzice Mary wysłały ją do Reno, gdzie najpierw kupi sobie dom, a potem zażąda rozwodu. Może znajdzie sobie kogoś do łóżka. To by go nie zdziwiło.

Leżał, nie mogąc zasnąć i powtarzając sobie, że nikt go nie złapie. Miał rękawiczki. Nie zostawił śladów. Miał wiaderko z białą przykrywką. Zmylił ewentualną pogoń, tak jak zbieg myli psy, przechodząc przez strumień. Żadna z tych myśli nie dała mu spokoju czy wytchnienia. Złapią go. Może ktoś z Heron Place widział jego samochód i pomyślał, że to podejrzane - kto jeździ tak późno w taką noc? Może ktoś zapisał jego numer rejestracyjny, a teraz odbiera gorące podziękowania policji? Może zebrali próbki lakieru z barierki w Heron Place, a teraz wyłuskują jego nazwisko z jakiegoś komputera. Może...

Przewracał się i rzucał w pościeli, czekając, aż przez okno wpadnie migotliwy niebieski blask, a do drzwi ktoś załomocze, czekał na jakiś widmowy kafkowski głos wołający: no dobra, otwieraj, ty tam! A kiedy wreszcie zasnął, nie wiedział o tym, ponieważ myśl ciągnęła się bez przerwy, przeniosła się ze świadomych rozważań do wypaczonego świata snów, jak samochód zmieniający biegi. Nawet we śnie sądził, że nie śpi, w tym śnie popełniał jedno samobójstwo za drugim: podpałał się, spuszczał na siebie kowadło, wieształ się, odkręcał gaz, strzelał do siebie, wyskakiwał z okna, wyskakiwał przed rozpędzony autobus, tykał pigułki, pił wybielacz vanish, wkładał do ust dezodorant i rozpylał go tak długo, aż głowa rozdymała się mu jak balon, popełniał harakiri, kłęcząc przy konfesjonale i spowiadając się z samobójstwa ogłupiałemu młodemu księdzu, spowiadał się jeszcze wtedy, gdy wnętrzności wysunęły mu się z brzucha i rozpostarły na ławce jak gulasz, wyznawał skruczę zamierającym, rozbawionym głosem leżąc we własnej krwi i dymiących kiełbaskach jelit. Ale najwyraźniej, bez końca, widział siebie za kierownicą LTD z włączonym silnikiem w zamkniętym garażu, oddychającego pełną piersią i przeglądającego „National Geographic”. Przyglądał się zdjęciom życia codziennego na Tahiti i w Auckland oraz fotoreportażowi z obchodów Mardi Gras w Nowym Orleanie, odwracał strony, odwracał je coraz wolniej, aż warkot silnika rozpląnął się w słodki pomruk, a zielone wody południowego Pacyfiku ogarnęły go falującym ciepłem i zabrały w dół, ku srebrnej zjawie.

19 GRUDNIA 1973

Kiedy się obudził i wygrzebał z łóżka, zegar pokazywał wpół do pierwszej po południu. Głowa mu pękała jak od gigantycznego kaca. Pęcherz też omal mu nie pękł. W ustach czuł smak starego kaptcia. Przy

każdym kroku w głowie odzywał mu się bęben. Nie został mu dany nawet luksus łudzenia się (choćby przez najkrótszą chwilę), że wszystko to mu się przyśniło, ponieważ odór benzyny wżarł mu się w ciało i parował z jego ubrań w całej gamie zapachów. Śnieg już nie padał, niebo się wypogodziło, a blask słońca porażał zmęczone oczy.

Poszedł do łazienki, usiadł na sedesie, a z jego ciała wytrysnęły kaskady kału, jak pospieszny pociąg przewalający się przez opustoszałą stację. Odchody wpadały do wody w mdlących seriach chlupotów i plusków; jęknął i chwycił się za głowę. Oddał mocz, nie wstając; gęsty i odrażający smród niesympatycznych produktów końcowych jego układu trawienego otoczył go ciężką chmurą.

Spuścił wodę i zszedł na dół na nogach jak z waty, po drodze zabierając czyste ubranie. Z prysznicem musiał zaczekać, aż ten potworny smród opuści łazienkę, być może aż do wieczora.

Łyknął trzy tabletki przeciwbólowe z zielonej buteleczki na półce nad kuchennym zlewem, popił je dwoma wielkimi łykami środka przeciwko wrzodom żołądka. Nastawił wodę na kawę i rozbił ulubiony kubek, zdejmując go z haka odrętwiałymi palcami. Posprzątał skorupy, wyjął następny kubek, wsypał do niego kawę w proszku Maxwell House, a potem poszedł do jadalni.

Włączył radio i przeleciał po stacjach, szukając dziennika, który, tak jak policja, nigdy się nie pojawiał, kiedy był naprawdę potrzebny. Muzyka. Raporty z giełdy zbożowej. Reklama kremu czekoladowego. Talk-show. Paul Harvey zachwala polisy ubezpieczeniowe. Znowu muzyka. Brak wiadomości.

Woda zaczęła się gotować. Nastawił radio na jakąś popową stację, postawił kubek kawy na stole i usiadł nad nim. Wypił ją bez cukru. Po pierwszych dwóch łykach zebrało mu się na wymioty, ale później było lepiej.

Rozpoczął się dziennik, najpierw wiadomości z kraju, potem lokalne.

Wiadomości z miasta: dziś we wczesnych godzinach porannych wybuchł pożar na miejscu budowy autostrady 784 w okolicach Grand Street. Porucznik policji Henry King twierdzi, że wandyli posłużyli się bombami zapalającymi, którymi podpalili dźwig, dwa walce, dwa buldożery, furgonetkę oraz polowe biuro Lane Construction, które uległo zupełnemu zniszczeniu.

Przy ostatnich słowach gardło ścisnęło się mu od ekstazy, gorzkiej i mrocznej jak smak niesłodzonej kawy.

Jak twierdzi Francis Lane, którego firma wygrała przetarg na rozbudowę autostrady 784, walce i buldożery nie odniosły poważniejszych szkód, ale dźwig, wyceniony na 60 000 dolarów, będzie niezdolny do pracy przez blisko dwa tygodnie.

Dwa tygodnie? Tylko?

Pan Lane utrzymuje, że znacznie poważniejsze skutki ma zniszczenie połowego biura, w którym znajdowały się plany budowy, dokumentacja oraz dziewięćdziesiąt procent rozliczeń firmy za ostatnie trzy miesiące. „Sam diabeł się w tym teraz nie połapie - powiedział pan Lane. -W związku z tym możemy się spóźnić co najmniej miesiąc”.

Może to jednak dobre wieści. Może było warto - dla tego dodatkowego miesiąca.

Porucznik King twierdzi, że wandale uciekli z budowy samochodem kombi, prawdopodobnie nowym modelem chevroleta. Wszyscy, którzy widzieli taki samochód opuszczający budowę przy Heron Street, proszeni są o powiadomienie policji. Francis Lane ocenia szkody na 100 000 dolarów.

Posłanka Muriel Reston znów wypowiedziała się przeciwko...

Wyłączył radio.

W świetle dziennym i po tym, co usłyszał, sytuacja wydała mu się nieco lepsza. Mógł spojrzeć na sprawę racjonalnie. Oczywiście policja nie musi zdradzać wszystkiego, co wie, ale jeśli naprawdę szukają chevroleta, a nie forda i jeśli są zmuszeni szukać naocznych świadków, może jednak nic mu nie grozi, przynajmniej przez jakiś czas. A jeśli znajdzie się jakiś świadek, to on i tak tego nie zmieni, choćby nie wiadomo jak się zamartwiał.

Powinien wyrzucić wiadro i otworzyć garaż, żeby wywietrzyć smród benzyny. Wymyślić jakąś bajeczkę na uzasadnienie tej dziury w szybie, gdyby ktoś go o nią spytał. I najważniejsze, musi się przygotować na spotkanie z policją. To całkowicie logiczne, że się nim zainteresują - jest ostatnim mieszkańcem Crestallen Street West. I nie będą musieli długo szukać, żeby odgadnąć, że w jego życiu nie dzieje się najlepiej. Za-

walił kupno siedziby w Waterford. Opuściła go żona. Były współpracownik dał mu w oko w sklepie. I oczywiście, jeździ samochodem kombi, co z tego, że nie chevroletem. Podejrzane. Ale to jeszcze nie dowód.

A jeśli jednak znajdą dowody, pewnie go zamkną. Ale więzienie nie jest jeszcze najgorsze. To nie koniec świata. Dadzą mu pracę i jedzenie. Nie będzie się musiał martwić, co się stanie, kiedy skończą mu się pieniądze z polisy. Tak, są gorsze rzeczy niż więzienie. Na przykład samobójstwo. Samobójstwo z całą pewnością jest gorsze. Poszedł na górę i wziął prysznic.

Po południu zadzwonił do Mary. Odebrała jej matka; poszła po Mary z pogardliwym parsknięciem. Ale kiedy w słuchawce odezwał się głos samej Mary, brzmiał prawie wesoło.

- Cześć, Bart. Wesołych Świąt. Co tam?
- A... mam parę prezentów... drobiazgi... dla ciebie, siostrzeńców i siostrzenic. Może się gdzieś spotkamy? Oddam ci je. Nie umiem pakować prezentów dla dzieci...

- Chętnie je zapakuję, lecz nie powinienes... Nie masz pracy.

- Ale nad tym pracuję.

- Bart, czy... czy zrobiłeś to, o czym rozmawialiśmy?

- Chodzi o psychiatrę?

-Tak.

- Dzwoniłem do dwóch. Jeden ma zajęte wszystkie terminy aż do czerwca. Drugi będzie na wyspach Bahama aż do końca marca. Wtedy może mnie przyjąć.

- Jak się nazywają?

- Nazywają? Rany, kochanie, musiałbym znowu zajrzeć do książki telefonicznej. Ten pierwszy gość nazywa się chyba Adams. Nicholas Adams...

- Bart - przerwała mu ze smutkiem.

- A może Aarons - dodał dziko.

- Bart - powtórzyła.

- Dobrze, myśl, co chcesz. Jak zawsze.

- Bart, gdybyś tylko...

- Co z tymi prezentami? Zadzwoniłem w sprawie prezentów, nie cholernego psychiatry.

Westchnęła.

- Przywieź je w piątek, dobrze? Mogę...

- Co, żeby twoi rodzice wynajęli Charlesa Mansona, który wyjdzie mi na spotkanie? Spotkajmy się na gruncie neutralnym, co?

- Ich tu nie będzie. Spędzą święta u Joanny.

Joanna to Joanna St. Claire, mieszkająca w Minnesocie kuzynka Jean Calloway. W młodości były przyjaciółkami (w tym okresie przyjemnego bezwładu między wojną w 1812 roku a nadejściem konfederatów, jak mu się czasami wydawało). W czerwcu miała wylew. Ciągłe usiłowała się z niego wygrzebać; Jean powiedziała, że lekarze twierdzą, iż w każdej chwili może odejść. To musi być miłą pomyślą, chodzenie z bombą zegarową w głowie. Hej, bombo, czy to dzisiaj? Proszę, niech to nie będzie dziś. Nie skończyłam nowego romansu Virginii Holt.

- Bart? Jesteś tam?

- Tak. Zagapiłem się.

- Może być o pierwszej?

- Jasne.

- Zdarzyło się coś jeszcze?

- Nie. Skąd.

- Więc...

- Uważaj na siebie, Mary.

- Dobrze. Cześć.

- Cześć.

Odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie drinka. Kobieta, z którą rozmawiał przez telefon, nie była tą samą kobietą, która niespełna miesiąc temu siedziała we łzach na kanapie, błagając, by jej wyjaśnił, skąd wzięła się ta powódź, która przetoczyła się z godnością przez jej uporządkowane życie, niszcząc dorobek dwudziestu lat i zostawiając tylko parę patyków w bagnistych kałużach. Przedziwne. Pokręcił głową tak, jakby się dowiedział, że Jezus stąpił z nieba i zabrał Richarda Nixona do raju. Mary doszła do siebie. *Co* więcej: stała się osobą, której prawie nie znał, dziewczyną - kobietą, której prawie nie pamiętał. Wykopała tę osobę jak archeolog, a ta osoba była może nieco zeszywniała od długiego zapomnienia, ale nadal doskonale nadawała się do użytku. Zeszywnienie minie i ta nowa - dawna osoba okaże się pełnowartościową kobietą, może trochę pokaleczoną, ale niemającą żadnych poważnych obrażeń. Znał ją chyba lepiej, niż jej się wydawało, i odgadł po samym brzmieniu jej głosu, że przekonała się do rozwodu, do myśli o odcięciu się od przeszłości... O czystym cięciu, które zagoi się bez śladu. Miała trzydzieści osiem lat. Połowę życia przed sobą. Żadne dzieci nie staną się niewinnymi ofiarami katastrofy tego małżeństwa. On nie zaproponuje rozwodu, ale nie będzie się sprzeciwiać, jeśli Mary go zechce. Zazdrościł jej nowej postaci i nowej uro-

dy. A jeśli te dziesięć lat małżeństwa wydają się jej długim ciemnym korytarzem prowadzącym w stronę światła, mógł jej współczuć, lecz nie mógł mieć jej tego za złe. Nie, naprawdę nie mógł.

21 GRUDNIA 1973

Dał jej prezenty w salonie Jean Calloway, pełnego tykania i złoconych brązów. Ich rozmowa była niezręczna i utykała. Nigdy nie był z nią w tym pokoju i miał wrażenie, że powinni zacząć się nieśmiało całować. Dziwne drżenie kolan sprawiło, że poczuł się jak kiepska kopia samego siebie z czasów college'u.

- Rozjaśniłaś włosy? - spytał.
- Troszkę. - Lekko wzruszyła ramionami.
- Ładnie. Wyglądasz młodziej.
- A tobie siwieją skronie. Wyglądasz dystygowanie.
- Akurat. Wyglądam podle.

Roześmiała się - trochę zbyt piskliwie - i spojrzała na prezenty na małym stoliku. Broszka sowa była zapakowana, zabawki i szachy zostały dla niej. Lalki patrzyły martwo w sufit, czekając, aż ożywią je dłonie małych dziewczynek.

Spojrzał na Mary. Przez chwilę patrzyli sobie poważnie w oczy; wydawało mu się, że zaraz wyrwą się jej jakieś nieodwołalne słowa, i się przeraził. Ale z zegara wyskoczyła kukielka, obwieściła wpeł do pierwszej, a oni podskoczyli i się roześmieli. Chwila minęła. Wstał, żeby znowu nie wróciła. Uratowany przez kukielkę, pomyślał. Nawet pasuje.

- Muszę iść - powiedział.
- Spotkanie?
- W sprawie pracy.
- Naprawdę? - Chyba się ucieszyła. - Gdzie? Kto? Za ile?

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Jest jeszcze z dziesięciu innych kandydatów. Mają tyle samo szans co ja. Powiem ci, jak się uda.

- Zgoda.
- Świetnie.

- Bart, co robisz w Święta? - Patrzyła na niego z troską i powagą; nagle uświadomił sobie, że usiłowała z siebie wydusić zaproszenie na świąteczną kolację, nie do sądu. Boże! Omal nie parsknął śmiechem.

- Zjem coś w domu.
- Możesz przyjść tutaj. Będziemy tylko we dwoje.
- Nie - powiedział w zamyśleniu, a potem już z większym zdecydowaniem. - Nie. Podczas Świąt emocje lubią się wymykać spod kontroli. Innym razem.

Pokiwała głową, także w zadumie.

- Będziesz sama? - spytał.

- Mogę iść do Boba i Janet. Naprawdę nie chcesz?

- Nie chcę.

- Cóż... - Ale wyglądała, jakby jej ulżyło. Podeszli do drzwi i wymienili bezkrwawy pocałunek.

- Zadzwoń - powiedział.

- Koniecznie.

- I pozdrów ode mnie Bobby'ego.

- Dobrze.

Był już w połowie drogi do samochodu, kiedy zawołała:

- Bart! Bart, zaczekaj!

Odwrócił się niemal z obawą.

- Omal nie zapomniałam! Dzwonił Wally Hamner, zaprosił nas na noworoczne przyjęcie u siebie! Zgodziłam się w twoim imieniu. Ale jeśli nie masz ochoty...

- Wally? - Zmarszczył brwi. Walter Hamner był ich jedynym znajomym z innej dzielnicy. Pracował dla lokalnej agencji reklamowej. - Wie, że jesteśmy... no, w separacji?

- Wie, ale przecież go znasz. Takie drobiazgi go nie zniechęcają.

Rzeczywiście tak było. Uśmiechnął się na samą myśl o Walterze. Zawsze się odgrażał, że rzuci reklamę na rzecz projektowania nowoczesnych domów? Autor obscenicznych limeryków i jeszcze bardziej obscenicznych parodii popularnych piosenek. Dwukrotnie rozwiedziony, za każdym razem poważnie pokiereszowany. Stał się impotentem, jeśli wierzyć plotkom, ale w jego przypadku chyba mówiły prawdę. Ile czasu minęło od ich ostatniego spotkania? Cztery miesiące? Pół roku? Za długo.

- Może być fajnie - powiedział, a potem uderzyła go pewna myśl.

Mary przyjrzała mu się bystro, jak za dawnych czasów, i dodała szybko:

- Nie spotkasz nikogo z pralni.

- Wally zna Steve'a Ordnera.

- Ach tak, zna. - Wzruszyła ramionami, by pokazać, jak nieprawdopodobna wydaje się jej obecność Ordnera na przyjęciu. Ruch ramion

przeszedł w lekki dreszcz. Temperatura wahała się w okolicach minus czterech stopni.

- Ej, wejdź do domu - powiedział. - Zamarznieiesz, głuptasie.
- Chcesz tam pójść?
- Nie wiem. Muszę się zastanowić. - Pocałował ją znówu, tym razem trochę mocniej, a ona oddała pocałunek. W takich chwilach czuł, że mógłby pocałować tego, co zrobił - ale żał był odległy, kliniczny.
- Wesołych Świąt, Bart - powiedziała. Zauważył jej łzy.
- Za rok będzie lepiej - odparł. Banał, kojący, lecz kompletnie bez znaczenia. - Schowaj się, bo dostaniesz zapalenia płuc.

Weszła do domu, a on odjechał, nadal myśląc o przyjęciu u Walley'ego Hamnera. Mógłby się na nim pojawić.

24 GRUDNIA 1973

Znalazł w Norton mały warsztat, w którym za dziewięćdziesiąt dolarów mieli mu wymienić zbitą szybę. Spytał mechanika, czy będzie pracować w Wigilię, a ten odparł:

- Tak, cholera, biorę wszystko, jak leci.

Po drodze wstąpił do samoobsługowej pralni i zapakował swoje rzeczy do dwóch pralek. Odruchowo poruszył bębniami, żeby sprawdzić, w jakim stanie są sprężyny, i ostrożnie rozdzielił ubrania, żeby pralka mogła je odwirować, nie przeciążając silnika. Znieruchomiał z lekkim uśmiechem. Można wyrzucić chłopca z pralni, ale nie można wyrzucić pralni z chłopca. Nie, Fred? Fred? A, pieprz się.

- Ale dziura - powiedział mechanik, patrząc na szybę z pajęczyną pęknięć.
- Smarkacz rzucił śnieżkę - wyjaśnił. - Z kamieniem w środku.
- Aha. Faktycznie.

Kiedy szyba była już wstawiona, pojechał znów do samoobsługowej pralni, włożył ubranie do suszarki, nastawił ją na średnią moc i wrzucił do szczeliny trzydzieści centów. Usiadł i wziął czyjaś porzuconą gazetę. Jediną klientką pralni była zmęczona młoda kobieta w okularach w drucianej oprawce i z jasnym pasemkami w długich, rudawobrazowych włosach. Była z dziewczynką, która strasznie kaprysiła.

- Chcę butelkę!
 - Rachel, do diabła...
 - Butelkę!!!
 - Tatuś da ci lanie - zapowiedziała ponuro młoda kobieta. -1 nie dostaniesz cukierka.
 - BUTEEEEELKĘĘĘ!
- Dlaczego taka młoda dziewczyna zrobiła sobie pasemka, zastanowił się i zaczął czytać. Na pierwszej stronie widniało:

TŁUM W BETLEJEM
ŚWIĘTA ZGROZA WŚRÓD PIELGRZYMÓW

Na dole pierwszej strony znajdował się krótki artykuł, który przykuł jego wzrok. Przeczytał go dokładnie.

WINTERBURGER TWIERDZI, ŻE NIE BĘDZIE
TOLERANCJI DLA AKTÓW WANDALIZMU

(lokalne) Yictor Winterburger, kandydat partii demokratycznej na miejsce niezującego Donalda P Naisha, który w zeszłym miesiącu zginął w katastrofie samochodowej, oznajmił wczoraj, że akty wandalizmu w rodzaju pożaru przy trasie 784, który w zeszłą środę spowodował straty rzędu setek tysięcy dolarów, nie mogą być tolerowane „w cywilizowanym amerykańskim mieście”. Winterburger przemawiał na przyjęciu American Legion i został nagrodzony brawami na stojąco.

„Widzieliśmy, co się dzieje w innych miastach - powiedział. - Oszpicone autobusy, wagony metra i budynki w Nowym Jorku, wybite okna i bezsensowne zniszczenia w szkołach Detroit i San Francisco, dewastacja publicznych budynków, muzeów, galerii. Nie wolno nam pozwolić, by największy kraj świata został opanowany przez Hunów i barbarzyńców”.

Na miejsce budowy przy Grand Street, na której terenie zauważono wiele pożarów i wybuchów, wezwano policję.

ciąg dalszy na str. 2.

Złożył gazetę i rzucił ją na inne postrzępione magazyny. Pralka mruczała jednostajnie i cicho. Hunowie. Barbarzyńcy. To oni byli Hunami. Grabieżcami, łupieżcami, drapieżcami, to oni wyrzucali ludzi z domów, niszczyli je tak, jak dziecko niszczy kopniakiem mrowisko...

Młoda kobieta wywlokła z pralni córkę, nadal ryczącą o butelkę. Zamknął oczy i zapadł w drzemkę, czekając, aż suszarka przestanie pracować. Po paru minutach ocknął się gwałtownie - wydawało mu się, że

słyszysz syrenę straży pożarnej, ale to był tylko Święty Mikołaj z Armii Zbawienia, który zajął pozycję przed pralnią i stał, potrząsając dzwonkiem. Wychodząc z pralni z koszykiem ubrań, rzucił do puszek Mikołaja resztę, która mu została.

- Bóg zapłać - powiedział Święty Mikołaj.

25 GRUDNIA 1973

Telefon obudził go koło dziesiątej rano. Namacał na oślepie słuchawkę na nocnym stoliku, przycisnął ją do ucha, a telefonistka z centrali wdarta się w jego sen rześkim pytaniem:

- Przyjmie pan rozmowę na koszt odbiorcy od OHvii Brenner? Nie oprzytomniał od razu i zdobył się tylko na:

- Co? Kto? Spałem...

Daleki, jakby mu znany głos powiedział: „A, do diabła” i wtedy już wiedział.

- Tak - odparł. - Przyjmę. - Czy Olivia odłoży słuchawkę? Podparł się na łokciu. - Olivia? To ty?

- Proszę mówić - przekrzyczyła go telefonistka, która chyba musiała dokończyć swoją litanię.

- OHvio, jesteś tam?

- Jestem. - Głos chrypiał i brzmiał, jakby dobiegał z Księżycą.

- Cieszę się, że dzwonicz.

- Nie sądziłam, że przyjmiesz rozmowę.

- Wyrwałaś mnie ze snu. Dojechałaś? Do Las Vegas?

- Tak - powiedziała martwo. Słowo zabrzmiało dziwnie tępo i brutalnie, jak deska spadająca na cementową podłogę.

- Więc jak ci tam jest? Jak sobie radzisz?

Jej westchnienie było tak gorzkie, że równie dobrze mogło być suchym szlochem.

- Nie za dobrze.

-Nie?

- Drugiego... nie, trzeciego wieczora poznałam faceta. Poszliśmy na imprezę i taaaak się narabiałam...

- Prochy? - spytał ostrożnie, świadom, że rozmowa jest międzymiastowa, a rząd ma uszy wszędzie.

- Prochy? - powtórzyła z rozdrażnieniem. - No pewnie, że tak. Jakieś gówno, pewnie amfa... chyba mnie zgwałcił.

Ostatnie słowo zabrzmiało tak cicho, że musiał spytać: -

Co?

- Zgwałcił! - ryknęła, aż w słuchawce zatrzeszczało. - Tak się to nazywa, kiedy jakiś głupi palant, jakiś niedzielny hipis cię posuwa, a twój mózg jest gdzieś daleko, spływa ze ściany! Gwałt, wiesz, co to takiego?

- Wiem.

- Gównu tam wiesz.

- Potrzebujesz pieniędzy?

- Dlaczego pytasz? Nie mogę ci dać przez telefon. Nie mogę ci nawet obciągnąć.

- Mam pieniądze. Mogę ci przysłać. To wszystko. Dlatego pytam.

- Instynktownie zaczął mówić nie kojąco, lecz cicho, żeby musiała wyhamować i wytężyć słuch.

- Jasne, jasne.

- Masz jakiś adres?

- Poste restante, to mój adres.

- Nie masz mieszkania?

- Mam, razem z drugą smętną idiotką. Wszystkie skrzynki pocztowe są wybebeszone. Nieważne. Zatrzymaj te pieniądze. Mam robotę. Pieprzyć, chyba to rzucę i wrócę do domu. Wesolych Świąt, Olivio.

- Co to za robota?

- Roznoszę hamburgery w jednej dziurze. Mają w korytarzu automaty, ludzie grają na nich i jedzą hamburgery przez całą noc, uwierzysz? Ostatnim obowiązkiem przed skończeniem zmiany jest wytarcie uchwyty. Całe w musztardzie, majonezie i keczupie. Szkoda, że nie wiesz, kto tu przychodzi. Same grubasy. Albo opaleni, albo spaleni. I jeśli nie chcą cię przelecieć, to jesteś dla nich częścią umeblowania. Miałam propozycje od obu płci. Dzięki Bogu, moja koleżanka z pokoju jest mniej więcej tak zainteresowana seksem jak krzak jałowca. I... Boże, dlaczego ja ci o tym opowiadam? Nawet nie wiem, po co do ciebie dzwonię. Chcę się stąd wyrwać pod koniec tygodnia, kiedy mi zapłata.

Usłyszał własny głos:

- Wytrzymaj miesiąc.

- Co?!

- Nie tchórz. Jeśli teraz wyjedziesz, zawsze będziesz się zastanawiać, po co tam pojechałaś.

- Byłeś w szkole sportowcem czy co? Pewnie tak.

- Nie pozwolili mi nawet podawać wody sportowcom.

- Więc nie wiesz, jak to jest, co?

- Zastanawiam się nad samobójstwem.
- Nawet nie... co powiedziałaś?
- Zastanawiam się nad samobójstwem - powtórzył spokojnie. Nie myślał już o rozmowach międzymiastowych i ludziach, którzy mogą je podsłuchiwać dla samej radochy - telefonistki, Biały Dom, CIA, biurowy federalne. - Próbuję robić różne rzeczy, ale się nie udaje. To dlatego, że jestem na nie trochę za stary, tak sądzę. Parę lat temu coś się popsuło, a ja wiedziałem, że jest źle, lecz nie wiedziałem, że to będzie miało na mnie wpływ. Myślałem, że po prostu się zdarzyło, i chciałem o tym zapomnieć. Ale wszystko się we mnie zapada. Mam już tego dość. Próbuję robić różne rzeczy.
- Masz raka? - szepnęła.
- Chyba tak.
- Musisz iść do szpitala, zacząć...
- Raka duszy.
- Odwaliło ci.
- Być może. To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, wszystko już przesądzone i sprawy potoczą się tak, jak będą chciały. Martwi mnie tylko jedno, mianowicie poczucie, które mnie czasem nachodzi - że jestem postacią z książki jakiegoś grafomana, który już postanowił, jak i kiedy potoczą się sprawy. Łatwiej mi tak myśleć, to nawet łatwiejsze niż zrzucanie winy na Boga - co mi On kiedyś zrobił, dobrego czy złego? Nie, to ten grafoman, to jego wina. Wyeliminował mi syna, wpisując w niego raka mózgu. To był rozdział pierwszy. Samobójstwo czy nie, wydarzy się tuż przed epilogiem. To głupia książka.
- Słuchaj - powiedziała z niepokojem. - Może w twoim mieście jest jakiś telefon zaufania, może powinieneś...
- Nie mogą nic dla mnie zrobić, ale to bez znaczenia. Chcę ci pomóc. Rozejrzyj się, na Boga, zanim stchórzysz. Rzuć te prochy, przecież powiedziałaś, że je rzucisz. Następnym razem, kiedy przejrysz na oczy, będziesz miała czterdzieści lat i prawie wszystkie możliwości za sobą.
- Nie, nie mogę się zgodzić. Może gdzie indziej...
- Wszędzie jest tak samo, dopóki ty się nie zmienisz. Nie ma na świecie takiego magicznego miejsca, które cię odmieni. Jeśli czujesz się jak śmieć, to wszystko wygląda jak śmieć. Wierz mi, znam to. We wszystkich gazetach, na każdym znaku widnieje jedno: tak, Georgie, masz rację, naciśnij spust.
- Słuchaj...

- Nie, nie, to ty słuchaj. Nastaw uszu. Starzenie się jest jak jazda przez śnieg, który robi się coraz głębszy. Kiedy wreszcie dosięgnie błotników, koła zaczynają się obracać w miejscu. I to jest życie. Nie przyjadą żadne pługi, żeby cię wyciągnąć. Twój statek nie przyplynie, dziewczyno. Nie będzie szalup ratunkowych. Nigdy nie wygrasz. Kamera nie będzie za tobą chodzić, ludzie nie będą się przyglądać twojej walce. To wszystko. Nic więcej.

- Nawet nie wiesz, jak tu jest! - krzyknęła.

- Nie, ale wiem, jak jest tutaj.

- Nie masz władzy nad moim życiem.

- Przyślę ci pięćset dolarów. OHvia Brenner, poste restante, Las Vegas.

- Już mnie tam nie będzie. Odeślą ci je.

- Nie odeślą, bo nie podam adresu zwrotnego.

- Więc je wyrzuc.

- Wykorzystaj je, żeby znaleźć lepszą pracę.

-Nie.

- Więc wykorzystaj je jako papier toaletowy - warknęła i odłożyła słuchawkę. Ręce mu się trzęsły.

Pięć minut później telefon znowu się rozdzwonił.

- Czy przyjmie pan... - zaczęła telefonistka.

- Nie - przerwał i rzucił słuchawkę.

Tego dnia telefon zadzwonił jeszcze dwa razy, ale to już nie była Olivia.

Koło drugiej po południu Mary zadzwoniła do niego od Boba i Janet Prestonów - Bob i Janet zawsze przypominali mu, czy mu się to podobało, czy nie, Barneya i Wilnę Flinstone'ów. Jak się miewa? Dobrze. Kłamstwo. Co zje na kolację? Wyjdzie do „Old Customhouse” na in-dyka z dodatkami. Kłamstwo. Czy nie zechciałby raczej przyjść do nich? Janet ma mnóstwo jedzenia i chętnie by się części pozbyła. Nie, tak naprawdę nie jest głodny. Prawda. Był na lekkim cyku i poddając się nastrojowi chwili, powiedział, że przyjdzie na przyjęcie u Waltera. Była zadowolona. Czy wie, że trzeba przyjść z własnym alkoholem? Czy Wally Hamner kiedykolwiek wyprawił przyjęcie, na które nie trzeba było przyjść z własnym alkoholem? - spytał, na co się roześmiała. Zakończyli rozmowę. Usiadł przed telewizorem z drinkiem w dłoni.

Telefon zadzwonił ponownie koło wpół do ósmej i tym razem nie zastał go na lekkim cyku - zastał go na ciężkiej bani.

-Lo?

- Dawes?

- Tu Dozz, chtoaam?

- Magliore, Dawes. Sal Magliore.

Zamrugał oczami, zajął do szklanki. Spojrzał na kolorowy telewizor, w którym leciał film „Home for the Holidays”. Chodziło o rodzinę, która zebrała się w Wigilię w domu umierającego ojca rodu i ktoś ich mordował jedno po drugim. Szalenie świąteczny temat.

- Pan Magliore - powiedział bardzo wyraźnie. - Wesołych Świąt! I wszystkiego najlepszego w nowym roku!

- E, gdybyś tylko wiedział, jak się boję tego siedemdziesiątego czwartego - odparł smętnie Magliore. - To rok, w którym władzę nad krajem przejmą naftowi giganci. Wspomnisz te słowa. Spójrz do mojej księgi rachunkowej, jeśli nie wierzysz. Wczoraj sprzedałem chevy impalę z 1971 roku, samochód jest czysty jak łąka, a poszedł za tysiąc dolców. Tysiąc! Uwierzysz? Czterdzieści cztery procent spadku w stosunku do poprzedniego roku. Za to vega rocznik '71 idzie jak woda. A wiesz, co to jest?

- Mały samochód? - spytał ostrożnie.

- To jest, kurna, mydelniczka! Pudełko zapalek na kółkach! Wystarczy na nie spojrzeć krzywym okiem albo powiedzieć „abrakadabra”, a nawalają im silniki, pękają linki hamulcowe i psuje się układ kierowniczy. Pinto, vega, gremlin to wszystko to samo, samochody dla samobójców. Dlatego sprzedają je najszybciej jak można, ale nie mogą upłynić cholernego chevy impali, dopóki nie oddam go praktycznie za darmo. A ty mi życzysz szczęśliwego nowego roku. Jezusie, Mario, Józefie Święty!

- To minie.

- Zresztą nie dzwonię w tej sprawie. Zadzwoiłem, żeby ci pogratulować.

- Pooochraulować? - zdumiał się szczerze.

- No wiesz. Trzask-trzask, bum-bum.

- A, to znaczy...

- Pssst. Nie przez telefon. Spokojnie, Dawes.

- Jasne. Trzask-trzask, bum-bum. To dobre. - Zachichotał.

- To ty, co?

- Tobie bym nie powiedział nawet, jak mam na drugie imię. Magliore ryknął śmiechem.

- A to dobre. Ty jesteś dobry, Dawes. Świrus z ciebie, ale inteligentny. Podziwiam cię.

- Dzięki - mruknął i inteligentnie wychłął resztę drinka.
- Chcę ci także powiedzieć, że tam wszystko odbywa się zgodnie z planem. Jak w zegarku.

-Co?

Szklanka wysliznęła się mu z palców i potoczyła się po dywanie.

- Mają po dwie sztuki tych maszyn. Przeważnie nawet po trzy. Płacą gotówką, dopóki nie odtworzą ksiąg rachunkowych, ale wszystko idzie zgodnie z planem.

- Oszalałeś.

- Nie. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Mówiłem ci. Niektórych rzeczy nie można się pozbyć.

- Kłamiesz, ty draniu. Dlaczego dzwonisz do ludzi w Boże Narodzenie i opowiadasz kłamstwa?

- Nie kłamię. Teraz twój ruch, Dawes. W tej grze zawsze będzie twój ruch.

- Nie wierzę.

- Biedny sukinsyn. - Magliore miał szczerze zmartwiony głos i to właśnie było najgorsze. - Ty też nie będziesz miał szczęśliwego nowego roku.

Odłożył słuchawkę.

Tak oto wyglądało jego Boże Narodzenie.

26 GRUDNIA 1973

W skrzynce pocztowej leżał list od *nich* (zaczął tak nazywać tych bezimiennych ludzi z miasta, zaimek osobowy pisany kursywą, niewyraźnymi, krzywymi literkami jak z plakatu horroru), jakby na potwierdzenie słów Magliorego.

Trzymał go w ręce, spoglądał na sztywną białą urzędową kopertę, a w głowie kłębiły mu się chyba wszystkie znane człowiekowi złe uczucia: rozpacz, nienawiść, strach, lęk, samotność. Omal nie podarł listu na małe kawałeczki i nie wyrzucił go na śnieg przed domem. Potem poczuł, że nie może. Otworzył go, niemal rozdzierając kopertę na pół, i zdał sobie sprawę, że przede wszystkim czuje się oszukany. Zrobiony w bambuko. Wpuszczony w maliny. Zniszczył ich maszyny i dokumenty, a oni przywieźli sobie nowe. To tak, jakby w pojedynkę walczyć z chińską armią.

Teraz twój ruch, Dawes. W tej grze zawsze będzie twój ruch.

Poprzednie listy były odbitkami formularza, wysłanego z departamentu do spraw autostrad: Drogi Przyjacielu, wkrótce przed twoim domem stanie ekipa wyburzająca. Zapraszamy cię do obejrzenia tego ekscytującego wydarzenia, które UPIĘKSZY TWOJE MIASTO!

Tym razem list wysłała rada miasta, która zwracała się osobiście do niego.

*Pan Barton G. Dawes
1241 Crestallen Street West*

20 grudnia 1973 r.

Drogi Panie,

o ile nam wiadomo, jest pan ostatnim mieszkańcem Crestallen Street West, który nie opuścił domu. Mamy nadzieję, że sprawa przeprowadzki nie nastęrcza Panu żadnych problemów. Aczkolwiek dysponujemy w naszych aktach formularzem 19642 - A (powiadomienie o decyzji departamentu do spraw autostrad 6983-426-73-74-HC), nie dostaliśmy jeszcze formularza informującego nas o Pańskiej przeprowadzce (6983-426-73-74-HC-9004, niebieski druk). Jak Panu wiadomo, bez tego formularza nie możemy wypłacić odszkodowania. Zgodnie z wyceną z roku 1973, nieruchomość przy ulicy Crestallen Street West 1241 została oszacowana na 63 500 dolarów. Jesteśmy przekonani, że zdaje Pan sobie sprawę z naglącej sytuacji. Zgodnie z prawem musi się Pan przeprowadzić do 20 stycznia 1974 roku, kiedy ma się rozpocząć wyburzanie zabudowy Crestallen Street West.

Jesteśmy zmuszeni jeszcze raz podkreślić, że zgodnie z Ustawą Państwową o wywłaszczeniu na cele publiczne (Dz. U. 19452~36), pozostając pod obecnym adresem po północy 19 stycznia 1974 roku, dopuści się Pan pogwałcenia prawa. Nie wątpimy, że jest to Panu wiadome, jednak dla wszelkiej pewności powtarzamy to raz jeszcze.

Jeśli ma Pan problemy ze znalezieniem nowego miejsca zamieszkania, proszę do nas zadzwonić w godzinach urzędowania albo złożyć nam wizytę i przedyskutować sytuację. Jestem pewien, że sytuacja da się rozwiązać; w tej kwestii chętnie pomożemy. A na razie czy mogą złożyć Panu życzenia Wesołych Świąt i jak najbardziej owocnego nowego roku?

*Z poważaniem
John T. Gordon
w imieniu Rady Miasta*

JTGItk

- Nie - mruknął. - Nie możesz. Nie.
Podarł list na strzępki i wyrzucił do kosza.

Tej nocy, siedząc przez telewizorem, przyłapał się na rozmyślaniach o tym, jak dowiedzieli się - prawie czterdzieści cztery miesiące temu - że Bóg postanowił wykonać drobne roboty drogowe w mózgu ich syna Charliego.

Doktor nazywał się Younger. Przed jego nazwiskiem na dyplomach wiszących na przytulnej boazerii gabinetu widniały długie szeregi liter, ale jedno wydawało się pewne: że Younger jest neurologiem.

Na jego prośbę on i Mary spotkali się z nim w ciepłe czerwcowe popołudnie, dziewiętnaście dni po tym, jak Charlie znalazł się w szpitalu. Doktor był przystojny, pod czterdziestkę, w dobrej kondycji fizycznej po niezliczonych godzinach gry w golfa bez elektrycznego wózka. Był spalony na brąz. A jego dłonie były fascynujące - wielkie, niezdarne, ale poruszały się po biurku - ujmując pióro, kartkując notes, od niechcienia bawiąc się posrebrzonym przyciskiem do papieru - z subtelną gracją, która wydawała się niemal odrażająca.

- Syn państwa ma guza mózgu - powiedział doktor. Mówił sucho, bez nacisku, lecz jego oczy obserwowały ich uważnie, jakby właśnie uzbroidł emocjonalną bombę.

- Guza - powtórzyła Mary cicho i bez wyrazu.

- Czy to poważne? - spytał on.

Objawy nasilały się od ośmiu miesięcy. Najpierw bóle głowy, początkowo nieregularne, później coraz częstsze. Potem podwójne widzenie, które pojawiało się i znikало, zwłaszcza po wysiłku fizycznym. Wreszcie, najbardziej kłopotliwa dla Charliego, tendencja do moczenia się w nocy. Jednak zaprowadzili go do lekarza rodzinnego dopiero po przerażającej czasowej ślepotcie lewego oka, które powlokło się czerwienią zachodzącego słońca, zakrywającą zdrowy błękit tęczówki. Lekarz rodzinny kazał zrobić badania, a potem pojawiły się następne objawy: wyczuwanie widmowych zapachów pomarańczy i opiółków grafitu, okresowe drętwienie lewej ręki, okresowe ataki mówienia nonsensów i dziecińczych wulgaryzmów.

- Poważne - odparł Younger. - Trzeba się przygotować na najgorsze. Guz jest nieoperacyjny.

Nieoperacyjny.

Słowo powróciło do niego echem po tylu tych latach. Nigdy nie przepuszczał, żeby słowa mogły mieć smak, ale to miało. Smako-

wało czymś wstrętnym, a jednocześnie soczystym, jak zgniły hamburger.

Nieoperacyjny.

Gdzieś, powiedział Younger, głęboko w mózgu Charliego znajduje się zbiór chorych komórek, mniej więcej rozmiarów orzecha włoskiego. Gdyby znalazły się na stole, można by je rozgnieść jednym mocnym uderzeniem. Ale nie ma ich na stole. Siedzą głęboko w mięszu mózgu Charliego i ciągle się rozrastają, wypełniają go, dziwaczne i nieznanne.

Pewnego dnia, niedługo po tym spotkaniu, poszedł do syna podczas przerwy obiadowej. Rozmawiali o baseballu, właściwie dyskutowali, czy będą mogli pojechać na rozgrywki Amerykańskiej Ligi, jeśli miejska drużyna zwycięży.

Charlie powiedział:

- Według mnie ich miotacz mmm mmmmm mmmm miotacz wytrzyma mmm nn mmm miotacz mmmm...

Pochylił się ku niemu.

- Co, Fred? Nie chwytam.

Oczy Charliego przewróciły się dziko.

- Fred? - szepnął George. - Freddy...?

- Przeklęty skurwysyński pierdolony nnnnn kutas! - ryknął jego syn z czystego białego szpitalnego łóżka. - Niedojebany brandzłowany złamany fiut sukinkurwysyn...

- SIOSTRO! - wrzasnął, gdyż Charlie stracił przytomność. - O BOŻE, SIOSTRO!

To były te komórki, rozumiecie państwo, to one mu kazały tak mówić. Mała kulka chorych komórek, nie większa niż, powiedzmy, średniej wielkości włoski orzech. Kiedyś, powiedziała pielęgniarka z nocnej zmiany, Charlie krzyczał ROBÓTKA w kółko przez pięć minut. To te chore komórki, rozumiecie. Nie większe od orzeszka. To one zmuszały jego syna, żeby kłął jak oszalały robotnik, to przez nie siusiał do łóżka, to przez nie bolała go głowa i przez nie pierwszego gorącego tygodnia tamtego lipca stracił władzę w lewej ręce.

- Proszę - powiedział doktor Younger tego słonecznego czerwcowego dnia, jakby stworzonego do gry w golfa. Rozwinął podłużny kawałek papieru, wykres fal mózgowych ich syna. Dla porównania do dał fale zdrowego mózgu, ale nie były potrzebne. Patrzył na to, co się dzieje w mózgu jego syna, i znowu poczuł ten zgniły, lecz soczysty smak. Na papierze widniały nieregularne ostre szczyty i głębokie doliny, jak szereg kiepsko narysowanych sztyletów.

Nieoperacyjny.

A gdyby ten zbiór chorych komórek, nie większych od orzecha, zechciał się utworzyć na zewnętrznych krawędziach mózgu Charliego, wystarczyłaby drobna operacja. I problem z głowy, by tak powiedzieć. A tymczasem komórki wyrosły sobie głęboko w mózgu i z każdym dniem robiły się większe. Jeśli się spróbuje je usunąć - za pomocą skalpela, lasera, kriochirurgii - otrzymamy ładny, zdrowy, oddychający kawał mięsa. Jeśli się ich nie usunie - wkrótce zapakujemy chłopca do trumny.

Doktor Younger wypowiadał się ogólnie, tuszując brak szans kojąca pianką technicznego slangu, która zaraz się rozplynęła. Mary kręciła głową w lekkim oszołomieniu, ale on dokładnie wszystko rozumiał. Jego pierwszą myślą, jasną, precyzyjną, niewybaczalną, było: „Dzięki Ci, Boże, że to nie ja”. I ten dziwny smak powrócił, a on zaczął rozpaczać.

Dziś orzech, jutro świat. Zakrada się Nieznane. Niewiarygodne konanie syna. Co tu jest do rozumienia?

Charlie umarł w październiku. Nie było dramatycznych ostatnich słów. Od trzech tygodni pozostawał w śpiączce.

Westchnął, poszedł do kuchni i zrobił sobie drinka. Mrok nocy napierał jednostajnie na wszystkie okna. Teraz, po odejściu Mary, dom stał się bardzo pusty. A on wszędzie natykał się na odpryski samego siebie - zdjęcia, stare swetry w szafie, para starych kapci pod biurkiem. Niedobrze, bardzo niedobrze, że tak robił.

Nie uronił za Charliem ani jednej łzy. Mary wylała ich wiele. Płakała tygodniami. Nieustannie chodziła z czerwonymi oczami. Ale w końcu to ona wyzdrowiała.

Po Charliem zostały jej blizny, nie da się zaprzeczyć. Na zewnątrz była cała w bliznach. Mary przedtem, Mary potem. Przedtem nie piła, chyba że uważała, iż w ten sposób pomoże mu w karierze. Potrafiła całe wieczorne przyjęcie spędzić przy jednym słabym drinku. Siegała po grzany rum przed snem, kiedy była bardzo zaziębiona. To wszystko. Potem piła z nim koktajle, kiedy wracał do domu z pracy, i zawsze aplikowała sobie drinka przed snem. Nie było to prawdziwe picie, nie takie, po którym się rzyga w łazience, ale większe niż poprzednio. Odrobina ochronnej pianki. Lekarz bez wątplenia doradziłby jej to samo. Przedtem rzadko płakała z powodu drobiazgów. Potem płakała często, zawsze na osobności. Kiedy przypalił się obiad. Kiedy złapała gumę. Kiedy piwnicę zalała woda, kiedy rozwalilo rury w łazience i kiedy zepsuł się piec

centralnego ogrzewania. Przedtem lubiła muzykę country, biały folk i blues, Van Ronka, Gary Davisa, Toma Rusha, Toma Paxtona, Spide-ra Johna Koenera. Potem jej zainteresowania jakby się rozplynęły. Gdzieś w wewnętrznym świecie śpiewała własnego bluesa i własne lamentacje. Przestała mówić o wycieczce do Europy, w którą mieli się wybrać, kiedy on dostanie awans. Przestała chodzić do fryzjera i codziennie siadywała przed telewizorem w walkach na głowie. To nad nią użalali się ich przyjaciele - całkiem słusznie, jak sądził. On chciał się użalać sam nad sobą i robił to, lecz w tajemnicy. Ona potrafiła pragnąć i wykorzystywała to, co zdobyła dzięki swoim pragnieniom; po jakimś czasie to właśnie ją uratowało. To ją uchroniło przed okropnymi rozmyślaniami, które tak często nie dawały mu spokoju na długo po tym, jak drink ukoił ją już do snu. A kiedy ona spała, on rozważał fakt, że maleńki, nie większy od orzeszka zbiór komórek mógł pozbawić życia jego syna i na zawsze ich rozdzielić.

Nie znenawidził jej za to, że wyzdrowiała, ani za szacunek, jakim darzyły ją inne kobiety, jakby to się jej należało. Spoglądały na nią jak młody robotnik szybu naftowego mógłby patrzeć na starego weterana o ręce, plecach lub policzku pokrytym lśniącą różową blizną po oparzeniu - z szacunkiem, jaki czują nietknięci do tych, którzy odnieśli rany, lecz wyzdrowieli. Przez jakiś czas przebywała w piekle i te kobiety o tym wiedziały. Ale teraz z niego wyszła. W jej życiu było Przed, było Piekło, było Po i było też Po-Po, kiedy wróciła do dwóch kółek towarzyskich, znowu zajęła się makramami (rok temu zrobiła mu pasek - piękną sznurkową plecionkę z masywną srebrną klamrą z monogramami BGD), znowu zaczęła oglądać popołudniową telewizję - seriale i Merva Griffina, który gawędził z gwiazdami.

Co będzie teraz, zastanowił się, wracając do salonu. Po-Po-Po? Na to wyglądało. Nowa kobieta, nowa zdrowa kobieta, powstająca z popiołów, które tak brutalnie wzburzył. Stary robotnik z bliznami, mądry jak dawniej, ale wyglądający już inaczej. Powierzchnowe piękno? Nie. Piękno jest w oczach tego, kto patrzy.

W jego przypadku blizny kryły się głęboko. W długie noce po śmierci Charliego badał swoje rany jedna po drugiej, katalogował je z makabryczną fascynacją człowieka przyglądającego się, czy w jego odchodach nie ma śladów krwi. Chciał widzieć, jak Charlie gra w Małej Lidze. Chciał chodzić na wywiady, a potem wrzeszczeć na syna. Chciał mu bez końca powtarzać, żeby posprzątał w pokoju. Chciał się niepokoić z powodu dziewczyn, z którymi będzie się spotykać Charlie, z powodu jego przy-

jaciół, jego osobowości. Chciał zobaczyć, kim stanie się jego syn i czy nadal będą się kochać, tak jak się kochali, dopóki chore komórki nie większe od włoskiego orzecha nie rozdzieliły ich jak jakaś mroczna i drapieżna kobieta.

On był twój, powiedziała Mary.

To prawda. Obaj pasowali do siebie tak dobrze, że imiona stały się bezsensowne, nawet zaimki były jakby obsceniczne. Dlatego stali się George'em i Fredem, parą z wodewilu kontra reszta świata.

A jeśli zbiór chorych komórek, nie większy od włoskiego orzecha, może zniszczyć to wszystko, to wszystko, co jest tak intymne, że nie można tego odpowiednio nazwać - co pozostaje? Jak można komuś powierzyć życie? Czy można je uważać za coś ważniejszego od sobotniej niszczycielskiej imprezy?

Wszystko to nosił w sobie, ale zupełnie nie miał pojęcia, że te myśli zmieniają go tak poważnie, tak nieodwracalnie. A teraz wszystko wyszło na jaw, jak rzygowiny na stoliku, śmierdzące kwasem żołądkowym, pełne niestrawionych gruzłów, a jeśli świat jest tylko niszczycielską imprezą, to czy nie ma się prawa z niej wyjść? Ale co potem? Życie wydawało się przedśmionkiem piekła.

Zorientował się, że wypił drinka w kuchni. Do salonu przyszedł z pustą szklanką.

31 GRUDNIA 1973

Od domu Wally'ego Hamnera dzieliły go tylko dwie przecznice, kiedy sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu miętówek. Miętówek nie było, za to znalazł małą aluminiową paczuszkę, lśniąco słabo w zielonkawym świetle deski rozdzielczej samochodu. Obrzucił ją zdziwionym, roztargnionym spojrzeniem i już miał ją wyrzucić do popielniczki, kiedy sobie przypomniał, co to takiego.

Syntetyczna meskalina, odezwał się w jego głowie głos Olivii. Nazywają to substancją numer cztery. Daje dużego kopa. Całkiem o tym zapomniał.

Włożył pakiecik do kieszeni i skręcił w ulicę Waltera. Po obu jej stronach stały zaparkowane samochody. Cały Walter - nigdy nie zniżyłby się do zwyczajnej imprezy, skoro mógł zorganizować grupowe macaneki. Zasada Przyjemnego Nacisku, tak to nazywał. Twierdził, że kiedyś opatentuje ten pomysł i wyda podręcznik jego stosowania. Jeśli zejdzie

się odpowiednio dużo ludzi, utrzymywał Wally Hamner, są zmuszeni dobrze się bawić - ponieważ wywiera się na nich nacisk. Raz, słysząc, jak Wally prezentuje tę teorię w barze, wspomniał o linczach.

- Właśnie - podchwycił Walter beczelnie. - Bart tylko potwierdził, że mam rację.

Zastanowił się, co robi teraz Oliyia. Nie usiłowała do niego dzwonić, choć gdyby próbowała, pewnie by zmiękł i odebrał telefon. Może została w Vegas na tyle, by odebrać pieniądze, a potem wsiadła w autobus do... dokąd? Do Maine? Czy ktokolwiek mógłby wyjechać z Las Vegas, żeby trafić do Maine w środku zimy? Nie sądził.

Nazywają to substancją numer cztery. Daje dużego kopa.

Stanął przy krawężniku za sportowym czerwonym GTX z czarnym paskiem po bokach. Ostatni dzień roku był pogodny, lecz przenikliwie zimny. Lodowaty plasterek księżycy wisiał na niebie jak papierowa wycinanka. Wokół niego mrugało morze gwiazd. Śluz zamarzył mu w nosie i pękał z trzaskiem przy każdym ruchu nozdrzy. Oddech zmieniał się w białe obłoczki.

Dudnienie basów było słychać już trzy domy dalej. Muzyka na cały regulator. Imprezy u Wally'ego coś w sobie mają, pomyślał, niezależnie od Zasady Przyjemnego Nacisku. Nawet najcięższe przypadki typu My - Tylko - Na - Chwilkę zostawały do późna i chłapy na potęgę, aż w głowie zaczynały im dzwonić srebrne dzwoneczki, które następnego dnia zmieniały się w ołowiane kościelne dzwony. Najwięksi nieprzejednani przeciwnicy rocka w końcu ruszali w tany po salonie przy dźwiękach złotych przebojów, które Wally puszczał, kiedy wszyscy ubzdryngolili się na tyle, by uznać późne lata pięćdziesiąte i wczesne sześćdziesiąte za najlepszy okres swojego życia. Pili i tańczyli, tańczyli i pili, aż do utraty tchu. W kuchniach całowały się poróżnione małżeństwa, wszyscy obmacywali wszystkich, niejedna smętna niedotykalska została porwana do dzikiego tańca, a normalni obywatele budzili się w pierwszym dniu Nowego Roku z makabrycznym kacem i nieprzyjemnie wyrazistymi wspomnieniami o tym, jak to płasali po salonie z abażurem na głowie lub postanowili wreszcie powiedzieć szefowi parę słów prawdy. To wszystko prowokował Wally - nie przez jakieś świadome działanie, lecz samą swoją obecnością... no i dlatego, że sylwester zdarza się tylko raz w roku.

Mimo woli rozejrzał się wśród samochodów w poszukiwaniu butelkowozielonej delty 88 Steve'a Ordnera, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

W pobliżu domu wokół dudnienia basów skryształizowały się pozostałe dźwięki piosenki włącznie z wrzaskiem Micka Jaggera:

*Oooo, dzieci -to tylko
pocałunek, pocałunek,
pocałunek...*

Cały dom lśnił - pieprzyć kryzys energetyczny - oczywiście z wyjątkiem salonu, gdzie podczas wolnych tańców odchodziły pieszczołki na całego. Przez dudnienie muzyki słyszał ze sto głosów, które prowadziły pięćdziesiąt różnych rozmów, jakby wieża Babel rozpadła się ledwie przed sekundą.

Pomyślał, że gdyby to było lato - albo chociaż jesień - o wiele fajniej byłoby stać na dworze i przysłuchiwać się temu cyrkowi, czekać, aż osiągnie punkt kulminacyjny, a potem zacznie się stopniowy zjazd. Naszła go nagła wizja - zaskakująca, przerażająca - samego siebie na trawniku Wally'ego Hamnera, ze zwojem wydruku EEG, pokrytego nieregularnymi szczytami i dolinami fal chorego mózgu: wykres funkcji gigantycznego, zrakowaciałego Mózgu Imprezy. Wzdrygnął się lekko i schował ręce do kieszeni.

Palce prawej dłoni dotknęły foliowej paczuski. Wyjął ją, otworzył ostrożnie, nie zważając na mróz, kłapiąc go w palce tępymi zębami. W środku znajdowała się mała fioletowa pigułka, tak mikroskopijna, że zmieściłaby się na paznokciu małego palca i nie dotknęłaby jego krawędzi. O wiele mniejsza niż, powiedzmy, włoski orzech. Czy coś tak małego może go doprowadzić do szaleństwa, pokazać mu rzeczy, których naprawdę nie ma, zmusić do myślenia w zupełnie inny sposób? Czy, krótko mówiąc, zdoła podrobić objawy śmiertelnej choroby jego syna?

Od niechcenia, jakby z roztargnieniem, włożył pigułkę do ust. Nie miała smaku. Połknął ją.

- Bart! - wrzasnął ktoś. - Bart Dawes!!!

Była to kobieta w czarnej wieczorowej sukni bez ramion i z martini w dłoni. Miała ciemne włosy zaczesane na tę okazję do góry i ozdobione lśniącym sznureczkiem sztucznych brylantów.

Wszedł przez kuchnię pełną ludzi, pękającą od nich w szwach. Było dopiero wpół do dziewiątej; Efekt Odptywu jeszcze się nie ujawnił. Efekt Odptywu stanowił kolejny element teorii Waltera. W miarę rozwoju imprezy, twierdził on, dają się zauważyć migracje w cztery kąty domu.

- Środek nie ma przyciągania - oznajmił Wally, mrugając mądrze oczami. - Tak powiedział T.S. Eliot.

Wally twierdził, że pewnego razu, osiemnaście godzin po zakończeniu imprezy, znalazł na strychu błakającego się faceta.

Kobieta w czarnej sukience pocałowała go ciepło w usta; jej obfite piersi wbiły się w jego tors. Parę kropel martini spadło na podłogę.

- Cześć - powiedział. - Kim jesteś?

- Tina Howard, nie pamiętasz klasowej wycieczki? - Pokiwała mu przed nosem długim, łopatomatym paznokciem. - Oj, nie--
GRZECZNY!

- Tamta Tina? O Boże, faktycznie! - Usta rozciągnął mu uśmiech zaskoczenia. Kolejna niesamowita cecha imprez u Waltera: znajomi z przeszłości wyskakują jak diabeł z pudełka. Twój najlepszy przyjaciel z podwórka sprzed trzydziestu lat; dziewczyna, z którą omal nie poszedłeś do łóżka w college'u, facet, który pracował z tobą przez lato osiemnaście lat temu.

- Tylko teraz nazywam się Tina Howard-Wallace - oznajmiła kobiecie w czarnej sukni. - Gdzie tu jest mój mąż... gdzie tam... - Obejrzała się od niechcienia, rozlała trochę martini, a resztę wypila, żeby go do reszty nie zmarnować. - Czy to nie STRASZNE, chyba go zgubiłam.

Spojrzała na niego ciepło, z zastanowieniem. Prawie nie wierzył, że to właśnie dzięki niej po raz pierwszy poznał dotyk kobiecego ciała na wycieczce ostatniego roku liceum Grover Cleveland, sto dziewięć lat temu. Dotykał jej piersi przez białą bawełnianą bluzeczkę koło, jak on się nazywał...

- Strumień Cottera - powiedział na głos.

Zarumieniła się i zachichotała.

- Więc jednak pamiętasz.

W zupełnie mimowolnym odruchu jego spojrzenie pobiegło ku jej dekolтови; roześmiała się wrzaskliwie. Znowu musiał się uśmiechnąć.

- Czas ucieka szybciej niż...

- Bart! - ryknął Wally Hamner ponad ogólnym gwarem. - Hej, bra cie, ale się cieszę, że przyszedłeś!

Ruszył ku nim przez pokój słynnym Zygzakiem Imprezowym Waltera Hamnera, również czekającym na opatentowanie - chudy facecik, rocznik 1962, prawie zupełnie łysy, w nieskazitelnej koszuli w prążki i okularach z masy rogowej. Wyciągnął rękę; jego uścisk był mocny jak dawniej.

- Widzę, że poznałeś Tinę Wallace - powiedział Wally.

- O nie, my się już znamy - odparł i uśmiechnął się do Tyny z zażenowaniem.

- Nie mów tego mojemu mężowi, ty niegrzeczny. - Tina zachichotała. - Przepraszam na razie. Spotkamy się jeszcze?

- Jasne.

Wzięła kurs na salon i zniknęła za kłębem ludzi wokół stołu pełnego przekąsek i zakąsek. Skinął jej głową i powiedział do Waltera:

- Jak ty ich dobierasz? Z tą dziewczyną po raz pierwszy się pieściłem. To jak „Zerwane więzi”.

Walter wzruszył skromnie ramionami.

- To wszystko element Przyjemnego Nacisku, Barton, mój chłopcze. - Wskazał papierową torbę, którą ścisnął pod pachą. - Co tam masz w tym pakowym papierze?

- Southern comfort. Masz seven up, prawda?

- Mam - powiedział Walter z grymasem. - Naprawdę będziesz pić to świństwo? Zawsze myślałem, że wolisz szkodkę.

- Zawsze po kryjomu piłem southern comfort z seven up. Wyszedłem z ukrycia.

Walter wyszczerzył zęby.

- Mary gdzieś tu jest. Cały czas na ciebie czekała. Weź sobie drinka, pójdziemy do niej.

- Może być.

Ruszył przez kuchnię, witając się z ludźmi, których znał z widzenia i którzy patrzyli na niego tak, jakby go nie kojarzyli, a także z ludźmi, którzy witali się z nim, a których on nie kojarzył. Przez kuchnię snuł się majestatycznie dym papierosowy. Głosy podnosiły się i cichły, jakby ktoś stroił radio, a wszystkie były wesołe i bez znaczenia.

- ...Freddy i Jim nie mieli wykresów, więc

- ...powiedział, że jego matka niedawno zmarła, więc jeśli za dużo wypije, zacznie płakać

- ...i kiedy kazał usunąć farbę, okazało się, że to bardzo piękny mebel, pewnie sprzed wojny secesyjnej

- ...i jego dziewczyna chodzili od domu do domu, sprzedając encyklopedie

- ...straszny kocioł; on nie da jej rozwodu ze względu na dzieci i dlatego, że pije jak

- ...bardzo ładna sukienka

- ...tyle gorzały, że kiedy poszedł zapłacić, obrzygał kelnerkę Koło kuchenki i zlewu stał długi stół pokryty laminatem, już teraz pełen otwartych butelek alkoholu i szklanek o najróżniejszych kształtach i stopniach wypełnienia. Popielniczki kipiały niedopałkami. W zlewie stały dwa kubelki z lodem. Nad kuchenką wisiał wielki plakat, na którym Richard Nixon miał na uszach słuchawki. Biegący od

nich kabel znikał w odbycie stojącego z boku osła. Pod spodem wid-

ŻEBY WAS LEPIEJ SŁYSZEĆ!

Po lewej mężczyzna w dzwonach i z drinkiem w obu rękach (w jednej zwyczajna szklanka pełna czegoś w rodzaju whisky, w drugiej duży kufel piwa) zabawiał grupę słuchaczy dowcipem.

- Więc siada przy barze i widzi, że na krześle obok siedzi małpa. Zamówił piwo, a kiedy barman je przyniósł, pyta go: „Czyja to małpa? Śliczne zwierzątko”. A barman mówi: „A, to małpa pianisty”. Więc facet się odwraca...

Zrobił sobie drinka i rozejrzał się za Walterem, ale ten podszedł do drzwi, żeby przywitać nowych gości, jakąś młodą parę. Mężczyzna był w wielkiej czapce automobilisty, goglach i staroświeckim prochowcu. Na piersi miał napisane:

OSTRA JAZDA BEZ TRZYMANKI

Parę osób ryknęło głośnym śmiechem, Walter prawie się popłakał. - ...a facet podchodzi do pianisty i mówi: „Słyszałeś? Twoja małpa nasikała mi do piwa”. A pianista na to: „Nie, nie słyszałem, ale zaśpiewaj parę taktów, to pociągnę dalej”. - Wybuch wymuszonego śmiechu. Facet w dzwonach pociągnął łyk whisky i popił piwem.

Wziął drinka i ruszył niespiesznie do mrocznego salonu. Prześliznęła się za plecami Tiny Howard-Wallace, zanim go zdołała dostrzec i wciągnąć w długą grę Gdzie Teraz Są. Wyglądała na osobę, która lubi recytować litanię niepowodzeń i potknąć kolegów z klasy - rozwód, rozstrój nerwowy, przestępstwa, oto jej oręż - a także odsądzać od czci i wiary tych, którym się udało.

Ktoś puścił jakiegoś rock and rolla z lat pięćdziesiątych i z piętnaście par tańczyło wesoło i nieumiejętnie. Zauważył Mary z wysokim szczupłym mężczyzną, którego znał, ale nie potrafił umiejscowić. Jack? John? Jason? Pokręcił głową. Nie przypomni sobie. Mary miała na sobie sukienkę, której nie znał, zapinaną z jednej strony. Rozpięta tyle guzików, by utworzyć seksowne rozcięcie nieco ponad kolanem. Czekała na jakieś mocne uczucie, jak zazdrość czy smutek albo chociaż nawykowe pożądanie, ale nic się nie pojawiło. Pociągnął łyk.

Mary odwróciła głowę i zobaczyła go. Podniósł palec w nieobowiązującym geście - nie krępuj się, dokończ taniec - ale przestała tańczyć i podeszła, ciągnąc za sobą partnera.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała głośno, żeby przekrzyczeć śmiech, rozmowy i stereo. - Pamiętasz Dicka Jacksona?

Wyciągnął rękę, a szczupły mężczyzna ją uściśnął.

- Mieszkałeś z żoną na naszej ulicy pięć... nie, siedem lat temu. Tak? Jackson skinął głową.

- Teraz mieszkamy w Willowood.

Domki jednorodzinne, pomyślał. Stał się bardzo wyczulony na geografie miasta i rozmieszczenie zabudowań.

- To fajnie. Nadal pracujesz dla Pielsa?

- Nie, mam własną firmę. Dwie furgonetki. Transport. Słuchaj, jeśli tej twojej pralni przyda się ktoś do przewożenia... chemikaliów czy czegoś innego...

- Nie pracuję już w pralni - powiedział, a Mary skrzywiła się lekko, jakby dotknął starego siniaka.

- Nie? To co teraz robisz?

- Pracuję na własny rachunek - oznajmił i wyszczerzył zęby. - Brałem udział w tym strajku niezależnych przewoźników?

Twarz Jacksona, już dość czerwona od alkoholu, pociemniała jeszcze bardziej.

- Jakbyś zgadł! I osobiście zgasilem gościa, który się wyłamywał. Wiesz, ile chcą te cholerne dranie z Ohio za ropę? 31,9! Przez to moje zyski spadają z dwunastu procent do dziewięciu, jasna cholera. A utrzymanie samochodów zeżre mi nawet te dziewięć procent. Nie wspominając już o tym skurkowym ograniczeniu prędkości...

Jackson zagłębił się w opowieść o niedolach niezależnych przewoźników w tym kraju. Bart słuchał, kiwał głową w odpowiednich miejscach i popijał drinka. Mary przeprosiła ich na chwilę i poszła do kuchni po szklankę ponczu. Mężczyzna w automobilowym płaszczu tańczył komicznie charlestona do numeru Everly Brothers, a wszyscy śmieli się i bili brawo.

Żona Jacksona, piersiasta, muskularna dziewczyna o marchewkowych włosach podeszła do nich i przedstawiła się. Prawie się zataczała. Jej oczy wyglądały jak łebki od szpilek. Uściśnęła mu dłoń, uśmiechnęła się nieprzytomnie i powiedziała do Dicka Jacksona:

- Skarbie, zaraz puszcze pawia. Gdzie tu łazienka?

Jackson wyprowadził ją. Bart przeszedł przez pokój i usiadł w krześle pod ścianą. Dokończył drinka. Mary nie spieszyła się z powrotem. Ktoś pewnie wciągnął ją w rozmowę.

Sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i zapalił. Palił tylko na przyjęciach. Było to prawdziwe zwycięstwo w porównaniu z okre-

sem sprzed paru lat, kiedy należał do onkologicznego klubu Trzy Paczki Dziennie.

Był w połowie papierosa i ciągle patrzył na kuchenne drzwi, czekając na Mary, kiedy przypadkiem zerknął na swoje palce i zauważył, że są interesujące. Interesujące było w nich to, że wskazujący i środkowy palec jego prawej ręki umiały trzymać papierosa, jakby paliły przez całe życie.

Ta myśl była tak zabawna, że musiał się uśmiechnąć.

Przyglądał się swoim palcom przez długą chwilę i nagle poczuł w ustach inny smak. Nie zły, po prostu inny. I chyba zgęstniała mu ślina. A nogi... nogi trochę drżały, jakby chciały przytupywać do taktu muzyki, jakby przytupywanie mogło im sprawić ulgę, uspokoić je i zrobić z nich zwyczajne nogi...

Z lekkim niepokojem zauważył, że jego myśli, z początku tak zwyczajne, ruszyły spiralą w całkiem nowym kierunku, jak człowiek, który zabłądził w wielkim domu i wspina się po kręconych *krrrrryształowych* schodach...

No i znowu, to pewnie ta pigułka, pigułka od Olivii, tak. Czy słowo „kryształ” nie brzmi interesująco? *Krrrryształ*, taki chrupiący, migoczący dźwięk, jak kostium striptizerki.

Uśmiechnął się przemądrzale i spojrzał na papierosa, który teraz wydawał się zadziwiająco okrągły, zadziwiająco biały, zadziwiająco symbolizujący amerykański dobrobyt i bogactwo. Tylko w Ameryce papierosy smakują tak dobrze. Zaciągnął się. Cudownie. Pomyślał o wszystkich amerykańskich papierosach sypiących się z linii produkcyjnych w Winston - Salem, obfitość papierosów, nieskończenie czysty i biały róg obfitości. To ta meskalina, fakt. Początek odjazdu. A gdyby ludzie wiedzieli, co sądził o słowie „kryształ” (znanym także jako *krrrrryształ*), postukaliby się w czoła. Tak, zwariował, nie ma co. A to świrek. Świrek, kolejne fajne słowo. Nagle pożałował, że nie ma tu Sala Magliore. Razem, on i Jednooki Sally, przeanalizowaliby biznesy Organizacji ze wszystkich stron. Rozmawialiby o starych kurwach i strzelaniu. Oczyma wyobraźni ujrzał Jednookiego Sally'ego i siebie nad *linguini* w małej włoskiej *ristorante* o ciemnych ścianach i porysowanych drewnianych stołach, z sączącą się w tle muzyką z „Ojca chrestnego”. Wszystko w luksusowym technikolorze, w który można się zanurzyć, zanurkować jak w kąpieli perełkowej.

- *Krrrryształ* - mruknął pod nosem i wyszczerzył zęby. Wydawało mu się, że siedzi tak już bardzo długo, rozważając kolejne sprawy,

a jednak na jego papierosie nie było popiołu. Zdziwił się. I znowu się zaciągnął.

- Bart?

Podniosł głowę. To była Mary, przyniosła mu kanapkę. Uśmiechnął się.

- Siadaj. To dla mnie?

- Tak. - Podała mu kanapkę. Był to mały trójkątny sandwicz z czymś różowym w środku. Nagle uświadomił sobie, że Mary będzie przerażona, zgorzonna, jeśli się dowie o meskalinie. Wezwie pogotowie, policję, Bóg wie kogo jeszcze. Musi się zachowywać normalnie. Ale na samą myśl o normalnym zachowaniu poczuł się jeszcze dziwniej.

- Zjem później - powiedział i włożył kanapkę do kieszeni koszuli.

- Jesteś pijany?

- Troszeczkę. - Widział pory na jej twarzy. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział je tak wyraźnie. Takie małe dziureczki, jakby Bóg był kucharzem, a ona ciastem. Zachichotał, a na widok jej chmurnej miny po prostu musiał powiedzieć:

- Słuchaj, nikomu nie mów.

- Co? - Zmarszczyła brwi z zaskoczeniem.

- O substancji numer cztery.

- Bart, co na miłość boską...

- Muszę do łazienki. Zaraz wrócę. - Odszedł, nie oglądając się na nią, choć czuł grymas promieniujący z jej twarzy jak fale ciepła z kuchenki mikrofalowej. Jeśli się na nią nie obejrzy, możliwe, że się nie zdradzi. Na tym najlepszym ze światów wszystko jest możliwe, nawet kryształowe schody. Uśmiechnął się ciepło. To słowo stało się jego starym przyjacielem.

Droga do łazienki wydała mu się odyseją, safari. Odgłosy imprezy nabrały cyklicznego rytmu, TAK JAKBY przenikały JEDEN drugi co TRZY SYLABY i na WET STEREO też przeNIKAŁO. Mamrotał coś do ludzi, których chyba znał, ale nie zatrzymywał się nawet na jeden towarzyski gambit; wskazywał tylko kroczę, uśmiechał się i szedł dalej. Zostawiał za sobą zdumione twarze. Dlaczego nigdy nie trafia mi się impreza pełna obcych, kiedy jej potrzebuję, pomyślał zgryźliwie.

Łazienka była zajęta. Zaczekał na zewnątrz - wydawało mu się, że parę godzin - a kiedy wreszcie wszedł, nie mógł oddać moczu, choć przecież mu się chciało. Spojrzał na ścianę nad rezerwuarem; wydymała się i zapadała w cyklicznym, trójdzielnym rytmie. Spuścił wodę, choć nie zamierzał jeszcze wyjść - to na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał

- i przyglądał się, jak woda wiruje w muszli. Miała złowieszczy różowy kolor, jakby ostatni użytkownik wysikał się krwią. Niepokojące.

Wyszedł z łazienki; impreza znowu go wchłoneła. Twarze nadpływały i mijały go jak dryfujące balony. Ale muzyka była przyjemna. Śpiewał Elvis. Dobry, stary Elvis. Dawaj, Elvis, dawaj.

Twarz Mary pojawiła się przed nim i znieruchomiła z bardzo zadowoloną miną.

- Bart, co się z tobą dzieje?

- Co? Nic. - Był zdumiony, zadziwiony. Widział własne słowa w postaci wizualnych szeregów nut. - Mam halucynacje - dodał głośno, choć zwracał się wyłącznie do siebie.

- Co wzięłeś? - Teraz już się bała.

- Meskalinę.

- Boże! Narkotyki? Dlaczego?

- Dlaczego nie? - odparł nie po to, żeby ją urazić, ale ponieważ tylko taka odpowiedź przyszła mu do głowy. Słowa znowu wyszły z niego w postaci nut, i tym razem niektóre miały chorągiewki.

- Mam cię zawieźć do lekarza?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem i zaczął analizować jej pytanie, by sprawdzić, czy coś się za nim nie kryje; freudowskie wpływy w wariatkowie. Znowu zachichotał; chichoty posypały się melodyjnie z jego ust, krrryształowe nutki na pięciolinii, złamanej bemolami i pauzami.

- Na co mi doktor? - spytał, starannie dobierając każde słowo. Znak zapytania był ćwierćnutą na najwyższej linii. - Jest tak, jak powiedziała. Ani dobrze, ani źle. Tylko interesująco.

- Kto? Kto ci tak powiedział? Skąd to masz? - Jej twarz się zmieniła, stawała się mroczna i gadzia. Mary jako policjant z taniego kryminału, świecąca podejrzanemu w oczy - No, McGonigal, może być miło albo niemiło, wybieraj - a potem, co gorsza, zaczęła przypominać mu opowieści H.P. Lovecrafta, które czytywał w dzieciństwie, opowieści o Cthulu, w których całkiem normalne ludzkie istoty na rozkaz Starzych Bóstw zmieniały się w rybie, pęłzające stwory. Twarz Mary zaczęła się pokrywać łuską, stała się podobna do pyska węgorza.

- Wszystko jedno - powiedział przerażony. - Zostaw mnie, dobrze? Przestań mi mieszać w głowie. Ja ci się nie narucam.

Jej twarz się wykrzywiła, znowu stała się twarzą Mary, zranionej, nieufnej Mary, a jemu zrobiło się wstyd. Wokół nich tętniła impreza.

- Dobrze - szepnęła Mary. - Możesz sobie robić krzywdę, jeśli chcesz, ale nie rób mi wstydu. Mogę cię o to prosić?

- Ależ oczy w...

Nie czekała na jego odpowiedź. Odeszła, szybko ruszyła do kuchni, nie oglądając się za siebie. Wstydził się, ale czuł też ulgę. Tylko co będzie, kiedy ktoś inny spróbuje z nim porozmawiać? Wszyscy się dowiedzą. Nie może rozmawiać z ludźmi, nie w takim stanie. Najwyraźniej nie może nawet udawać pijanego.

- Rrrrrret - powiedział; „r” zaterkotało mu o podniebienie. Tym razem nutki wyszły w równym rządku, szesnastki z chorągiewkami. Mógł by tak robić nutki przez całą noc, całkowicie uszczęśliwiony, reszta świata mu kompletnie wisiła. Ale nie tutaj, tutaj wszyscy mogą przyjść i się gapić. Gdzieś na osobności, gdzie usłyszy własne myśli. Tutaj miał wrażenie, że stoi za wielkim wodospadem. Trudno się skupić przez ten hałas. Lepiej znaleźć jakąś spokojną zatoczkę. I może jakieś radio, które go może posłuchać. Czuł, że muzyka wspomogę jego myśli, a miał mnóstwo myśli do przemyślenia.

Ponadto był całkowicie pewien, że ludzie zaczynają na niego zerkać. Mary pewnie już rozpaplała. Martwię się, Bart jedzie na meskalinie. Plotka będzie przechodzić z grupy do grupy. Ludzie będą udawać, że tańczą, piją i rozmawiają, ale tak naprawdę będą go obserwować z ukrycia, szeptem plotkować na jego temat. Widział to. Z krrrrryształową jasnością.

Obok niego przeszedł mężczyzna z bardzo dużą szklanką, lekko się chwiejąc. Szarpnął go za sportową marynarkę i szepnął ochryple:

- Co oni o mnie mówią?

Mężczyzna posłał mu błędny uśmiech i owionął mu twarz oddechem przesyconym whisky.

- Wszystko zapiszę - obiecał i poszedł.

Wreszcie trafił do gabinetu Waltera Hamnera (nie potrafił ocenić, ile czasu mu to zajęło), a kiedy zamknął za sobą drzwi, odgłosy imprezy litościwie przycichły. Zaczynał się bać. Ten towar ciągle nie chciał się zużyć, przeciwnie, nabierał coraz większego rozpędu. Wydawało mu się, że przeszedł z jednej strony salonu na drugą w ułamku sekundy; w następnym przez ciemną sypialnię, w której złożono płaszcze; w jeszcze następnym przemierzył korytarz. Łańcuch normalnej, trzeźwej rzeczywistości jakoś się rozerwał, paciorki potoczyły się we wszystkie strony. Logika uciekła na drzewo. Poczucie czasu poleciało na mordę. A jeśli to mu nie minie? Jeśli tak mu zostanie? Naszła go ochota, żeby się zwinąć w kłębek i to przespać, ale nie wiedział, czy zdoła. A jeśli zdoła,

Bóg jeden wie, jakie go nawiedzą sny. Lekkomysłność, spontaniczność, z jaką wziął tę pigułkę, teraz go przerażała. To było coś innego niż picie. To ziarenko trzeźwości, które zawsze migotało i mrugało gdzieś tam głęboko, teraz zgasło. Odbiło mu na całego.

Ale tu było mu lepiej. Może zdoła się sam opanować. Przynajmniej nawet jeśli ześwirował, to nie...

- Cześć.

Podskoczył z strachu, obejrzał się. W kącie koło biblioteczki Waltera na krześle o wysokim oparciu siedział jakiś mężczyzna. Na kolanach trzymał otwartą książkę. A właściwie czy to naprawdę mężczyzna? W pokoju paliło się tylko jedno światło, lampka na okrągłym stoliku po lewej stronie nieznanego. Rzuciła długie cienie na jego twarz, cienie tak głębokie, że jego oczy wyglądały jak czarne jamy, a policzki zmieniły się w sardoniczne, złośliwe krzywizny. Przez chwilę myślał, że w gabinecie Wally'ego Hamnera przyszło mu się spotkać z szatanem. Potem nieznamy wstał i okazało się, że to jednak człowiek, tylko człowiek. Wysoki, jakiś metr osiemdziesiąt, z niebieskimi oczami i nosem świadczącym o nieustannych porażkach w zmaganiach z butelką. Ale mężczyzna nie miał drinka, nie było go też na stole.

- Kolejny wędrowiec - powiedział, wyciągając do niego rękę. - Phil Drake.

- Barton Dawes - odpowiedział, ciągle oszołomiony strachem. Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Drake'a była powykręcana i pokryta bliznami po jakiejś starej ranie - może po oparzeniu. Ale uścisnął ją chętnie. Drake. Nazwisko brzmiało znajomo, choć nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie je ostatnio słyszał.

- Jak się czujesz? - spytał Drake. - Wyglądasz, jakbyś...

- Jestem na prochach. Wziąłem meskalinę i o rany, ale mnie kręci. - Zerknął na półki z książkami, które pulsowały miarowo. To mu się nie spodobało. Za bardzo przypominało bicie olbrzymiego serca. Nie chciał już widzieć takich rzeczy.

- Ach, tak - powiedział Drake. - Siadaj. Opowiedz mi o tym. Zerknął na niego z lekkim zdziwieniem i poczuł przypływ ogromnej ulgi. Usiadł.

- Znasz się na meskalinie?

- Ach, trochę. Trochę. Prowadzę kawiarnię w centrum. Przychodzą do mnie smarkacze na odjeździe... to dobry odjazd? - spytał grzecznie.

- Dobry i zły. Dość... ciężki. To dobre słowo, tak to chyba nazywają?

- Tak. Zgadza się.
- Trochę się przestraszyłem. - Wyrzął przez okno, za którym biegła długa niebiańska autostrada przecinająca czarną kopułę nieba. Odwrócił wzrok spokojnie, ale nie zdołał się pohamować przed oblizaniem warg. - Słuchaj... jak długo to zwykle trwa?
- Kiedy wzięłeś?
- Koło... wpół do dziewiątej.
- A teraz jest... - Sprawdził na zegarku. - Jest za piętnaście dziesiąta...
- Za piętnaście dziesiąta? Dopiero?
- Drakę się uśmiechnął.
- Czas ciągnie się jak guma, co? Podejrzewam, że skończysz koło wpół do pierwszej.
- Tak?
- Tak. Tak sędzę. Teraz pewnie masz szczyt. To wizualna meskalina?
- O tak. Aż za bardzo.
- Ujrzysz rzeczy, których nie pisano oglądać ludzkim oczom - powiedział Drakę i uśmiechnął się bardzo szczególnym, krzywym uśmiechem.
- Tak, właśnie. Właśnie tak. - Ulga, jaką mu sprawiała obecność tego człowieka, była ogromna. Czuł się tak, jakby znalazł ratunek. - Czym się zajmujesz oprócz pogawędek z facetami w średnim wieku, którzy wpadli w dołek?
- Drakę odpowiedział uśmiechem.
- To dobre. Ludzie na meskalinie czy kwasie zwykle bełkoczą, czasem bez sensu. Codziennie wieczorem pracuję w telefonie zaufania. W dni robocze po południu pracuję w kawiarni, o której już wspomniałem, nazywa się „Wpadnij do mamy”. Przeważnie przychodzą do nas wariaci i bezdomni. Rano chodzę po ulicy i rozmawiam z moimi parafianami, jeśli już nie śpią. Pełnię jeszcze służbę w więzieniu.
- Jesteś pastorem?
- Nazywają mnie ulicznym kaznodzieją. Bardzo to romantyczne. Kiedyś byłem prawdziwym duchownym.
- Ale już nie?
- Opuściłem Matkę Kościół. - Drakę powiedział to cicho, ale jego słowa zabrzmiały jakąś przerażającą ostatecznością. Niemal słyhać było huk zatrzaskiwanych na wieki żelaznych drzwi.

- Dlaczego?
Drakę wzruszył ramionami.
- To nie ma znaczenia. A ty? Skąd wzięłaś meskalinę?
- Od dziewczyny, która pojechała do Las Vegas. To miła dziewczyna.
na. Dzwoniła do mnie w Boże Narodzenie.
- Prosiła o pomoc?
- Chyba tak.
- I pomogłeś jej?
- Nie wiem. - Uśmiechnął się przemądrzale. - Opowiedz mi, ojcze, o mojej nieśmiertelnej duszy.

Drakę drgnął.

- Nie jestem twoim ojcem.
- Więc dajmy sobie spokój.
- Co chcesz wiedzieć o swojej „duszy”?

Spojrzał na swoje palce. Potrafił sprawić, by z ich czubków wytrysnęły promienie światła. Nappełniło go to pijackim poczuciem siły.

- Chcę wiedzieć, co się z nią stanie, jeśli popełnię samobójstwo.

Drakę poruszył się niespokojnie.

- Nie myśl podczas odjazdu o samobójstwie. To mówi narkotyki, nie ty.

- Ja - warknął. - Odpowiedz.

- Nie mogę. Nie wiem, co się stanie z twoją „duszą”, jeśli się za bijesz. Ale wiem, co się stanie z twoim ciałem. Zgnije.

Wstrząśnięty tą wiadomością znowu spojrzał na swoje ręce. Posłusznie zaczęły pękać i pleśnieć, przywodząc mu na myśl opowieści Poe’go. „Prawdziwy opis wypadku z p. Waldemarem”. Cóż za noc. Poe i Lovecraft. Ktoś ma ochotę na A. Gordona Pyma? A może Abdula Alhazreda, Szalonego Araba? Podniósł wzrok, nieco zbity z tropu, ale nie tracąc ducha.

- Co robi twoje ciało? - spytał Drake.

- Co? - Zmarszczył brwi, by wyłuskać znaczenie z tego pytania.

- Są dwa odjazdy - wyjaśnił Drake. - Głowy i ciała. Masz mdłości? Bóle? Coś ci dolega?

Skonsultował się ze swoim ciałem.

- Nie. Tylko jestem... zajęty.

Parsknął cicho, a Drake się uśmiechnął. To było dobre słowo na opisanie tego, co czuł. Jego ciało działało ze wszystkich sił, choć się nie ruszało. Czuł się lekko, lecz nie ulotnie. Właściwie nigdy nie czuł się tak bardzo cieleśnie, nigdy tak mocno nie zdawał sobie sprawy z tego, jak silnie są ze sobą splecione procesy umysłowe i fizyczne. Nie można było ich roz-

dzielić. Siedzisz w tym po uszy, malutki. Integracja. Entropia. Ta myśl rozbłysła nad nim jak nagły tropikalny wschód słońca. Zaczął ją przetrawiać w świetle obecnej sytuacji, usiłował znaleźć jakąś prawidłowość, jeśli taka w ogóle istniała. Ale...

- Ale jest jeszcze dusza - odezwał się głośno.
 - I co z tą duszą? - spytał Drake uprzejmie.
 - Kiedy zabijasz mózg, zabijasz ciało - powiedział powoli. -I vice versa. Ale co się dzieje z duszą? To biała plama, Fa... panie Drake.
 - Bo we śnie śmierci co marzyć możemy. „Hamlet”, panie Dawes.
 - Myślisz, że dusza żyje dalej? Czy życie istnieje?
- Oczy Drake'a poszarzały.
- Tak. Według mnie istnieje... w jakiejś postaci.
 - I uważasz, że samobójstwo to grzech śmiertelny, który skazuje duszę na piekło?

Drake długo nie odpowiadał. Potem powiedział:

- Samobójstwo jest złe. Wierzę w to całym sercem.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Drake wstał.

- Nie zamierzałem na nie odpowiadać. Nie robię już w metafizyce. Jestem cywilem. Chcesz wrócić na imprezę?

Pomyślał o hałasie i chaosie. Pokręcił głową.

- A do domu?
- Nie mogę prowadzić. Bałbym się.
- Mogę cię odwieźć.
- Naprawdę? A jak wrócisz?
- Taksówką. Sylwester to bardzo dobry moment na jazdę taksówką.
- To by było dobrze - powiedział z wdzięcznością. - Chyba chciałbym być sam. Chciałbym pooglądać telewizję.
- Będziesz bezpieczny? - spytał Drake ponuro.
- Nikt nie jest bezpieczny - odparł równie dramatycznie i obaj się roześmieli.
- Dobrze. Chcesz się z kimś pożegnać?
- Nie. Jest tu tylne wyjście?
- Chyba coś znajdziemy.

W drodze do domu nie rozmawiali. Widok mijających ich latarni tak go oszałamiał, że nie miał już siły na nic innego. Kiedy przejeżdżali obok robót drogowych, zasięgnął opinii Drake'a.

- Budują nowe drogi dla pasących się energią potworów, kiedy w tym mieście głodują dzieci - odparł Drake dobitnie. - Co myślę? Myślę, że to zbrodnia.

Postanowił opowiedzieć mu o bombach, płonącym dźwigu, płonącej przyczepie... a potem się rozmyślił. Drake mógłby pomyśleć, że to też halucynacja. Albo gorzej, mógłby mu uwierzyć.

Reszty wieczoru nie pamiętał zbyt dobrze. Pokierował Drake'a do swego domu. Drake zauważył, że wszyscy jego sąsiedzi muszą imprezować albo wcześniej poszli spać. Nie odpowiedział. Drake wezwał taksówkę. Przez jakiś czas oglądali telewizję, nie rozmawiając - Guy Lombardo w Waldorf-Astorii, grający najślodszą muzykę po tej stronie raj. Guy Lombardo, pomyślał, zdecydowanie wygląda na żabojada.

Taksówka przyjechała za kwadrans dwunasta. Drake jeszcze raz spytał, czy sobie poradzi.

- Tak, chyba już się kończy. - I tak było. Halucynacje ściekały mu w głąb mózgu.

Drake otworzył drzwi i postawił kołnierz.

- Nie myśl o samobójstwie. Nie bądź cykor.

Uśmiechnął się i kiwnął głową, ale ani nie zgodził się, ani nie odrzucił rady. Tak jak ostatnio miał to w zwyczaju, wziął ją po prostu pod rozwagę.

- Szczęśliwego nowego roku - powiedział.

- I wzajemnie.

Taksówka zatrąbiła niecierpliwie.

Drake odszedł, taksówka ruszyła, świecąc żółtym światłem na dachu.

Wrócił do salonu, usiadł przed telewizorem. Guy Lombardo zniknął, a pojawił się Times Square, gdzie na szczycie Allis-Chalmers Building zabłyśła świecąca kula, gotowa do zejścia w rok 1974. Czuł się zmęczony, wycieńczony, wreszcie śpiący. Wkrótce kula zjedzie w dół, a on wejdzie w Nowy Rok narąbany jak bombowiec. Gdzieś w tym kraju noworoczne dziecko przepycha spłaszczoną, okrytą łóżyskiem głowę przez łono matki, prosto na ten najlepszy z możliwych światów. Na imprezie Waltera Hamnera ludzie unoszą kieliszki i zaczną odliczać. Noworoczne postanowienia staną przed próbą rzeczywistości. Większość okaże się tak samo wytrzymała jak mokry papier toaletowy. On też pod wpływem nastroju chwili uczynił swoje postanowienie i wstał mimo tego ogromnego zmęczenia. Bolało go całe ciało, a kręgosłup miał jak ze szkła - to chyba kac. Poszedł do kuchni, zdjął z półki mło-

tek. Kiedy wrócił do salonu, świecąca kula spływała już po śłupie. Ekran się rozdzielił, po lewej stronie widać było kulę, po prawej imprezowiczów w Waldorf-Astorii, odliczających: osiem... siedem... sześć... pięć... Jakaś gruba dama z towarzystwa ujrzała się w monitorze, zrobiła zdziwioną minę, a potem pomachała społeczeństwu rączką.

Przełom, pomyślał. To idiotyczne, ale na ramiona wystąpiła mu gęsia skórka.

Kula zjechała na sam dół, a na szczycie Alis-Chalmers Building zaświecił neon. Widniało na nim:

1974

W tej samej chwili zamachnął się młotkiem i ekran eksplodował. Szkło bryzgnęło na dywan. Przewody zasyczały, ale nie pojawił się ogień. Na wszelki wypadek, żeby telewizor z zemsty nie usmażył go w nocy, kopniakiem wyrwał wtyczkę z gniazdka.

- Szczęśliwego nowego roku - powiedział cicho i upuścił młotek na dywan.

Padł na kanapę i niemal natychmiast zasnął. Spał przy włączonym świetle. Nic mu się nie przyśniło.

CZCŚĆ TRZECIA
STYCZEŃ

*Jeśli nie znajdę jakiegoś schronienia,
umrę...*

Rolling Stones

5 STYCZNIA 1974

To, co spotkało go tego dnia w Zakupach za Grosik, było w całym jego życiu jedynym wydarzeniem, które sprawiało wrażenie zaplanowanego i znaczącego. Tak jakby niewidzialny palec naznaczył inną istotę tylko po to, żeby on mógł odczytać ten znak.

Lubił zakupy. Były bardzo kojące, bardzo normalne. Po tym ostatnim epizodzie z meskaliną polubił normalne czynności. W dzień Nowego Roku obudził się późnym popołudniem i przez resztę dnia snuł się bezsensownie po domu, czując się dziwnie i obco. Brał do ręki różne przedmioty i oglądał je jak Jago oglądający czaszkę Yorricka. Ten nastrój przetrwał - w nieco mniejszym natężeniu - do następnego dnia, a nawet później. Ale w pewnym sensie efekt był pozytywny. Jego umysł zrobił się czysty i wysprząpany, jakby jakaś maniacko dokładna sprzątaczką wytrząsnęła go, wyszorowała i wypolerowała. Przestał się upijać, a co za tym idzie przestał płakać. Kiedy Mary zadzwoniła do niego - bardzo ostrożnie - koło siódmej po południu, rozmawiał z nią spokojnie i rozsądnie. Odniosł wrażenie, że ich stanowiska nie zmieniły się za nadto. Tak jakby się bawili w grę, w której nie można się poruszyć, każde czekało, aż to drugie nie wytrzyma. I to Mary nie wytrzymała; wspomniała o rozwodzie. Tylko o takiej ewentualności, ruch był mikroskopijny jak drgnięcie palca, ale zawsze był to jakiś ruch. Nie, jedyne, co sprawiło mu prawdziwą przykrość po epizodzie z meskaliną, to rozbity ekran kolorowego zenitha. Nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Od lat marzył o takim telewizorze, choć w zasadzie najbardziej lubił filmy czarno-białe. A tym, co przeszkadzało mu najbardziej, nie był sam fakt, ale jego nieusunięte dowody - rozbite szkło, obnażone przewody. Wyglądały, jakby go oskarżały, jakby mówiły: „Dlaczego mi to zrobiłeś? Służyłem ci wiernie, a ty mnie zniszczyłeś. Nigdy nie zrobiłem ci krzywdy, a ty mnie rozbiliś. Byłem bezbronny”. Ten telewizor przypomniawszy mu, co czekało jego dom. Wreszcie znalazł starą kołdrę i zasłonił ekran, co było

zarazem lepsze i gorsze. Lepsze, ponieważ już go nie widział, gorsze, ponieważ telewizor wyglądał jak zwłoki zasłonięte całunem. Młotka pozbył się jak narzędzia zbrodni.

Ale wizyta w sklepie była miła, tak jak picie kawy u Benjy'ego, jeżdżenie LTD do myjni „Czysta sprawa” czy zatrzymywanie się przy kiosku Henny'ego, żeby kupić „Time'a”. Sklep Zakupy za Grosik był bardzo duży, oświetlony jarzeniówkami i pełen pań z wózkami, upominających dzieci i dumających nad pomidorami w przezroczystym plastiku, przez który nie można było ich pomacać. Z dyskretnych głośników nad głowami sączyła się muzyczka, ledwie słyszalnie wpływająca do uszu.

Tego dnia, w sobotę, tłumy ludzi robiły zakupy na weekend, pojawiło się też więcej mężczyzn, towarzyszących swym żonom i denerwujących je przemądrzałymi uwagami. Dziś jednak patrzył na mężów, żony i małżeńskie problemy z wyrozumiałością. Dzień był podobny, przez wielkie sklepowe okna lały się strumienie słonecznego światła, rzucały jaskrawe plamy na kasy, czasem migotały we włosach jakiejś kobiety i rozświetlały je jak aureola. W taki dzień nic nie wydaje się poważne, choć w nocy wszystko się zmienia.

W jego wózku znajdował się tradycyjny zestaw dla mężczyzn brutalnie rzuconych na wody samotnego gospodarzenia: spaghetti, sos do mięsa, czternaście mrożonych obiadów, tuzin jajek, masło i paczka pomarańczy jako przeciwkosckorbutowa profilaktyka.

Był już w połowie drogi do kasy, kiedy przemówił do niego chyba sam Bóg. Przed nim stała kobieta w błękitnych spodniach i granatowym swetrze robionym na drutach. Miała dziwnie żółte włosy i jakieś trzydzieści pięć lat. Była atrakcyjna, bardzo energiczna. Wydała jakieś śmieszne gardłowe skrzeczenie i zachwiała się. Miękka butelka musztardy wypadła jej z dłoni i poturlała się po podłodze, rytmicznie migając czerwonym proporczykiem i słowem FRANCUSKA.

- Proszę pani, halo! - odezwał się niepewnie. - Coś się stało?

Kobieta upadła na plecy. Lewą ręką, którą usiłowała się przytrzymać, zmiotła na podłogę z dziesięć puszek kawy. Na każdej widniało:

MAXWELL HOUSE
Dobra do ostatniej kropli

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie zdążył się przestraszyć - w każdym razie nie o siebie - natomiast zobaczył coś, co później go uderzyło i zaczęło nawiedzać w snach. Jej oczy zezowały rozbieżnie, tak jak oczy Charliego podczas ataków.

Kobieta upadła. Zaskrzeczała słabo. Jej stopy w skórzanych butach z otoczką soli na dole zabębniły o podłogę. Jakaś kobieta za jego plecami krzyknęła słabo. Sprzedawca, metkujący puszkę zupy, podbiegł ku nim, rzuciwszy po drodze metkownicę. Dwie kasjerki wybiegły z kas, szeroko otwierając oczy.

- To chyba atak epilepsji - powiedział jego własny głos.

Ale to nie był atak epilepsji, tylko rodzaj wylewu krwi do mózgu. Lekarz, który przyszedł z żoną na zakupy, powiedział, że kobieta nie żyje. Był młody i przestraszony, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że ten zawód będzie go ścigać aż po grób, jak jakiś żądny zemsty potwór. Nie zdążył jeszcze skończyć badania, a wokół młodej kobiety leżącej wśród puszek kawy zebrał się spory tłumek. Te puszki stanowiły ostatni element świata, w którym egzekwowała swój ludzki przywilej dokonywania zmian. Teraz przestała należeć do tego świata, a inni ludzie mieli dokonać zmian na niej. Jej wózek do połowy wypełniały zapasy żywności na tydzień; widok tych puszek, pudełek i paczek mięsa obudził w nim ostry skurcz przerażenia.

Patrząc na wózek zmarłej kobiety, zadał sobie pytanie, co zrobią z jej zakupami. Odłożą na półki? Przechowają je pod ladą jako dowód na to, że pani domu umarła w kieracie?

Ktoś wezwał policjanta, który przedzierał się przez tłum. Spokój ostatnich pięciu dni prysnął, prawdopodobnie na dobre. Słyszano kiedy o bardziej czytelnym znaku? Raczej nie. Ale co oznaczał? Co?

Wrócił do domu, wrzucił do zamrażarki gotowe obiady i zrobił sobie mocnego drinka. Serce łomotało mu w piersi. Przez całą drogę z supermarketu usiłował sobie przypomnieć, co zrobili z ubrankami Charliego.

Zabawki oddali do domu dziecka w Norton, pieniądze z jego konta (tysiąc dolarów, zbierane na college - na to konto szła, pomimo ryków Charliego, połowa wszystkich pieniężnych prezentów, które dostawał od krewnych na urodziny i Boże Narodzenie) przelali na własne. Za radą mamy Jean spalili jego łóżko - nie potrafił tego zrozumieć, ale nie miał serca protestować; wszystko runęło, a on miał się wyklócać o materacyk i ramę? Ale ubranka, o... to było zupełnie co innego. Co zrobili z ubrankami Charliego?

Pytanie dręczyło go przez całe popołudnie, niepokoiło go tak, że raz omal nie zadzwonił do Mary, żeby ją zapytać. Ale to by chyba była ta ostatnia kropla. Po takim pytaniu nie miałyby już wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego.

Tuż przed zachodem poszedł na stryszek, do którego wpełzało się przez klapę w suficie sypialni. Musiał stanąć na krześle, żeby jej dosięgnąć. Od bardzo dawna tam nie zaglądał, ale goła stuwatowa żarówka ciągle działała. Pokrywała ją pajęczyna i kożuch kurzu, ale świeciła.

Otworzył pierwsze z brzegu zakurzone pudełko; znalazł w nim wszystkie albumy z liceum i college'u, ładnie poukładane. Na każdym albumie z liceum widniały słowa:

CENTURION
Liceum Bay...

Na okładce każdego albumu z college'u (były cięższe, bogaciej zdobione) widniały słowa:

PRYZMAT Ku
pamięci...

Najpierw otworzył albumy z liceum, przerzucił ostatnie kartki, na których się wpisywali („Za górami, za morzami, za siedmioma lasami byłam, wróciłam i album ten zniszczyłam, bo się wpisałam do góry nogami - A.F.A., Connie”), potem zdjęcia dawnych nauczycieli, zastygłych z bladym uśmiechem za biurkami i przy tablicach, potem kolegów z klasy, których ledwie pamiętał, z wyliczonymi skrętnie funkcjami i zasługami (gospodarz klasy, kółko literackie), a także przezwiskami i jakimś haselkiem. Znał losy niektórych z nich (wojskowy, zginął w katastrofie samochodowej, asystent kierownika banku), ale większość rozplynęła się we mgle, a ich przyszłość była mu nieznana.

W albumie z liceum natrafił na młodego George'a Bartona Dawesa, który spoglądał z rozmarzeniem w przyszłość na retuszowanym zdjęciu z Atelier Cressey. Zdumiewające, jak niewiele wiedział ten chłopiec o przyszłości i jak bardzo przypominał syna mężczyzny, który szukał tu jego śladów. Chłopiec ze zdjęcia nie wyprodukował nawet jeszcze plemników, które miały się stać połową tego drugiego chłopca. Pod zdjęciem widniał napis:

Barton G. Dawes
„Równiacha”
(klub turystyczny, towarzystwo literackie)
Liceum Bay

*Bart, Klasowy Klown, sprawiał,
że nasze życie stało się jaśniejsze!*

Odłożył albumy do schowka i szukał dalej. Znalazł zastony, które Mary zdjęła przed pięciu laty. Stary fotel ze złamanym oparciem. Radio z budzikiem, ciągle się psuło. Album ze ślubnymi fotografiami, na które bał się spojrzeć. Sterty pism - trzeba to wynieść, pomyślał. W lecie może od tego wybuchnąć pożar. Silnik do pralki, który niegdyś przyniósł z pralni i bezskutecznie usiłował naprawić. Oraz ubranka Charliego.

Znajdowały się w trzech tekturowych pudłach, przesiąknięty wiercącym w nosie zapachem naftaliny. Bluzki, spodenki i sweterki, nawet bielizna. Wyjął je i obejrzał dokładnie każde z osobna, usiłując sobie wyobrazić, jak wyglądał w nich Charlie, jak się w nich poruszał, jak zmieniał w nich pomniejsze fragmenty świata. Wreszcie zapach naftaliny wypędził go ze strychu, dygoczącego i skrzywionego. Musiał się napić. To przez zapach tych rzeczy, leżących cicho i bezużytecznie od lat, rzeczy, których jedynym celem było zadawanie bólu. Nie mógł o nich zapomnieć przez cały wieczór, aż wreszcie alkohol pozbawił go umiejętności myślenia.

7 STYCZNIA 1974

Kwadrans po dziesiątej zadzwonił dzwonek; za drzwiami stał mężczyzna w garniturze i płaszczu, trochę przygarbiony, niechlujny i przyjazny. Był gładko ogolony, świeżo ostrzyżony i trzymał cienką aktówkę, dlatego początkowo uznał go za komiwojażera z próbkami towarów - sprzedającego produkty Amwaya, namawiającego do prenumeraty czy nawet propagującego oszukany „Plamoznik” - i przygotował się na przyjazne powitanie, uważne wysłuchanie tyrady, może nawet kupienie czegoś. Oprócz OHvii była to pierwsza osoba, która weszła do ich domu od czasu, gdy Mary go opuściła.

Ale mężczyzna nie był komiwojażerem. Był prawnikiem. Nazywał się Philip T. Fenner i reprezentował radę miasta. Fakt ten oznajmił z nieśmiałym uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

- Proszę wejść - powiedział Bart z westchnieniem. W głowie tłukło się mu idiotyczne przeświadczenie, że facet jednak jest komiwojażerem. Można nawet powiedzieć, że sprzedaje „Plamoznik”.

Fenner gadał jak oszalały, z prędkością kilometra na minutę.

- Ma pan piękny dom, no przepiękny. Gospodarską rękę zawsze widać, nieustannie to powtarzam. Nie zajmę panu wiele czasu, wiem, że jest pan zajęty, ale Jack Gordon pomyślał, że mógłbym tu wpaść przy okazji i podrzucić panu formularz. Na pewno wysłał pan do nas podanie, ale przez tę gwiazdkową gorączkę poczta nie wyrabia, listy czasem giną. Oczywiście chętnie odpowiem panu na wszelkie pytania.

- Mam jedno - odparł bez uśmiechu.

Radosna mina gościa zgasła na chwilę, a spod niej wyłonił się prawdziwy Fenner, zimny i automatyczny jak elektroniczny zegarek.

- Mianowicie?

Uśmiechnął się.

- Ma pan ochotę na kawę?

Uśmiechnięty Fenner powrócił, skrzydlaty posłaniec rady miejskiej.

- Ach, jak miło, jeśli to nie kłopot. Na dworze mróz, że ho ho. Nie wydaje się panu, że zimy są coraz mroźniejsze?

- Zdecydowanie. - Woda była jeszcze gorąca po śniadaniu. - Mam nadzieję, że pije pan rozpuszczalną. Żona wyjechała na jakiś czas do rodziców, a ja nie całkiem daję sobie radę.

Fenner roześmiał się dobrodusznie, czym zdradził, że doskonale wie, co się dzieje między nim a Mary, a prawdopodobnie także między nim a każdą możliwą osobą lub instytucją: Steve'em Ordnerem, Vinnie Masonem, korporacją, Bogiem.

- Ależ oczywiście, zawsze piję rozpuszczalną, bardzo lubię rozpuszczalną. Nie widzę żadnej różnicy. Mogę położyć na tym stole dokumenty?

- Bardzo proszę. Śmietanki?

- Nie, piję czarną. - Fenner rozpiął płaszcz, ale go nie zdjął. Stwierdził go rozprostował, zanim na nim usiadł, tak jak kobieta rozprostowuje spódnice, żeby się z tyłu nie pomięła. U mężczyzny ten gest był niemal nieznośnie pretensjonalny. Fenner otworzył aktówkę i wyjął podstemplowany formularz podobny do formularza zwrotu podatku. Bart nalał mu filiżankę kawy i postawił ją przed nim.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. A pan?

- Ja zrobię sobie drinka.

- Mhm. - Fenner uśmiechnął się czarująco. Pociągnął łyk kawy. - Dobra, bardzo dobra. Stawia na nogi.

Zrobił sobie drinka i powiedział:

- Przepraszam pana na chwilę, muszę zadzwonić.

- Oczywiście. - Fenner znowu pociągnął kawę i cmoknął.
Poszedł do aparatu w korytarzu. Drzwi zostawił uchylone. Wykreślił numer Callowayów. Odebrała Jean.
- Tu Bart - powiedział. - Czy zastałem Mary?
- Śpi. - Głos Jean tchnął mrozem.
- Obudź ją, dobrze? To bardzo ważne.
- No pewnie. No jasne. Wczoraj powiedziałam Lesterowi: Lester, pora sobie załatwić zastrzeżony numer telefonu. A on się ze mną zgodził. Oboje uważamy, że pomieszały ci się klepki, Bartonie Dawes, i to jest cała prawda, bez owijania w bawełnę.
- Bardzo mi przykro. Ale naprawdę muszę...
- Usłyszał dźwięk podnoszonej drugiej słuchawki i głos Mary:
- Bart?
- Tak. Mary, czy spotkałaś się z prawnikiem, niejakim Fennerem? Taki wygadany, usiłuje wyglądać jak Jimmy Stewart?
- Nie - odparła. Psiakrew, niech to. Potem dodała: - Rozmawiałam z nim przez telefon.
- Trafiony! Fenner stał w drzwiach, trzymał kawę i popijał ją spokojnie. Porzucił pozę troszkę nieśmiałego, bardzo miłego i prostodusznego chłopaka. Był jakby niezadowolony.
- Mamma, odłóż słuchawkę - powiedziała Mary. Jean Calloway usłuchała z gorzkim parsknięciem.
- Mówił o mnie? - spytał.
- Tak.
- Rozmawiał z tobą po sylwestrze?
- Tak, ale... o tym mu nie powiedziałam.
- Mogłaś mu powiedzieć więcej, niż sądzisz. Wygląda jak senny bas-set, ale naprawdę to miejski kastrator. - Uśmiechnął się do Fennera, który odpowiedział wymuszonym uśmiechem. - Umówiłaś się z nim na spotkanie?
- No... tak. - Była zaskoczona. - Ale on chce porozmawiać tylko o domu...
- Nie, tak ci tylko powiedział. Tak naprawdę chce porozmawiać o mnie. Mam wrażenie, że ci goście chcą mi wyrobić żółte papiery.
- Co? - Wydawała się kompletnie oszołomiona.
- Jeszcze nie wziętem ich pieniędzy, ergo - muszę być wariatem. Mary, pamiętasz, o czym mówiliśmy u Andy'ego?
- Czy pan Fenner jest u ciebie?
- Tak.

- O psychiatrze - powiedziała martwym głosem. - Wspomniałam, że zamierzałeś się spotkać z... Och, Bart, przepraszam,

- Nieważne - powiedział cicho i szczerze. - Zrobię tak, żeby to się dobrze skończyło, przyrzekam. Może nic innego, ale to się na pewno dobrze skończy.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Fennera.

- Mam zadzwonić do Stephana Ordnera? Vinnie Masona? Nie będę tracić czasu na Rona Stone'a czy Toma Grangera, obaj poznaliby się na takim tandeciarzu, zanimby pan zdążył otworzyć aktówkę. Ale Vinnie nie da się oszukać, a Ordner powitałby pana z otwartymi ramionami. Szuka na mnie haka.

- Nie musi pan dzwonić - powiedział Fenner. - Źle mnie pan zrozumiał. I najwyraźniej źle pan zrozumiał moich klientów. Nie mają do pana osobistej urazy. Nikt nie chce panu zrobić krzywdy. Jednak istotnie od pewnego czasu daje się zauważyć, że nie popiera pan rozbudowy autostrady 784. W sierpniu zeszłego roku napisał pan list otwarty do gazety...

- W sierpniu zeszłego roku - zdziwił się. - Zebraliście informacje na mój temat, tak?

- Oczywiście.

Przykucnął, rozejrzał się z obawą.

- Dajcie więcej informacji! Więcej prawników! Ron, wyjdź i zbajeruj dziennikarzy! Wszędzie mamy wrogów. Mavis, przynieś moje pigułki! - Wyprostował się. - Ktoś zamawiał paranoję? Rany boskie, a już myślałem, że to ja jestem porąbany.

- Mamy także dział public relations - dodał zimno Fenner. - Nie mówimy tu o drobnych sumach, proszę pana. Rozmawiamy o projekcie za dziesięć milionów dolarów.

Pokręcił głową z niesmakiem.

- Powinni zbadać tych, którzy się zajmują autostradą, nie mnie.

- Drogi panie, zagram z panem w otwarte karty.

- A mnie doświadczenie podpowiada, że kiedy ktoś przestaje się pieprzyć z drobnymi kłamstewkami, przeważnie zasuwa mi wielkie kłamstwo.

Fenner poczerwieniał wreszcie wyprowadzony z równowagi.

- Napisał pan do gazety. Sabotował pan kupno nowej siedziby dla pralni „Blue Ribbon” i wreszcie został pan wyrzucony z pracy...

- Nieprawda. Złożyłem rezygnację co najmniej na pół godziny, zanim zdążyli mnie wywalić.

- ...i ignorował pan nasze próby porozumienia się z panem w sprawie

domu. Sądzimy, że zaplanował pan na dwudziestego jakąś publiczną demonstrację. Zadzwoni pan do gazet i stacji telewizyjnych, ściągnie tu dziennikarzy. Gestapowscy agenci miasta przemocą wyprowadzają bohaterskiego obrońcę domu.

- A to was niepokoi, co?

- Ależ oczywiście! Opinia publiczna jest jak kurek na wietrze...

- A pańscy klienci są urzędnikami wybieranymi przez społeczeństwo.

Fenner patrzył na niego wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu.

- I co teraz? Złoży mi pan ofertę nie do odrzucenia?

Fenner westchnął.

- Nie rozumiem, nad czym właściwie dyskutujemy. Miasto proponuje panu sześćdziesiąt tysięcy dolarów na...

- Sześćdziesiąt trzy tysiące pięćset.

- Tak, zgadza się. Proponują panu tę sumę za dom i działkę. Niektórzy dostali o wiele mniej. A co pan dostanie za te pieniądze? Spokój, święty spokój. Ta kwota jest praktycznie nieopodatkowana, ponieważ już pan spłacił podatki ratami za dom. Zostaje tylko marża. A może uważa pan, że wycena jest nieuczciwa?

- Skąd, bardzo uczciwa - powiedział, myśląc o Charliem. - Jak dalece to możliwe. Na pewno to więcej, niżbym dostał, gdybym chciał komuś sprzedać ten dom, biorąc pod uwagę cenę kredytu.

- Więc o co się kłócimy?

- Wcale się nie kłócimy - odparł i pociągnął łyk drinka. Tak, jednak trafił mu się komiwojazer. - Ma pan dom?

- Oczywiście - odparł niezwłocznie Fenner. - Bardzo piękny, na Greenwood. A jeśli chce mnie pan spytać, co bym zrobił albo jak bym się czuł na pańskim miejscu, powiem szczerze: wycisnąłbym z miasta wszystko do ostatniej kropli krwi, a potem śmiałbym się przez całą drogę do banku.

- Ach, na pewno. - Roześmiał się i pomyślał o Donie i Rayu Tarkingtonach, którzy nie tylko wycisnęliby z miasta ostatnią kroplę krwi, ale w dodatku wbiliby mu w dupę maszt sprzed ratusza. - Więc naprawdę myślicie, że pomieszały mi się klepki?

- Nie wiemy - odparł sprawiedliwie Fenner. - Pańskie postępowanie w sprawie nowej lokalizacji pralni trudno zaliczyć do normalnych.

- Więc coś panu powiem. Zostało mi jeszcze dość klepek, żeby wiedzieć, że mogę zaangażować prawnika, któremu się nie podoba ustawa o wywłaszczeniu na cele publiczne i który nadal wierzy w to stare po-

wiedzenie, że dom jest twierdzą. Możemy zdobyć nakaz, na mocy którego nie będziecie się mogli zbliżyć do tego domu i przetrzymamy was przez miesiąc, dwa. Przy odrobinie szczęścia i właściwym nastawieniu sędziego możemy odwlec budowę aż do września przyszłego roku.

Fenner miał dość zadowoloną minę, tak jak można było przewidzieć. Pewnie myślał coś w rodzaju: no, wreszcie. Mam haka, Freddy, dobrze się bawisz? Owszem, George, muszę to przyznać.

- Czego pan chce? - spytał Fenner.

- Ile możecie mi zaoferować?

- Podniesiemy cenę o pięć tysięcy. I ani grosza więcej. Poza tym nikt się nie dowie o dziewczynie.

Wszystko zamarło. Zamarło bez ruchu.

- Co? - szepnął.

- O dziewczynie, panie Dawes. Tej, którą pan posuwał. Była tutaj szóstego i siódmego grudnia.

W ciągu sekundy z jego mózgu wytrysnęły spirale myśli, niektóre bardzo rozsądne, większość przesadnych i powleczonej cienką żółtą patyną strachu. Ale ponad strachem i rozsądkiem pojawił się ogromny czerwony płomień furii, który kusił go, by skoczyć i dusić tego tykającego człowieczka tak długo, aż z uszu wyskoczą mu sprężyny. A tego nie wolno mu było zrobić, wszystko, tylko nie to.

- Proszę o numer - powiedział.

- Numer...

- Telefonu. Zadzwoń do pana po południu i przekażę moją decyzję.

- Byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli zakończyć sprawę już teraz. *Tak, byłbyś zadowolony, co? Panie sędzio, przedłużmy rundę o trzy dziesiąte sekund. Zawodnik leży na deskach.*

- Nie, to raczej niemożliwe. Proszę wyjść z mojego domu.

Fenner wzruszył ramionami - chłodno, bez emocji.

- Moja wizytówka. Jest na niej numer telefonu. Będę pod nim między wpół do trzeciej a czwartą.

- Zadzwoń.

Fenner wyszedł. Patrzył za nim przez okno koło drzwi frontowych. Dopiero gdy ciemnoniebieski buick ruszył podjazdem, uderzył pięścią w ścianę, mocno, z całej siły.

Nalał sobie kolejnego drinka i usiadł w kuchni przy stole, by prze-myśleć sytuację. Wiedzieli o OHvii. Zamierzali wykorzystać tę wiedzę jako dźwignię. Jako narzędzie do ruszenia go z miejsca nie mogła się

zanadto przydać. Bez wątpienia mogli dzięki niej zakończyć jego małżeństwo, ale ono i tak wisiało już na włosku. Czyli go śledzili.

Pytanie tylko jak?

Gdyby ktoś za nim chodził, bez wątpienia wiedzieliby o sławetnym trzask-trzask-bum-bum. Gdyby to wiedzieli, wykorzystaliby to przeciwko niemu. Po co bawić się w drobiazgi w rodzaju drobnego skoku w bok, skoro można wsadzić niegrzecznego właściciela domu do więzienia? A więc założyli mu podsłuch. Kiedy pomyślał, że w przypiływie pijackiej szczerości omal nie przyznał się Maglioremu do podpalenia, na czoło wystąpiły mu drobniutkie kropelki zimnego potu. Dzięki Bogu, Magliore zamknął mu gębę. Trzask-trzask-bum-bum w zupełności wystarczy.

A więc mieszkał w podsłuchiwanym domu. Pozostało jedno pytanie: co ma zrobić z ofertą Fennera oraz metodami jego klientów?

Włożył do piekarnika mrożony obiad i usiadł z kolejnym drinkiem. Śledzili go, usiłowali go przekupić. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się wściekał.

Wyjął obiad z piecyka i zjadł. Zaczął chodzić po domu, przyglądając się przedmiotom. Zaświtał mu pewien pomysł.

O trzeciej zadzwonił do Fennera i poprosił o przysłanie formularza. Podpisze go, jeśli Fenner zajmie się tymi dwiema sprawami, o których rozmawiali. W głosie Fennera słyhać było zadowolenie, nawet ulgę. Powiedział, że chętnie się wszystkim zajmie, a formularz przyśle już jutro. Powiedział, że się cieszy, iż Bart jest rozsądny.

- Ale mam parę warunków - zaznaczył on.

- Warunków - powtórzył Fenner, od razu nieufny.

- Tylko bez nerwów. Da sobie pan z tym radę.

- Proszę je wymienić. Ale ostrzegam pana, Dawes, wycisnął pan z nas wszystko do ostatniej kropli.

- Proszę jutro przynieść formularz. W środę odniosę go do pańskiego biura. Proszę, żeby czekał na mnie czek na sześćdziesiąt osiem tysięcy pięćset dolarów. Czek kasjerski. Oddam formularz dopiero wtedy, gdy go dostanę.

- Drogi panie, nie robimy w ten sposób interesów...

- Może to niezgodne z regulaminem, ale możliwe. Równie niezgodne z regulaminem jest założenie podsłuchu w moim telefonie i Bóg wie gdzie jeszcze. Nie będzie czeku, nie będzie formularza. Za to przyprawdę prawnika.

Fenner zamilkł. Niemal słyhać było, jak myśli.

- Dobrze. Co jeszcze?
- Do środy macie mi nie przeszkadzać. Dwudziestego jest wasz. Do tego czasu należy do mnie.
- Świetnie - zgodził się natychmiast Fenner, ponieważ i tak nie mógł nie dotrzymać tego warunku. Zgodnie z prawem dom pozostawał własnością Barta do północy dziewiętnastego. Minutę później przechodził na własność miasta. Gdyby podpisał formularz i przyjął pieniądze, mógłby się zawrzeszczyć na śmierć w każdej gazecie i stacji telewizyjnej, a nie zyskałby ani odrobiny współczucia.
- To wszystko.
- Dobrze - powiedział Fenner cholernie zadowolony. - Cieszę się, że wreszcie rozwiązaliśmy ten problem racjonalnie, panie...
- Pieprz się - przerwał mu i odłożył słuchawkę.

8 STYCZNIA 1974

Nie było go w domu, kiedy kurier wrzucił przez szparę w drzwiach piękną brązową kopertę z formularzem 6983-426-73-74 (niebieski folder). Był w najbardziej zakazanym zaułku Norton na spotkaniu z Salem Magliore. Magliore nie oszalał z radości na jego widok, ale w trakcie rozmowy słuchał go coraz uważniej.

Przyniesiono obiad - spaghetti, cielecinę i butelkę czerwonego galo. Jedzenie było wspaniałe. Magliore uniósł rękę, nakazując mu milczenie, kiedy dotarł do pięciu tysięcy dolarów łapówki i wiadomości o Olivii. Zadzwoił gdzieś i rzucił parę słów mężczyźnie po drugiej stronie. Podał mu adres domu na Crestallen Street.

- Weź furgonetkę - dodał i odłożył słuchawkę. Nawinał spaghetti na widelec i skinął dłonią, pozwalając na dalszą opowieść.

Na koniec powiedział:

- Miałeś szczęście, że za tobą nie chodzili. Już byś siedział.

Był tak najedzony, że omal nie pękł. Nie mógłby przełknąć ani kęsa więcej. Od pięciu lat nie jadł tak dobrze. Powiedział to Maglioremu, a on się uśmiechnął.

- Niektórzy moi przyjaciele już nie jedzą pasty. Dbają o linię. Więc chodzą na steki albo na francuszczyznę czy szwedzkie żarcie, albo jeszcze co innego. I dostają wrzodów. Dlaczego? Bo nie można się stać kimś, kim się nie jest. - Wylał na talerz sos z zatuszczzonego papierowego pojemnika, który przysłano z restauracji. Zebrał go skórką czosnkowego

chleba, znieruchomiał, spojrział tymi dziwnymi, powiększonymi oczami i powiedział: - Prosisz, żebym popełnił grzech śmiertelny.

Odpowiedział tęnym spojrzeniem. Nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Magliore parsknął złym śmiechem.

- Wiem, co sobie myślisz. Facet, który robi w tym co ja, nie powinien gadać o grzechu. Zresztą już ci mówiłem, że dałem komuś w cza pę. Niejednemu. Ale nigdy nie zabiłem nikogo, kto na to nie zasługi wał. Patrzę na to w ten sposób: facet, który umiera, zanim jest mu to przeznaczone, automatycznie dostaje rozgrzeszenie. Grzechy, które po pełnił, przestają się liczyć. Bóg pozwolił mu na nie, ponieważ wiedział, że nie da mu czasu na pokutę. Dlatego jeśli kogoś zabijam, to tak na prawdę oszczędzam mu mąk piekielnych. W pewnym sensie zrobiłem dla tych gości więcej niż sam papież. I myślę, że Bóg o tym wie. Ale to nie mój interes. Bardzo cię lubię. Masz jaja. Żeby się odważyć na to, co ty, trzeba mieć jaja. Ale to... to jest coś zupełnie innego.

- O nic nie proszę. To moja wolna wola.

Magliore przewrócił oczami.

- Jezus, Mario, Józefie Święty! Dlaczego nie dasz mi spokoju?

- Ponieważ masz coś, czego potrzebuję.

- Bóg mi świadkiem, że wolałbym tego nie mieć.

- Pomożesz mi?

- Nie wiem.

- Mam już pieniądze. Albo wkrótce będę mieć.

- Nie chodzi o forszę. To kwestia zasad. Nigdy przedtem nie robiłem interesów z takim świrem. Muszę się zastanowić. Zadzwoń.

Bart uznał, że niedobrze byłoby dalej naciskać, i wyszedł.

Właśnie wypełniał formularz, kiedy przybyli ludzie Magliorego. Przyjechali białą furgonetką z napisem TELEWIZORY RAYA, SPRZEDAŻ I NAPRAWA pod tańczącym telewizorem z szerokim uśmiechem na ekranie. Dwaj faceci w zielonych kombinezonach i wypchanych walizeczkach. W walizeczkach znajdowały się czerwone narzędzia do naprawy telewizorów, ale także kolekcja innych przyrządów. „Posprzątali” jego dom. Zajęło to półtorej godziny. Znaleźli pluskwy w obu telefonach, jedną w jego sypialni, jedną w jadalni. W garażu nie, co sprawiło mu dużą ulgę.

- Dranie - powiedział, trzymając w dłoni lśniące aparaciki. Upuścił je na dywan i rozgniół obcasem.

Wychodząc, jeden z facetów spytał nie bez podziwu:

- Aleś pan przykopa! w ten telewizor. Ile razy?
- Raz - odparł.

Odjechali w zimne popołudniowe słońce, a on zmiótł pluskwy na szufelkę i wyrzucił ich chrzęszczące, migoczące szczątki do kosza. Po-tem zrobił sobie drinka.

9 STYCZNIA 1974

O wpół do trzeciej w banku było niewiele osób. Podszedł od razu do jednego ze stanowisk na środku, dzierżąc w dłoni czek kasjerski. Wy-darł jeden czek ze swojej książeczki i wypisał na nim wpłacaną kwotę: 34 250 dolarów. Podszedł do okienka, podsunął kasjerce czek i blan-kiet wpłaty.

Kasjerka, młoda dziewczyna z włosami czarnymi jak grzech, w krót-kiej fioletowej sukience i nylonowych pończochach, na których widok sam papież wykonałby prezentuj broń, spojrzała na czek, blankiet i znowu na czek, bardzo zdziwiona.

- Coś jest nie tak z czekiem? - spytał troskliwie. Musiał przyznać, że bawił się doskonale.

- Neeee, ale... chce pan zdeponować 34 250 i wypłacić 34 250 go-tówką? Dobrze zrozumiałam?

Skinął głową.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Uśmiechnął się i skinął głową. Dobrze przyjrzał się jej nogom, kie-dy wstała i poszła do biurka kierownika znajdującego się za ogrodze-niem, choć nieoszkłonym, jakby miało to znaczyć, że jest takim samym człowiekiem jak ty i ja... albo prawie takim samym. Kierownik był mło-dzieżowo ubranym mężczyzną w średnim wieku. Twarz miał wąską jak brama do nieba, a kiedy patrzył na kasjerkę w fioletowej sukience, uno-sił wysoko brwi.

Przedyskutowali sprawę czeku, blankietu, ich wpływu na bank i pew-nie całą bankowość w kraju. Dziewczyna pochyliła się nad biurkiem, spódniczka podjechała jej do góry, ukazując obszyty koronką śliwkowy skrawek materiału. O, miłości, miłości, beztroska miłości, pomyślał. Chodź ze mną, a będziemy figlować do końca wieku albo dopóki nie zbu-rzą mi domu. Uśmiechnął się na tę myśl. Dostał erekcji... no, pseudoerek-cji. Odwrócił wzrok od dziewczyny i rozejrzał się po banku. Strażnik, prawdopodobnie emerytowany policjant, stał apatycznie między sejfem

a frontowymi drzwiami. Jakaś starsza pani pracowicie kwitowała wypłatę renty. A na ścianie po lewej wisiał wielki plakat z fotografią Ziemi widzianej z przestrzeni kosmicznej, wielki błękitnozielony klejnot osadzony na czarnym polu. Nad planetą wielkie litery układały się w słowo:

ODJEDŹ

A pod planetą, nieco mniejszymi literkami:

Z WAKACYJNYM KREDYTEM NASZEGO BANKU

Ładna kasjerka już wróciła.

- Będę musiała panu wypłacić w pięćsetkach i setkach.
- Doskonale.

Wypisała pokwitowanie depozytu, a potem poszła do skarbcza. Wróciła z małą walizeczką. Powiedziała coś do strażnika, który poszedł z nią. Strażnik przyjrzał mu się podejrzliwie.

Kasjerka odliczyła trzy kupki po dziesięć tysięcy dolarów, dwadzieścia pięćsetdolarówek w kupce. Każdą opasała banderolą, pod banderolę wsunęła wydruk z maszyny do liczenia. Na wszystkich kwitkach widniało:

10 000 \$

Odliczyła czterdzieści dwie setki, szybko przewracając banknoty prawym palcem wskazującym. Na tej kupce położyła jeszcze pięć banknotów dziesięciolodolarowych. Opasała ją banderolą i wsunęła pod nią kwitek z maszyny do liczenia, na którym widniało:

4250\$

Cztery kupki leżały jedna obok drugiej, a oni przyglądali się im podejrzliwie. Tyle pieniędzy, można by kupić dom albo pięć cadillaców, albo mały samolot, albo prawie sto tysięcy kartonów papierosów.

Potem kasjerka odezwała się niepewnie:

- Mogę dać panu torbę...
- Nie, tak jest dobrze. - Zgarnął paczki i wrzucił je do kieszeni płaszcza. Strażnik przyglądał się temu kawalerskiemu podejściu do jego *raison d'être* ze spokojną pogardą, ładna kasjerka była zafascynowana (równoważność jej wynagrodzenia za pięć lat zniknęła jakby nigdy nic w kieszeniach wymiętego płaszcza i nawet ich nie wydeła), kierownik patrzył na niego z ledwie ukrywaną odrazą, ponieważ bank jest miejscem, gdzie pieniądze mają być jak Bóg, ukryte przed ludzkim okiem i traktowane z rewerencją.

- Dobra - powiedział, wpychając książeczkę czekową w ślad za paczkami banknotów. - Spoko.

Wyszedł, a oni wszyscy odprowadzili go wzrokiem. Starsza pani przykuśtykała do kasjerki i pokazała jej prawidłowo podpisany blankiet wypłaty. Ładna kasjerka dała jej dwieście trzydzieści pięć dolarów i sześćdziesiąt trzy centy.

Po powrocie do domu wrzucił pieniądze do zakurzonego kufla w kuchennej szafce. Kufel był prezentem, jaki Mary dała mu dla żartu pięć lat temu. Nigdy nie poświęcał mu za wiele uwagi, wolał pić piwo z butelki. Na kuflu znajdował się emblemat, przedstawiający znicz olimpijski oraz słowa:

PIWNA REPREZENTACJA USA

Odstawił kufel, teraz napełniony czymś znacznie bardziej uderzającym do głowy, i poszedł na górę do pokoju Charliego, gdzie stało jego biurko. Poszperał w najniższej szufladzie i znalazł małą szarą kopertę. Siadł przy biurku, przejrzał książeczkę czekową i przekonał się, że ma na koncie 35 053 dolary i 49 centów. Zaadresował kopertę do Mary, na ręce jej rodziców, wsunął do środka książeczkę czekową, zakleił i znowu zaczął szperać w biurku. Znalazł znaczki pocztowe i przykleił na kopercie pięć za osiem centów. Przyglądał się przez chwilę swemu dziełu, a potem napisał pod adresem

PRZESYŁKA PIERWSZEJ KLASY

Zostawił kopertę na biurku i wrócił do kuchni, gdzie zrobił sobie drinka.

10 STYCZNIA 1974

Był późny wieczór, padał śnieg, Magliore ciągle nie dzwonił, a on siedział w salonie z drinkiem, słuchał stereo, ponieważ telewizor nadal wyglądał jak ofiara wojny. Tego dnia wziął z kufla dwie dziesięciodolarówki i kupił cztery płyty z rock and roilem. Jedna z nich, Rolling Stonesów, nosiła tytuł „Let It Bleed”. Słyszał to na imprezie i podobało mu się bardziej niż inne, te melancholijne. Jedna płyta grupy Crosby, Stills, Nash i Young była tak smutasowata, że złamał ją na kolanie. Ale „Let It Bleed” tętniło głośną, zdyszana, pożądliwą muzyką, pełną wrza-

sku i brzęku. Bardzo mu się podobała. Przypominała mu „Let's Make a Deal”, nagrane w Monte Hall. Mick Jagger śpiewał:

*Każdy potrzebuje kogoś, kto go kręci, a
jeśli chcesz, ja mogę kręcić ciebie.*

Pomyślał o plakacie z banku, na którym widniała cała Ziemia, dziwna i nowa, wraz z tekstem, który mówił odbiorcy: ODJEDŹ. Przypominał sobie o sylwestrowym odjeździe. Stare dzieje.

Ale było fajnie!

Ta myśl nim wstrząsnęła.

Przez ostatnie dwa miesiące snuł się po świecie jak pies, któremu drzwi przytrzasnęły jaja. Ale czy los mu tego nie wynagrodził?

Zrobił rzeczy, na które nigdy by się nie odważył. Podróże po autostradzie, bezmyślnie i swobodnie jak migracja ptaków. Dziewczyna i seks, dotyk jej piersi, tak różnych od piersi Mary. Rozmowa z facetem, który pracował dla mafii. I to, że ten facet wreszcie go uznał za poważnego partnera. Zakazane szczęście, kiedy rzucał bomby, i mgliste przerażenie, jakby tonął, kiedy wydawało mu się, że samochód nie zdoła pokonać wzniesienia i wywieźć go z miejsca zbrodni. Intensywne emocje wydobyte z jego suchej urzędniczej duszyczki jak relikty mrocznej religii z archeologicznych wykopków. Poznał, co to znaczy naprawdę żyć.

Oczywiście były także złe rzeczy. Wtedy, gdy stracił panowanie nad sobą u Andy'ego, kiedy nawrzeszczał na Mary. Szarpiąca serce samotność tych pierwszych dwóch tygodni, gdy po raz pierwszy od dwudziestu lat został zupełnie sam, mając do towarzystwa tylko przeraźliwe, śmiertelne bicie własnego serca. To, jak uderzył go Vinnie - Vinnie Mason, akurat on! Okropny kac lękowy następnego dnia po podpaleniu maszyn. To przede wszystkim.

Ale nawet te rzeczy, choć niezaprzeczalnie złe, były dla niego nowe i w pewien sposób ekscytujące, jak myśl o tym, że mógłby oszaleć. Ślady w wewnętrznym obszarze, po którym przechadzał się (czy pełzał?) przez ostatnie dwa miesiące, odcisnęły się na dziewiczym śniegu. Poznawał siebie, a jeśli to, co odkrywał, było banalne, zdarzały się też rzeczy straszne i piękne.

Wrócił myślami do OHvii takiej, jaką widział po raz ostatni, gdy stała przy autostradzie z napisem LAS VEGAS... ALBO ŚMIERĆ!, ostentacyjnie godzącym w obojętność. Pomyślał o plakacie: ODJEDŹ. Cemu nie? Nic go tu nie trzymało, najwyżej paskudna obsesja. Nie miał

żony ani dziecka - tylko jego ducha - nie miał pracy, a dom za półtora tygodnia stanie się niedomem. Miał gotówkę i legalnie kupiony samochód. Czemu w niego nie wsiąść i nie odjechać?

Chwyciło go jakieś dzikie podniecenie. Oczami wyobraźni zobaczył, jak gasi światło w domu, wsiada do LTD i jedzie do Las Vegas z kieszeniami pełnymi forsy. Jak znajduje Olivię. Jak jej mówi: słuchaj, ODJEDŹMY. Jak jadą do Kalifornii, sprzedają samochód, wsiadają w samolot. I do Hongkongu, a stamtąd do Sajgonu, Bombaju, Aten, Madrytu, Paryża, Londynu, Nowego Jorku. A potem...

Tutaj?

Kula ziemiska jest kulą, to straszna prawda. Olivia chciała się wyrwać z gówna, po czym pierwszego dnia na nowej ścieżce wzięła prochy i została zgwałcona, ponieważ nowa ścieżka jest taka sama jak stara, to właściwie ta sama stara ścieżka, która biegnie dookoła kuli ziemskiej, aż wydep-czesz ją tak, że koleiny stają się za głębokie, nie możesz się z nich wygramolić, a wtedy pora zamknąć garaż, uruchomić silnik i czekać... tylko czekać...

Wieczór ciągnął się jak guma do żucia, jego myśli krążyły jak pies za własnym ogonem. Wreszcie zasnął na kanapie i śnił o Charliem.

11 STYCZNIA 1974

Magliore zadzwonił kwadrans po pierwszej.

- Dobra - powiedział. - Zrobimy ten interes. Będzie cię to kosztować dziewięć tysięcy dolarów. Pewnie się nie rozmyślisz?

- W gotówce?

- Co ma znaczyć to pytanie? Myślisz, że przyjmuję czeki?

- Dobrze, przepraszam.

- Bądź w jutro o dziesiątej wieczorem w kręgielni Revel Lanes.

Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, przy trasie 7. Koło domu towarowego.

- Właśnie. Przy stanowisku szesnastym będzie dwóch facetów w zielonych bluzach ze złotym napisem „Marlin Avenue Firestone”. Przyłączysz się do nich. Jeden ci powie wszystko, o czym powinieneś wiedzieć. Jednocześnie będziecie grać w kręgle. Pograsz przez chwilę, wyjdiesz i pojedziesz do Tawerny Town Linę. Wiesz, gdzie to jest?

-Nie.

- Jedź na zachód trasą 7. Tawerna jest jakiś kilometr od kręgielni, po tej samej stronie. Zaparkuj na tyłach. Moi przyjaciele zaparkują ko-

to ciebie. Będą w furgonetce dodge. Przeniosą skrzynkę do twojego kombi. Dasz im kopertę. Chyba zwariowałem, wiesz? Urwałem się z choinki. Pewnie mnie za to posadzą. Będę miał dużo czasu, żeby się zastanowić, po jakiego grzyba to zrobiłem.

- Chciałbym z tobą porozmawiać w przyszłym tygodniu. Osobiście.

- Nie. Wykluczone. Nie jestem twoim spowiednikiem. Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę nawet z tobą rozmawiać. Prawdę mówiąc, Dawes, nie chcę o tobie nawet przeczytać w gazecie.

- Chodzi o zwykłą inwestycję.

Magliore zamilkł.

- Nie - odezwał się w końcu.

- Nikt cię za to nawet nie tknie. Chcę założyć... fundusz powierniczy.

- Dla żony? -

Nie.

- Wpadnij we wtorek - powiedział Magliore po chwili milczenia. - Może się z tobą spotkam. A może zmadrzeję.

Odłożył słuchawkę.

W salonie pomyślał o OHvii i o życiu - te dwa tematy ostatnio mu się kojarzyły. Pomyślał o ODJEŹDZIE. Pomyślał o Charliem i nie potrafił sobie już przypomnieć jego twarzy, z wyjątkiem tej z fotografii. Jak to możliwe?

Wstał, nagle zdecydowany, podszedł do telefonu i znalazł na Żółtych Stronach słowo PODRÓŻE. Wykreślił numer. Ale kiedy po drugiej stronie linii miły kobiecy głos powiedział:

- Biuro podróży Arnold, w czym mogę pomóc? - odłożył słuchawkę i cofnął się gwałtownie, ocierając ręce.

12 STYCZNIA 1974

Kręgielnia Revel Lanes okazała się podłużnym, oświetlonym jarzeniówkami budynkiem, który trzęsł się od wesołej muzyczki, nagrań z szafy grającej, krzyków i rozmów, jazgotu dzwonek przy automatycznych piłkarzykach, szczekania automatów do gier, a nade wszystko klekotu upadających kręgli i głośniego, przeciągłego grzmotu toczących się wielkich czarnych kul.

Podszedł do kontuaru, wziął parę biało-czerwonych butów do gry (które szatniarz ceremonialnie popsikał środkiem dezynfekcyjnym w sprayu, zanim oddał mu je pod opiekę) i ruszył do stanowiska 16.

Dwaj mężczyźni już tam byli. Jeden, rzucający kulę, był mechanikiem, który podczas jego pierwszej wizyty w „Używanych Samochodach Magliorego” wymieniał tłumik. Facet siedzący przy stoliku był jednym z gości, którzy przyjechali do jego domu w furgonetce sprzedawcy telewizorów. Pił piwo z papierowego kubka. Obaj spojrzeli na niego.

- Jestem Bart - powiedział.

- Jestem Ray - odparł mężczyzna przy stoliku. - A ten tam - mechanik właśnie robił zamach - to Alan.

Kula opuściła dłoń Alana i pogrzmiała, sunąc torem. Kręgle rozprysnęły się na wszystkie strony, a potem Alan mruknął coś z obrzydzeniem. Dwa kręgle nadal stały spokojnie. Usiłował strącić je drugą kulą. Znowu mruknął z obrzydzeniem.

- Po jednej - upomniał go Ray. - Zawsze po jednej. Kto ty niby jesteś, Billy Welu?

- Nie podkręciłem kuli. Jakbym trochę podkręcił... Cześć, Bart.

- Cześć.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Miło cię widzieć - powiedział Alan. A do Raya: - Zacznijmy od początku, niech Bart też zagra. Już i tak mnie wykończyłeś.

- Jasne.

- Zaczynaj, Bart.

Ostatni raz grał w kręgle chyba pięć lat temu. Wybrał dwunastofuntową kulę, która dobrze pasowała mu do ręki, i rzucił ją w lewy rowek. Patrzył na nią i czuł się jak debil. Przy następnej był ostrożniejszy, ale i tak trafił tylko trzy. Ray zrobił strike. Alan zbił dziewięć kręgli, a potem jednego.

Po pięciu kolejkach Ray miał 89 punktów, Alan 76, Bart 40. Mimo to podobało mu się, że czuje pot na plecach i ból w mięśniach, które rzadko miały okazję, żeby się popisać.

Gra tak go wciągnęła, że przez chwilę nie miał pojęcia, o czym mówi Ray.

- To się nazywa malgłinit.

Odwrócił się, nie rozumując nieznanego słowa. Potem zrozumiał. Alan był parę kroków dalej, trzymał kulę i patrzył ze skupieniem na dwa samotne kręgle.

- Aha - powiedział.

- Jest w laskach, mają po osiem centymetrów długości. Czterdzieści sztuk. Każda ma sześciokrotną moc laski dynamitu.

- O - powiedział i nagle zrobiło mu się niedobrze. Alan rzucił i skończył wysoko w powietrze, kiedy kula zbiła oba kręgle.

Rzucił, zbił siedem kręgli i znowu usiadł. Potem był Ray. Alan podszedł do wybiegu i dotknął kuli brodą, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na wypolerowany tor.

- Masz dwanaście metrów lontu. Wybucha pod wpływem ładunku elektrycznego. Możesz go dotknąć lutownicą i stopnieje. I... - o, dobrze! Dobrze, Al!

Al strącił wszystkie kręgle jednym uderzeniem. Wstał, rzucił dwie kule, które wpadły w rowek i znowu usiadł. Potem rzucał Ray.

Kiedy Al stanął przed torem, Ray podjął wątek:

- Musisz mieć prąd, z akumulatora. Chwytasz?
- Tak. - Spojrzał na swój wynik. 47. O siedem więcej niż ma lat.
- Możesz poodcinać kawałki lontu, spleść je razem i otrzymać jednoczesny wybuch, chwytasz?

-Tak.

Alan znowu strącił wszystkie kręgle za jednym razem.

Wrócił, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Nie ufaj tym brooklynom, chłopcze - rzucił Ray.

- Wypchaj się. Zostało mi tylko osiem punktów.

Rzucił, strącił sześć, usiadł, Ray znowu rzucił. Miał 116 punktów pod koniec rundy.

Kiedy wrócił na miejsce, Ray spytał:

- Masz jakieś wątpliwości?
- Nie. Mogę wyjść pod koniec tej gry?
- Jasne. Ale nic by ci się nie stało, gdybyś trochę poćwiczył. Ciągłe skręcasz rękę, na tym polega twój problem.

Alan wykonał brooklyna, dokładnie tak samo jak wcześniej, ale tym razem zostały mu dwa kręgle i wrócił bardzo zły.

- Mówiłem ci, żebyś nie ufał tym kurwom - powiedział Ray z uśmiechem.

- Spadaj - warknął Alan. Poszedł po drugą kulę; ona także trafiła do rowka.

- Niektórzy... - zaczął Ray i parsknął śmiechem. - Jak Boga kocham, niektórzy nigdy nie mądrzeją, wiesz? Jak Boga kocham.

Nad tawerną Town Linę wisiał wielki czerwony neon, mający w pogardzie kryzys energetyczny. Mrugał i gasł z bezmyślną, wieczną pewnością siebie. Pod czerwonym neonem znajdowała się biała markiza, na której widniało:

DZIŚ
FANTASTYCZNE OSTRYGI
PROSTO Z BOSTONU

Po prawej stronie znajdował się wyboisty parking pełen samochodów sobotnich klientów. Z bliska okazało się, że otacza tawernę i ma kształt litery L. Na zapleczu zostało parę wolnych miejsc. Zajął to, które miało obok wolną przestrzeń, zgasił silnik i wysiadł.

Noc była nieludzko zimna -jedna z tych, kiedy nie czuje się niebezpieczeństwa, dopóki uszy nie zdrętwieją ci na kamień w ciągu pierwszych piętnastu sekund. Na niebie migotał miliard olśniewających gwiazd. Z tawerny dobiegały dźwięki; to Fantastyczne Ostrygi grały „After Midnight”. To piosenka J.J. Cale'a, pomyślał i zastanowił się, skąd mu się wzięła ta bezużyteczna informacja. Zdziwiał, jak szybko ludzki umysł wypełnia się takimi śmieciami. Pamiętał, kto napisał „After Midnight”, ale nie potrafił sobie przypomnieć twarzy własnego zmarłego syna. To okrutne.

Furgonetka dodge'a stanęła obok jego kombi; Ray i Alan wysiedli. Teraz występowali jako przedstawiciele handlowi, obaj w grubych rekawiczkach i wojskowych parkach.

- Masz dla nas pieniądze - powiedział Ray.

Wyjął kopertę z kieszeni płaszcza. Ray otworzył ją, przejrzał banknoty, oceniając ich liczbę.

- Dobrze. Otwórz bagażnik.

Otworzył tył (który w broszurach fordą nazywał się Magicznymi Wrotami), a tamci dwaj wyjęli z furgonetki ciężką drewnianą skrzynię i zataszczyli ją do jego samochodu.

- Lont jest na dole - wyjaśnił Ray, wypuszczając nosem białe pióropusze pary. - Pamiętaj, prąd. W przeciwnym razie będziesz se to mógł zapalić jak świeczki na choince.

- Pamiętam.

- Powinieneś częściej grać w kręgle. Masz niezłą rękę.

Wsiedli do furgonetki i odjechali. Po paru chwilach on także odjechał, zostawiając Fantastyczne Ostrygi samym sobie. Uszy mu zlodowaciały, a kiedy ciepło zaczęło je rozmrażać, poczuł w nich mrowienie.

Po powrocie do domu zaniósł skrzynkę do domu i podważył wieko śrubokrętem. Towar w środku wyglądał tak, jak powiedział Ray, jak

szarawe świece woskowe. Pod świecami i warstwą papieru gazetowego spoczywały dwa grube białe zwoje lontu. Zwoje lontu związane plastikowymi sznurkami, takimi samymi, jakimi zawiązywał torby ze śmieciami.

Postawił skrzynię w szafie w salonie i usiłował o niej zapomnieć, ale wydzieląta jakieś złe prądy, które zaczęły emanować z szafy na cały dom, jakby w tym miejscu przed wielu laty wydarzyło się coś strasznego, co powoli i nieubłaganie napiętnowało wszystko wokół.

13 STYCZNIA 1974

Pojechał na Landing Strip i zaczął się płatać po ulicach, wypatrując kawiarni Drake'a. Zobaczył stłoczone czynszowe kamienice, ściśnięte jedna przy drugiej i tak zniszczone, że chyba by się zawaliły, gdy zabrano otaczające je budynki. Na każdym dachu jeżył się las anten telewizyjnych, rysujących się na tle nieba jak włosy stojące dęba. Bary, zamknięte do południa. Zdewastowany samochód na środku bocznej uliczki, bez opon, bez reflektorów, bez felg, jak wypalony słońcem szkielet krowy na środku Doliny Śmierci. W rynsztokach migotało szkło. Wszystkie lombardy i sklepy z alkoholem miały kraty w oknach. Oto czego się nauczyliśmy po zamieszkach rasowych sprzed ośmiu lat. Jak się bronić przed szabrem. W połowie Venner Street ujrzał małą wystawę z szyldem, wypisanym staroświeckimi literami..Na szyldzie widniało:

KAWIARNIA „WPADNIJ DO MAMY”

Zaparkował, zamknął samochód i wszedł do środka, gdzie siedziało tylko dwóch klientów: czarny chłopak w za dużym groszkowym płaszczu - chyba przysnął - i stary biały pijaczek, pociągający kawę z kubka z grubego białego fajansu. Ręce drżały mu mimowolnie za każdym razem, gdy podnosił kubek do ust. Skóra pijaczka miała żółty odcień, a kiedy podniósł głowę, ukazały się jego udręczone oczy, jakby w tym śmierdzącym więzieniu był uwięziony inny, dobry człowiek, siedzący zbyt głęboko, by móc się wygrzebać.

Drakę siedział za ladą na tyłach sklepu, koło dwupalnikowej kuchenki. W jednym dzbanku miał gorącą wodę, w drugim czarną kawę. Na ladzie stało pudełko po cygarach z paroma drobnymi monetami. Na szarym papierze widniały dwa napisy ołówkiem. Jeden:

MENU

| | |
|----------------------------|------------------|
| <i>Kawa</i> | <i>15 centów</i> |
| <i>Herbata</i> | <i>15 centów</i> |
| <i>Napoje</i> | <i>25 centów</i> |
| <i>Makaron po bolońsku</i> | <i>30 centów</i> |
| <i>Kanapka</i> | <i>25 centów</i> |
| <i>Hot dog</i> | <i>35 centów</i> |

I drugi:

PROSZE, ZACZEKAĆ NA KELNERA!

*W naszej kawiarni pracują OCHOTNICZY.
Kiedy sam się obsługujesz, czują się jak lenie i idioci.
Zaczekaj i pamiętaj, że BÓG CIĘ KOCHA!*

Drakę podniósł głowę znad obszarpanego komiksu. Przez chwilę jego oczy miały ten dziwny mglisty połysk jak u człowieka, który nie potrafi sobie skojarzyć nazwiska. Potem powiedział:

- Pan Dawes! Jak leci?
 - Dobrze. Mogę prosić o kawę?
 - Oczywiście. - Drakę zdjął jeden fajansowy kubek z dwupiętrowej piramidy za swoimi plecami i nalał do niego kawy. - Z mlekiem?
 - Czarną. - Podał mu ćwierćdolarówkę, a Drakę wydał mu dziesięć centów z pudełka po cygarach. - Chciałem podziękować za tamto i wpłacić datek.
 - Nic nie zrobiłem.
 - Przeciwnie. Tamta impreza miała niedobłą atmosferę.
 - Prochy tak działają. Nie zawsze, ale czasem. Pewni chłopcy przyprowadzili tu przyjaciela, który wziął kwas w parku. Dostał ataku histerii, bo wydawało mu się, że gonią go gołębie, które chcą go zadziobać. Jak makabreska z „Reader's Digest”, co?
 - Dziewczyna, od której dostałem meskalinę, wydobyła kiedyś ze zlewu czyjaś rękę. Do dziś nie wie, czy to się zdarzyło naprawdę.
 - Co to za dziewczyna?
 - Właściwie nie wiem - odparł zgodnie z prawdą. - Więc... proszę. - Położył obok pudełka po cygarach okręcony gumką zwitek banknotów.
- Drakę zmarszczył brwi i przyjrzał się pieniądzom, nie dotykając ich.
- To na kawiarnię - dodał on. Był pewien, że Drakę to rozumie, ale musiał przerwać to milczenie.

Drakę zsunął gumkę, trzymając banknoty lewą ręką, a manipulując prawą, tak dziwnie zniekształconą bliznami. Odłożył gumkę i powoli przeliczył pieniądze.

- Tu jest pięć tysięcy dolarów. -

Tak.

- Czy mogę zapytać, skąd...

- Skąd je wziąłem? Oczywiście. Sprzedałem dom miastu. Zbudują na jego miejscu autostradę.

- Twoja żona się zgadza?

- Moja żona nie ma tu nic do powiedzenia. Jesteśmy w separacji. Wkrótce rozwód. Dostała połowę sumy i może z nią robić, co się jej spodoba.

- Ach tak.

Stary pijak zaczął mruzczyć; nie była to żadna melodia, po prostu mruzczał pod nosem.

Drakę niechętnie trącił banknoty palcem. Same się zwijały od długiego leżenia w rolce.

- Nie mogę ich przyjąć - rzekł w końcu.

- Dlaczego?

- Nie pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

Pamiętał.

- Nie planuję tego.

- A ja myślę, że tak. Człowiek, który stoi obiema nogami na tym świecie, nie rozdaje pieniędzy dla kaprysu.

- To nie jest kaprys - odparł twardo.

Drakę rzucił mu ostre spojrzenie.

- A jak to nazwiesz? Przelotną znajomością?

- Dawałem już pieniądze ludziom, których nie widziałem na oczy. Na badania nad rakiem. Na biedne dzieci. Na szpital w Bostonie dla chorych na zanik mięśni. Nawet nie byłem w tym Bostonie!

- To były równie duże sumy?

-Nie.

- W dodatku gotówka, drogi panie. Człowiek, który ma na co wydać pieniądze, nie chce ich widzieć. Płaci czekami, podpisuje dokumenty. Nawet w pokera gra na żetony. To symbol. W naszym społeczeństwie człowiek, który nie ma na co wydać pieniędzy, nie ma po co żyć.

- To cholernie materialistyczny pogląd jak na...

- Księdza? Nie jestem już księdzem. Od tego czasu. - Uniósł zrytą bliznami, okaleczoną dłoń. - Mam ci powiedzieć, jak zdobywam pienią-

dze, żeby utrzymać kawiarnię? Pojawiliśmy się za późno, żeby się załapać na miejską dobroczynność. Ludzie, którzy tam pracują, to emeryci, są za starzy, nie rozumieją dzieciaków, które tu przychodzą, a pracują dlatego, że chcą mieć w życiu inne rozrywki niż tkwienie w oknie i gapienie się na ulicę. Mam tu małaolatów po poprawczaku; zakładają kapele i grają za darmo na piątkowych i sobotnich imprezach, dopiero zaczynają i potrzebna im reklama. Zbieramy pieniądze do kapelusza. Ale najwięcej kasy płynie od bogaczy z towarzystwa. Robię obchody. Przemawiam na herbatkach. Opowiadam o dzieciakach na gigancie i o wariatach, którzy śpią pod wiaduktami i rozpalają ogniska z gazet, żeby nie zamarznąć w zimie. Opowiadam o piętnastolatce, która od 1971 była na ulicy i która przyszła tutaj z głową i włosami łonowymi pełnymi wielkich białych gnid. Opowiadam im o ćpunach z Norton. Opowiadam o poławiaczach, facetach, którzy kręcą się po dworcach autobusowych, wyławiając chłopców na gigancie i proponując im pracę męskiej prostytutki. Opowiadam im o każdym chłopaku, który kończy, obciążając jakimś facetowi w kinowym kiblu za dziesięć dolarów albo za piętnaście, jeśli obieca, że połknie. Pięćdziesiąt procent dla niego, pięćdziesiąt dla alfonsa. A te panie, oczy robią się im przerażone, a potem jakby się rozplęwały, podejrzewam, że między nogami robi się im mokro i gorąco, ale płacą, a to jest najważniejsze. Czasami zdarza się taka, która daje więcej niż dziesięć dolarów. Zaprasza cię na kolację do domu, przedstawia rodzinie i zmusza do odmówienia modlitwy przed jedzeniem, kiedy pokojówka wniesie supę. No i odmawiasz tę modlitwę, choćby słowa zostawały ci w ustach jak najgorszy smak, potem głaszczesz ich dziecko po główce - zawsze mają jedno, Dawes, tylko jedno, nie tak jak te cholerne dziecioroby w naszej dzielnicy, które z trudem mieszczą bachory w wynajętej melinie - i mówisz: ach, jakiego tu macie przystojnego młodego człowieka albo jaką ładną panienkę, a jeśli szczęście ci dopisze, pani domu zaprasza jakiegoś kolesia od brydża czy z klubu, żeby sobie obejrzał ulicznego kaznodzieję, który prawdopodobnie jest radykałem i sprzedaje broń Panterom czy Algierskiej Lidze Wolności, a ty odgrywasz dobrego proboszcza i uśmiechasz się, aż cię bolą policzki. Wszystko to nazywa się otrząsaniem pieniężnego drzewka i robi się to w najwytworniejszy sposób na świecie, ale kiedy wracasz do domu, mimo wszystko czujesz się tak, jakbyś na kolanach obciągnął fiuta jakiemuś biznesmenowi w kinowym kiblu. Ale co tam, tak ma być, to moja pokuta, wybacz, że użyję tego słowa. Tylko że moja pokuta nie obejmuje nekrofilii, a czuję, że to właśnie mi proponujesz. Dlatego muszę odmówić.

- Za co ta pokuta?
 - A... - powiedział Drake i uśmiechnął się krzywo - ...to już sprawa między mną a Bogiem.
 - Więc czemu wybrałeś tę finansową metodę, skoro jest dla ciebie tak odrażająca? Dlaczego nie...
 - Ponieważ to jedyny sposób. Nie mam innego wyjścia.
- Nagle w okropnym zimnym tchnieniu rozpaczy zdał sobie sprawę, że Drake wyjaśnił mu, dlaczego tu przyszedł, dlaczego zrobił to, co zrobił.
- Jak się czujesz? Wyglądasz, jakbyś...
 - Wszystko w porządku. Chcę ci życzyć szczęścia. Nawet jeśli nic nie osiągniesz.
 - Nie mam złudzeń - odparł Drake z uśmiechem. - Musisz się jeszcze zastanowić... nic drastycznego. Są inne sposoby.
 - Są? - Też się uśmiechnął. - Zamknij tę budę. Chodź ze mną, będziemy razem robić interesy. To jest poważna propozycja.
 - Żartujesz sobie ze mnie.
 - Nie. Ale może ktoś żartuje z nas obu. - Odwrócił się, zwinął pieniądze na powrót w krótki, ścisły rulon. Mały nadal drzemał. Stary odstawiał kubek z niedopitą kawą i wpatrywał się w nią pustym wzrokiem. Wciąż mrucał. W drodze do wyjścia wsadził rulon pieniędzy w kubek starego, rozbryzgując fusy na stół. Wyszedł szybko, otworzył samochód. Spodziewał się, że Drake wybiegnie za nim, skarci go, może go uratuje. Ale Drake nie wyszedł. Może czekał, żeby sam wrócił i się uratował.
- A on wsiadł do samochodu i odjechał.

14 STYCZNIA 1974

Poszedł do sklepu Searsa, kupił akumulator i dwa przewody ruchowe. Wrócił do domu i schował zakupy do szafy, obok drewnianej skrzynki. Pomyślał, co by się stało, gdyby odwiedzili go policjanci z nakazem rewizji. W garażu broń, w salonie materiały wybuchowe, w kuchni mnóstwo kasy. B.G. Dawes, rewolucjonista z konieczności. Tajny agent X-9 na zółdzie zagranicznych karteli, zbyt ohydnych, by o nich wspominać. Prenumerował „Rider's Digest”, pełen historii o szpiegach i niekończących się kampaniach - antynikotynowych, antypornograficznych, antyprzestępczych. Zawsze bardziej się boimy, kiedy szpiegiem okazuje się przyzwoity biały Amerykanin, jeden z nas. Agenci KGB z Wilmette czy Des Moines przekazują sobie mikrofil-

my w osiedlowej bibliotece, krwawy przewrót planują w kinach samochodowych, a big maca jedzą z fiolką cyjanku potasu pod ręką.

Tak, wystarczy nakaz rewizji i mają go na widelcu. Ale nie czuł prawdziwego strachu. Tę granicę już przekroczył.

15 STYCZNIA 1974

- To mów, czego chcesz - odezwał się Magliore zmęczonym głosem.

Na dworze padał śnieg z deszczem; dzień był szary i smętny, w taki dzień autobusy suną przez mdłe, sine okolice, bryzgając na wszystkie strony śnieżną breją i wyglądają jak maniakalno-depresyjna wizja, w której samo życie wydaje się ciut nienormalne.

- Mojego domu? Samochodu? Żony? Dam wszystko, tylko się wreszcie odwal i daj mi się zestarzeć w spokoju.

- Wiem, że się narzucam - powiedział z zażenowaniem.

- Wie, że się narzuca - przekazał Magliore ścianom. Uniósł obie ręce i opuścił je na pękate uda. - To dlaczego, w imię Boże, nie przestasz?

- To już ostatnia rzecz.

Magliore przewrócił oczami.

- To dopiero będzie śliczne - zwierzył się ścianom. - O co chodzi?

Wyjął banknoty.

- To osiemnaście tysięcy dolarów. Trzy tysiące dla ciebie. Za odszukanie pewnej osoby.

- Kogo?

- Pewnej dziewczyny z Las Vegas.

- Te piętnaście patyków to dla niej?

- Tak. Chciałbym, żebyś je wziął i zainwestował w te swoje operacje finansowe, w które warto zainwestować. A jej płacił dywidendy.

- W legalne operacje?

- W takie, z których będą najlepsze dywidendy. Decyzję pozostawiam tobie.

- Decyzję pozostawił mnie - poinformował ściany Magliore. - Vegas jest duże. I przelotowe.

- Nie masz tam żadnych znajomych?

- A i owszem. Ale jeśli mówimy o jakiejś nedorobionej hipisce, która może być już w pół drogi do San Francisco lub Denver...

- Posługuje się nazwiskiem Oliyia Brenner. I chyba jest jeszcze w Las Vegas. Ostatnio pracowała w barze szybkiej obsługi...

- Których w Vegas są tak ze dwa miliony. Jezusie, Mario, Józefie Święty.

- Wynajęła mieszkanie z inną dziewczyną, a przynajmniej z nią mieszkała, kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Nie wiem gdzie. Ma mniej więcej metr sześćdziesiąt osiem, dość ciemne włosy, zielone oczy. Dobrą figurę. Dwadzieścia jeden lat. Tak mówiła.

- A jeśli nie zdołam namierzyć tej fantastycznej dupci?

- Zainwestuj pieniądze, a dywidendy zatrzymaj dla siebie. Powiedzmy, że za fatygę.

- Skąd wiesz, że i tak tego nie zrobię?

Wstał, zostawił banknoty na biurku.

- Nie wiem. Ale masz uczciwą twarz.

- Słuchaj, nie mam zamiaru ugryźć cię w tyłek, wystarczy, że inni cię gryzą, lecz to mi się nie podoba. To tak, jakbym był wykonawcą twojej, kurna, ostatniej woli i testamentu.

- Możesz się nie zgodzić.

- Nie, nie, nie, nic nie rozumiesz. Jeśli ta kobitka nadal jest w Vegas i występuje jako OHvia Brenner, chyba ją znajdę i trzy patole wystarczą mi aż nadto. Nic na tym nie tracę. Ale ty mnie przerażasz, Dawes. Zawziąłeś się.

-Tak.

Magliore spojrział ponuro na zdjęcie, które przedstawiało jego, jego żonę i dzieci. Leżało pod szkłem na biurku.

- Dobra - powiedział. - Ale to już ostatni raz. Więcej na mnie nie licz. Skończyło się. Niech cię tylko jeszcze raz zobaczę albo usłyszę, zapomnij, że dotrzymam słowa. Mówię poważnie. Mam dość własnych problemów, nie muszę się babrać w twoich.

- Zgadzą się.

Wyciągnął rękę; nie wiedział, czy Magliore ją uściśnie, a jednak uściśnął.

- Ten świat nie ma sensu - powiedział. - Jeśli masz wątpliwości, pomyśl o suce pana Piazzii.

- Często o niej myślę - odparł Magliore.

16 STYCZNIA 1974

Zaniósł dużą kopertę z książeczką czekową do skrzynki pocztowej i wrzucił ją do środka. Tego wieczora poszedł na film „Egzorcysta”, ponie-

waż grał w nim Max von Sydow, a on zawsze ogromnie podziwiał Maksa von Sydowa. W jednej scenie mała dziewczynka zwymiotowała katolickiemu księdzu w twarz. Widzowie w ostatnim rzędzie zaczęli wiwatować.

17 STYCZNIA 1974

Zadzwoiła do niego Mary. W jej głosie brzmiała absurdalna ulga i radość, dzięki czemu to wszystko poszło o wiele łatwiej.

- Sprzedałeś dom - powiedziała.

- Owszem.

- Ale ciągle tam mieszkasz.

- Do soboty. Wynająłem duży dom na wsi. Spróbuję się pozbierać.

- Och, Bart... Cudownie! Tak się cieszę! - Teraz zrozumiał, dlaczego idzie mu tak łatwo. Mary udawała. Nie była ani zadowolona, ani niezadowolona. Poddała się. - Słuchaj, ta książeczka czekowa...

- Tak?

- Podzieliłeś pieniądze po połowie, tak?

- Tak. Jeśli chcesz sprawdzić, zadzwoń do pana Fennera.

- Nie. Och, nie o to mi chodziło! - Niemal widział ruch jej rąk, jakby coś od siebie odpędzała. - Chciałam powiedzieć... dzielisz te pieniądze, jakby... czy to znaczy...

Zrobiła mistrzowską pauzę, a on pomyślał: ach, ty suko, tu mnie masz. Strzał w dziesiątkę.

- Tak, chyba tak. Rozwód - powiedział.

- Dobrze się zastanowiłeś? - spytała namiętnie i fałszywie. - Czy naprawdę...

- Bardzo długo się zastanawiałem.

- Ja też. Chyba tylko to nam zostało. Ale nie żywię do ciebie urazy. Nie jestem zła.

Mój Boże, przeczytała chyba wszystkie możliwe romanse. Teraz mi powie, że zamierza wrócić na studia. Zaskoczyła go własna gorycz. Myślał, że ten etap ma już za sobą.

- Co teraz zrobisz?

- Wrócę na studia - powiedziała, a z jej głosu zniknął fałsz; dźwięczało w nim podniecenie takie, że aż lśnił. - Znalazłam moje papiery z uczelni, mamma miała je na strychu razem ze starymi ubraniami i wiesz? Zostały mi tylko dwadzieścia cztery punkty do dyplomu! Bart, to trochę ponad rok!

Widział Mary chodzącą na czworakach po strychu matki i ten obraz zlał mu się z wizją samego siebie, siedzącego w osłupieniu nad stosikiem ubranek Charliego. Odepchnął ją od siebie.

- Bart? Jesteś?

- Tak. Cieszę się, że wolność daje ci tyle radości.

- Bart! - skarciła go.

Nie było już potrzeby, żeby wrzeszczeć, szydzić z niej czyją zawstydząć. Ten etap miał za sobą. Suka pana Piazzi ugryzła i żyje dalej. Wydało mu się, że to śmieszne. Zachichotał.

- Bart, ty płaczesz? - Miała czuły głos. Fałszywy, ale czuły.

- Nie - odparł dzielnie.

- Bart, czy mogę coś zrobić? Jeśli tak, powiedz.

- Nie. Poradzę sobie. I cieszę się, że wracasz na studia. Słuchaj, ten rozwód... kto o niego występuje? Ty czyja?

- Chyba ja, tak będzie lepiej wyglądać - podsunęła nieśmiało.

- Dobrze. Świetnie.

Nastąpiła chwila ciszy i w tę chwilę wdarł się głos Mary, jakby wyrwał się jej wbrew jej woli i zamiarom.

- Spałeś z kimś od naszego rozstania?

Przemyślał to pytanie i ewentualne odpowiedzi: prawda, kłamstwo, unik, który nie pozwoli jej dziś zasnąć.

- Nie - powiedział ostrożnie i spytał: - A ty?

- Skąd. - Udało się jej dobrać ton, w którym zabrzmiał jednocześnie wstrząs i zadowolenie. - Nie mogłabym.

- Z czasem się przełamiesz.

- Bart, nie mówmy o seksie.

- Dobrze - zgodził się potulnie, choć to nie on zaczął tę rozmowę. Ciągle szukał czegoś miłego do powiedzenia, czegoś, co by zapamiętała. Nic mu nie przychodziło do głowy, a poza tym nie wiedział, dlaczego miałyby coś zapamiętać na jego temat. Przynajmniej z tego etapu. Mieli za sobą dobre lata. Z pewnością były dobre, ponieważ nie pamiętał, co się wtedy działo, może z wyjątkiem tej zwariowanej akcji z telewizorem.

- Pamiętasz, jak Charlie po raz pierwszy poszedł do zerówki? - usłyszał własny głos.

- Tak. Rozpłakał się, a ty chciałeś go zabrać. Nie chciałeś go opuścić.

- A ty chciałaś.

Zaczęła protestować nieco urażonym tonem, ale on myślał już tylko o tamtej scenie. Dyrektorką była pani Ricker. Zerówka miała pań-

stwowy certyfikat, a dzieci dostawały smaczny ciepły obiad przed powrotem do domu o pierwszej. Zerówka mieściła się w przerobionej piwnicy; kiedy szli, prowadząc między sobą Charliego, czuł się jak zdrajca, jak gospodarz głoszący krowę w drodze do rzeźni. Piękny chłopiec był z jego syna. Jasne włosy, które później pociemniały, niebieskie, czujne oczy, ręce zwinne już od kołyski. Stał między rodzicami u stóp schodów, stanął jak zakłęty, spojrzął na inne dzieci, które wrzeszczały, biegały, rysowały, robiły wycinanki nożyczkami o tępych noskach, tyle dzieci, a Charlie wyglądał bezbronne jak nigdy, kiedy tak stał i patrzył na te inne dzieci. W jego oczach nie było radości ani strachu, tylko czujność, rodzaj wyobcowania, a on nigdy nie był tak bardzo jego ojcem, nigdy nie zbliżył się tak do jego myśli jak wtedy. A kiedy podeszła pani Ricker, uśmiechnięta jak barakuda i powiedziała: „Chodź, Chuck, będziemy się dobrze bawić”, miał ochotę krzyknąć: „On się tak nie nazywa”. Wyciągnęła rękę, lecz Charlie jej nie ujął, tylko patrzył, więc sama go zagarnęła i pociągnęła w stronę innych dzieci; zrobił dwa kroki, zatrzymał się, obejrzał na nich, a pani Ricker powiedziała bardzo cicho: „Idźcie, będzie dobrze”. Wreszcie Mary musiała go trącić. Syknęła: „No CHODŹŹE”, ponieważ on ciągle stał jak zakłęty i wpatrywał się w syna, którego oczy pytały: „Zrobisz mi to, George?”, a jego oczy odpowiedziały: „Tak, Freddy, chyba zrobię”, po czym ruszył z Mary po schodach, odwrócony plecami do Charliego - najbardziej przerażający widok, jaki może się ukazać oczom dziecka - a Charlie zaczął zawodzić. Ale Mary nie zwołniła kroku, ponieważ miłość kobiety jest dziwna, okrutna i niemal zawsze widzi wszystko wyraźnie, miłość, która nie jest ślepa, to miłość straszna, a Mary wiedziała, że powinna odejść, więc odeszła, lekceważąc płacz chłopca, który był tylko kolejnym etapem jego rozwoju, jak uśmiech zawstydzienia pojawiający się, gdy dziecko puści gazy, czy obite kolana. A on poczuł w piersi ból tak ostry, tak fizyczny, że aż się przestraszył, czy to nie zawał, potem ból minął, a on został, wstrząśnięty i niezdolny do zinterpretowania go, choć teraz wydawało mu się, że ten ból był zwykłym, starym, prozaicznym pożegnaniem. Widok pleców rodziców nie jest najstraszniejszy. Najstraszniejsza jest szybkość, z jaką dziecko zapomina o tych plecach i wraca do swoich spraw - do gier, klocków, nowego kolegi, wreszcie śmierci. To są te straszne rzeczy, które przyszło mu poznać. Charlie zaczął umierać na długo przed tym, nim zachorował, i nikt nie mógł go powstrzymać.

- Bart? - powtórzyła Mary. - Jesteś tam?

- Jestem.
- Co ci z tego przyjdzie, że przez cały czas będziesz myślał o Charliem? Zadręczasz się. Jesteś jego więźniem.
- A ty się uwolniłeś - odparł. - Tak.
- Mam się spotkać z prawnikiem?
- Jasne. Świetnie.
- To nie musi być takie okropne, prawda?
- Nie. Zrobimy to jak ludzie cywilizowani.
- Nie zmienisz zdania?
- Nie.
- Ja... jeszcze zadzwonię.
- Wiedziałaś, że pora go zostawić, i zostawiłaś. Żałuję z całego serca, że nie mam tego instynktu.
- Co?
- Nic. Do widzenia, Mary. Kocham cię. - Dopiero po odłożeniu słuchawki zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Wyrecytował te słowa automatycznie, bez uczucia - werbalny nawyk. Ale nie było to takie najgorsze zakończenie. Wcale nie najgorsze.

18 STYCZNIA 1974

- Kogo mam zaanonsować? - spytała sekretarka.
- Barta Dawesa.
- Zechce pan chwilę zaczekać?
- Oczywiście.

Słuchawka zamilkła; przycisnął ją do ucha, tupiąc nogą i wyglądając przez okno na miasto duchów przy Crestallen Street West. Dzień był słoneczny, lecz bardzo mroźny, minus dziesięć i wiatr, który odejmował kolejne dziesięć stopni. Wicher rozwiewał po ulicy smużki śniegu aż do pogrążonego w martwym milczeniu domu Hobartow - to już tylko pusta skorupa czekająca na wyburzenie. Zdjęli nawet żaluzje.

W słuchawce rozległ się trzask, a po nim głos Steve'a Ordnera:

- Bart, jak leci?
 - Świetnie.
 - Czym mogę służyć?
 - Dzwonię w sprawie pralni. Jestem ciekawy, co korporacja postanowiła w sprawie nowej lokalizacji.
- Ordner westchnął.

- Na to już trochę za późno, nie? - spytał z dobroduszną rezerwą.
- Nie dzwonię, żebyś mi dokopał.
- Dlaczego nie? Ty dokopałeś wszystkim innym. No, nieważne. Zarząd postanowił wycofać się z prowadzenia pralni przemysłowych. Pralnie samoobsługowe zostają, przynoszą zyski. I zmieni się nazwa sieci. Na Auto-pralnię. Jak to brzmi?
- Okropnie - powiedział z roztargnieniem. - Dlaczego się odgrywasz na Vinniem Masonie?
- Na Vinniem? - powtórzył Ordner z zaskoczeniem. - Vinnie odwała dla nas kawał dobrej roboty. Staje się prawdziwym gigantem. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się po tobie takiej ironii...
- Daj spokój. Ta robota jest tak samo perspektywiczna jak ślepa kiszka. Daj mu coś godnego wysiłku albo go wypuść.
- To już chyba nie twoja sprawa.
- Powiesiłeś mu na szyi zdechłego kurczaka, a on się jeszcze nie zorientował, bo na razie nie czuje smrodu. Nadal mu się wydaje, że to obiad.
- Jak słyszałem, dał ci w oko przed świętami.
- Powiedziałem mu prawdę, która mu się nie spodobała.
- Prawda to śliska sprawa. Sądzę, że wiesz o tym lepiej niż inni po tych wszystkich kłamstwach, którymi mnie uraczyłeś.
- Ciągle cię to boli, co?
- Kiedy człowiek, któremu ufałeś, okazuje się kłamcą, to faktycznie boli, oj boli.
- Oj, boli - powtórzył. - Wiesz co, Steve? Tylko ty ze wszystkich znanych mi ludzi potrafisz powiedzieć „Oj, boli”. To jak haselko z reklamy.
- Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?
- Nie, właściwie nie. Chciałbym, żebyś przestał niszczyć Vinniego, to wszystko. To dobry chłopak, a ty go marnujesz. I doskonale o tym wiesz.
- Powtarzam: dlaczego twoim zdaniem „marnuję” Vinniego?
- Ponieważ nie możesz się odegrać na mnie.
- Masz paranoję. Nie mam ochoty się na tobie odgrywać, chciałbym tylko o tobie zapomnieć.
- I to dlatego sprawdzałeś, czy kiedykolwiek prałem w pracy moje prywatne ciuchy? Albo czy motele dawały mi w łapę? Jak sądzę, sprawdziłeś wszystko pięć lat wstecz.
- Kto ci to powiedział? - warknął Ordner. Był zdenerwowany, wytrącony z równowagi.

- Ktoś z twojej organizacji - skłamał, delektując się własnymi słowami. - Ktoś, kto za tobą nie przepada. Ktoś, kto pomyślał, że zajmę się tą sprawą do czasu następnego spotkania zarządu.

-Kto?

- Do widzenia, Steve. Pomyśl o Vinnie Masonie, a ja pomyślę, z kim mogę albo nie mogę porozmawiać.

- Nie odkładaj słuchawki! Nie...

Odłożył, uśmiechnięty od ucha do ucha. Nawet Steve Ordner miał gliniane nogi. Kogo mu on przypominał? Łożysko kulkowe. Truskawkowe lody świeżnięte z lodówki. Hermana Wouka. Capitana Quegga, o, właśnie. Grał go Humphrey Bogart. Roześmiał się głośno i zaśpiewał:

*Każdy potrzebuje kogoś, kto go quegguje,
a jeśli chcesz, ja mogę queggować ciebie.*

Odbiło mi, jak dwa i dwa to cztery, pomyślał, wciąż się śmiejąc. Ale szaleństwo ma pewne plusy. Przyszło mu do głowy, że kiedy mężczyzna siedzi w zupełnej samotności i raptem zaczyna się śmiać na środku pustej ulicy pełnej opuszczonych domów, jest to najpewniejsza oznaka szaleństwa. Ale nawet ta myśl nie odebrała mu humoru, więc roześmiał się głośnie, stojąc przy telefonie i kręcąc głową.

19 STYCZNIA 1974

Po zmroku zszedł do garażu i przyniósł broń do domu. Ostrożnie nabił magnum, zgodnie z zaleceniami załączonej instrukcji obsługi, uprzednio parę razy wystrzeliwszy na sucho. Ze stereo lecieli Rolling Stonesi, śpiewali o wędrowcu o północy. Ciągle nie mógł się nadziwić, jaka to świetna płyta. Myślał o sobie jako o Bartonie George'u Dawesie, Wędrowcu o Północy, wizyty rezerwowane telefonicznie.

Do weatherbee .460 wchodziło osiem naboí. Były tak duże, że pasowałyby pewnie do średniej wielkości haubicy. Kiedy strzelba została już nabita, spojrzął na nią z zaciekawieniem, zastanawiając się, czy ma taką moc, jak twierdził Brudny Harry Swinnerton. Postanowił, że trzeba to wypróbować. Który z sąsiadów zgłosi na policję, że ktoś strzela na podwórku?

Włożył kurtkę i ruszył do drzwi, zawrócił do salonu i wziął z kanapy małą poduszkę. Wyszedł na zewnątrz, zapalając pó drodze dwustu-

watową żarówkę, której używali w lecie, grillując coś w ogródku. Teraz w ogródku leżał śnieg, mniej więcej taki, jaki sobie wyobrażał tydzień temu - nietknięty, nieskalany, dziewiczy. Nikt go nie zdeptał. W minionych latach syn Dona Upslingera, Kenny, czasami przechodził na skrót przez ich podwórko, by szybciej dotrzeć do domu swego przyjaciela Ronniego. A w dni na tyle ciepłe, żeby mokre ubrania nie zamrzęły, Mary wieszała różne szmatki (przeważnie niewymowne) na sznurku, który on sam przeciągnął między domem i garażem. Ale on zawsze chodził do garażu chodnikiem i teraz pomyślał, że to zadziwiające - od pierwszych śniegów, które spadły pod koniec listopada, na podwórku nie stanęła niczyja stopa. Nawet psia łapa, sądząc z wyglądu.

Naszła go dzika chęćka, by wyjść na środek, mniej więcej tam, gdzie każdego lata stawiał grill, i zrobić orła na śniegu.

Zamiast tego położył na prawym ramieniu poduszkę, przytrzymał ją przez chwilę brodą, a potem przycisnął do niej kolbę weatherbee. Wycełował, mrużąc lewe oko i spróbował sobie przypomnieć rady, jakie na filmach jedni aktorzy dawali drugim na chwilę przed bitwą. Zwykle był to jakiś doświadczony weteran, na przykład Richard Widmark, pouczający żółtodzioba - na przykład Martina Milnera: „Nie szarp tak za spust, synu - naci.....śnij”.

Dobra, Fred. Zobaczymy, czy trafię w garaż.

Nacisnął spust.

To nie był wystrzał, tylko eksplozja. Najpierw przeraził się, że wybuchła mu w rękach. Zrozumiał, że żyje, kiedy odrzut cisnął go na drzwi kuchni. Huk potoczył się we wszystkich kierunkach jak grzmot odrzutowca. Poduszka upadła w śnieg. Ramię zapulsowało bólem.

- Jezu, Fred! - jęknął.

Spojrzał na garaż i oczom własnym nie uwierzył. W ścianie pojawiła się wyrwa tak duża, że można by w niej zmieścić filizankę.

Oparł broń o drzwi kuchenne i przeszedł przez śnieg, zapominając, że ma na nogach kapcie. Przez minutę przyglądał się dziurze, w zamyśleniu odrywając palcem drzazgi, a potem wszedł do garażu.

Dziura wylotowa była większa. Spojrzał na swój samochód. W drzwiach od strony kierowcy także pojawiła się dziura, a lakier odpadł i ukazał nagi metal wokół wklęsnięcia, tak dużego, że można by w nie włożyć dwa palce. Zajrzał do środka, na drzwi po stronie pasażera. Tak, kula dosięgła także ich, tuż pod klamką.

Obszedł samochód i ujrzał miejsce, którym kula z niego wyleciała, zostawiając kolejną wielką dziurę, tym razem ze sterczącymi z niej za-

łośnie opiłkami metalu. Odwrócił się i spojrzął na ścianę. Kula przebiła także ją. Pewnie jeszcze ciągle leci.

Usłyszał głos Harry'ego, właściciela sklepu: „Więc pański kuzyn poluje?... Jeden strzał i flaki rozbryzną się w promieniu pół kilometra”. A gdyby trafić człowieka? Pewnie tak samo. Zrobiło mu się niedobrze.

Zawrócił ku drzwiom kuchennym, schylił się po poduszkę i wszedł do domu, odruchowo wycierając nogi, żeby nie nanieść Mary śniegu do kuchni. W salonie zdjął koszulę. Na ramieniu, pomimo poduszki, zrobił mu się czerwony ślad w kształcie kolby.

Nagi do pasa poszedł do kuchni, zaparzył kawy i rozmroził obiad. Skończył jeść, poszedł do salonu, położył się na kanapie i zaczął płakać, płacz narastał, aż stał się urywanym histerycznym szlochem - słyszał go i bał się, ale nie potrafił się opanować. Wreszcie płacz ustał, on zaś, oddychając chrapliwie, zapadł w twardy sen. Śniło mu się, że jest stary, a jego policzki pokrywa siwa szczecina.

20 STYCZNIA 1974

Obudził się ze zdrygnięciem i poczuciem winy; bał się, że jest już rano i zrobiło się za późno. Jego sen był mroczny i stęchły jak stara kawa, taki sen, z jakiego zawsze budzimy się w oszołomieniu i zamroczeniu. Spojrzął na zegarek - kwadrans po drugiej. Strzelba stała tam, gdzie ją zostawił, oparta nonszalancko o fotel. Magnum leżało na stoliku.

Wstał, udał się do kuchni, ochlapał twarz zimną wodą. Poszedł na górę, włożył świeżą koszulę. Wrócił na dół, wpychając ją za pasek spodni. Pozamykał wszystkie drzwi na parterze i z przyczyn, których nie chciał badać zbyt dokładnie, z każdym stuknięciem zamka robiło mu się lżej na sercu. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ta przeklęta baba upadła przed nim w supermarkecie, poczuł się znowu sobą. Postawił weatherbee na podłodze koło okna w salonie, a obok niego ułożył pudełka z nabojami, z każdego zdejmując pokrywkę. Przyciągnął do okna fotel i przewrócił go na bok.

Poszedł do kuchni i zamknął wszystkie okna. Wziął krzesło, podparł nim klamkę. Nalał sobie kubek zimnej kawy, pociągnął łyk, skrzywił się i wylał ją do zlewu. Zrobił sobie drinka.

Wrócił do salonu, przyniósł akumulator. Postawił go obok przewróconego fotela, przyniósł przewody rozruchowe i ułożył je obok akumulatora.

Zaniósł na górę skrzynkę materiałów wybuchowych, sapiąc i stękając. Na podeście postawił ją z łupnięciem i wypuścił wstrzymywany oddech. Był już troszeczkę za stary na takie wygłupy, choć mięśnie z czasów, kiedy razem z kolegą ładował na ciężarówkę dwustukilowe paki wymaglowanych prześcieradeł, nadal były na swoim miejscu. Ale kiedy się kończy czterdziestkę, nie można prowokować losu. Czterdziestka to pora na zawał.

Na górze ruszył od pokoju do pokoju, zapalając po drodze wszystkie światła: w pokoju gościnnym, w łazience dla gości, w sypialni, w gabinecie, który kiedyś był pokojem Charliego. Postawił krzesło pod wejściem na strych i wpełził na górę. Włączył zakurzoną żarówkę. Potem wrócił do kuchni i przyniósł rolkę taśmy klejącej, nożyczki i ostry nóż do mięsa.

Wziął ze skrzynki dwie laski materiału wybuchowego (był miękki, a kiedy się go przycisnęło palcami, widać było odciski) i zaniósł je na strych. Odciał dwa kawałki lontu, nożem do mięsa obrał miedziany drut z białej otoczki izolacyjnej, wcisnął nagi drut w łaskę. Zeskoczył na dół i zdarł izolację z drugiego końca lontów. Starannie połączył nimi następane dwie laski materiału wybuchowego, mocno wbijając lonty, żeby się przypadkiem nie wysliznęły.

Podśpiewując pod nosem, przeciągnął lont ze strychu do sypialni; na każdym łóżku położył po jednej łasce materiału wybuchowego. Pociągnął lont dalej, korytarzem, zostawił jedną łaskę w łazience dla gości, dwie w pokoju gościnnym. Wychodząc, zgasił światło. W pokoju Charliego zostawił cztery laski, związane razem w pęczek. Przeciągnął lont przez drzwi i przerzucił zwój przez balustradę schodów. Potem zszedł na dół.

Cztery laski na kuchennym stole, obok butelki southern comfort. Cztery laski w salonie. Cztery w jadalni. Cztery w korytarzu.

Przeciągnął lont do salonu, nieco się zadyszał tym galopem po schodach. Czekala go jeszcze jedna wycieczka. Zniósł z góry skrzynkę, teraz już znacznie lżejszą. Zostało w niej tylko jedenaście lasek. Zauważył, że niegdyś w skrzynce znajdowały się pomarańcze. Na boku spłowiałe litery układały się w słowo

POMONA

Obok nazwy widniała pomarańcza z listkiem przy gałązce.

Zaniósł skrzynkę do garażu, tym razem idąc po chodniku, postawił ją na tylnym siedzeniu samochodu. Każdą łaskę malginitu oplatał krótkim kawałkiem lontu, połączył wszystkie taśmą klejącą, a lont pocią-

gnał z powrotem do domu, starannie wsuwając go w szparę pod drzwiami wychodzącymi na chodnik, które następnie zamknął na klucz.

W salonie połączył główny lont z tym, który przeciągnął z garażu. Pracował ostrożnie, podśpiewując pod nosem. Odcinał następny kawałek lontu i połączył go taśmą z dwoma pozostałymi. Główny lont podłączył do akumulatora, zdarłszy z niego izolację.

Rozdzielili nitki miedzianego drutu i każdą skręcił w mysi ogonek. Czarny krokodyłek przewodu rozruchowego przytwierdził do jednego mysiego ogonka, czerwony - do drugiego. Podeszedł do akumulatora. Drugi czarny krokodyłek podłączył do elektrody z symbolem +,

Czerwonego nie podłączył. Zostawił go obok elektrody z napisem: -.

Potem włączył stereo i zaczął słuchać Rolling Stonesów. Było pięć po czwartej. W kuchni zrobił sobie drinka i wrócił z nim do salonu, nagle nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Na stoliku do kawy leżało pismo dla pań. Był w nim artykuł o rodzinie Kennedych i jej problemach. Przeczytał go. Następnie zapoznał się z artykułem zatytułowanym „Kobiety i rak piersi”. Napisała go jakaś pani doktor.

Przybyli tuż po dziesiątej, ledwie przebrzmiały dzwony kościoła kongregacyjnego, wzywające wiernych na jutrznię czy jak to się tam u nich nazywa.

Przyjechali zielonym sedanem i czarno-białym policyjnym samochodem. Stanęli przy krawężniku, z zielonego sedana wysiedli trzej mężczyźni. Jednym z nich był Fenner. Pozostałych nie znał. Każdy niósł aktówkę.

Dwaj policjanci wysiedli z czarno-białego samochodu i oparli się o niego. Widać było, że nie spodziewają się kłopotów; rozmawiali o czymś oparci o maskę wozu, a słowa wychodziły im z ust wyraźnymi białymi obłoczkami.

Wszystko się zatrzymało.

STOPKLATKA, 20 STYCZNIA 1974

no fred to już to czas kończyć albo zacząć ach wiem w pewnym sensie już za późno żeby się wycofać w całym domu rozwiesiłem malginit jak bombki na choince mam w ręce broń i drugą za pasem jak cholerny kowboj no i co powiesz to już ostatnia decyzja jak przy wchodzeniu na drzewo wybieram to rozwidlenie potem tamto to i tamto

(mężczyźni zastygli w scenie za oknem fenner w zielonym garniturze z jedną stopą o włos nad chodnikiem zamarł w trakcie kroku dobre buty i modne kalosze na nich jeśli w ogóle kalosze mogą być modne łopoczące poły zielonego płaszczu jakby był dzielnym adwokatem z telewizji głowa lekko odwrócona nieco przechylona w stronę mężczyzny z tyłu który coś powiedział a fenner przekrzywia głowę żeby uchwycić jego słowa mężczyzna który się odezwał ma otwarte usta wychodzi z nich połowa obłoczka drugi mężczyzna ma niebieski blezer i ciemnobrązowe spodnie i też rozpięty płaszcz a wiatr zamarł w stopklatce jego płaszcz też zamarł w pół łopotu a trzeci mężczyzna odwraca się od samochodu policjanci opierają się o wóz z głowami odwróconymi ku sobie mogą rozmawiać o wszystkim małżeństwie trudnej sprawie kiepskim sezonie futbolowym albo o stanie ich jaj a stonco przedarto się przez chmury na tyle że na jednym naboju z przydzielonego sprzętu błysnęła iskierka nabój tkwi w jednej z wielu małych skórzanych pętelek w pasie policjanta drugi gliniarz ma czarne okulary a słońce zapaliło iskierkę na prawym szkłe a jego usta lśnią ponętnie w rodzącym się uśmiechu: to fotografia)

no to jazda freddy mój chłopcze masz coś do powiedzenia w tej doniosłej chwili tak mówi fred wezwiesz dziennikarzy co no pewnie mówi george słowa obraży dzienniki to się liczy ale freddy nie czujesz co to za samotność w całym tym mieście na całym świecie ludzie jedzą srają pieprzą i rozdrapują wszystkie rany o których pisze się książki a my musimy to zrobić zupełnie sami tak myślałem o tym george wręcz starałem się ci o tym powiedzieć o ile sobie przypominasz i nie wiem czy cię to pocieszy ale teraz tak jest dobrze skoro nie możesz się ruszyć oddasz im te roboty drogowe ale proszę cię george nie zabijaj nikogo fred nie zrobię tego celowo ale zrozum w jakiej jestem sytuacji rozumiem tak george boję się bardzo się boję nie bój się poradzę sobie doskonale nad sobą panuję
akcja

20 STYCZNIA 1974

- Akcja - powiedział na głos i wszystko ruszyło.

Przyłożył strzelbę do ramienia, wycelował w przednie prawe koło policyjnego krążownika i pociągnął za spust.

Broń kopnęła go boleśnie w ramię, lufa skoczyła do góry. Wielkie okno w salonie rozprysło się na wszystkie strony, zostały z niego tylko

wyszczzerzone szpikulce zwisające jak impresjonistyczne szklane strzały. Opona krążownika nie sflaczała, eksplodowała z głośnym hukiem, a cały samochód wzdrygnął się jak śpiący pies, którego ktoś trącił nogą. Kołpak wyprysnął w powietrze i upadł ze szczękiem na lodowaty asfalt Crestallen Street West.

Fenner zatrzymał się i wytrzeszczył oczy na dom. Twarz wykrzywiła mu się ze zdumienia. Facet w niebieskim blezerze upuścił aktówkę. Drugi facet miał szybszy refleks albo może lepiej rozwinięty instynkt przetrwania. Odwrócił się na pięcie, popędził za zielone auto, przykucnął i zniknął mu z oczu.

Policjanci pobiegli na prawo i lewo, za swój krążownik. Po chwili ten w ciemnych okularach wyskoczył zza maski, z rewolwerem w obu rękach i trzy razy wystrzelił. Po grzmocie weatherbee wystrzał rewolweru zabrzmiał jak nieszkodliwe pukanie. Bart skrył się za fotelem; usłyszał świst przelatujących górą pocisków - naprawdę było je słychać, robiły coś w rodzaju zzzzz! - zaryły się w tynk nad kanapą. Dźwięk, który wydały, wbijając się w gips, skojarzył mu się z dźwiękiem, jaki wydaje worek treningowy, kiedy się w niego uderza pięścią. Pomyślał: taki sam dźwięk wydadzą ich ciała.

Policjant w ciemnych okularach wrzeszczał na Fennera i mężczyznę w niebieskim blezerze:

- Padnij! Padnij żeż wasza mać! On tam ma, kurwa, haubicę!

Unióś głowę odrobinę wyżej, żeby lepiej widzieć, policjant w ciemnych okularach go dostrzegł i wypalił jeszcze dwa razy. Kule łupnęły w ścianę i tym razem ulubiony obraz Mary, „Poławiacze homarów” Winslowa Homera, spadł, walnął w kanapę i zwałił się na podłogę. Szkło rozprysło się z brzękiem.

Znowu unióś głowę, ponieważ musiał widzieć, co się dzieje (dlaczego nie przyszło mu do głowy, żeby sobie kupić peryskop w sklepie z zabawkami?), musiał wiedzieć, czy nie chcą go zająć od tyłu, bo Richard Widmark i Marty Milner właśnie w ten sposób zdobywali japońskie schrony, a gdyby usiłowali to zrobić, musiałby któregoś zastrzelić, ale gliniarze nadal kryli się za krążownikiem, a Fenner i gość w niebieskim blezerze prysnęli za zielony samochód. Aktówka Niebieskiego Blezera leżała na chodniku jak małe martwe zwierzę. Wycelował w nią, krzywiąc się, zanim jeszcze broń go kopnęła, i wypalił.

ŁOMOT! Aktówka rozłamała się na dwie części i skoczyła dziko w powietrze, w trzepocie dokumentów, które wiatr przekartkował niewidzialnymi palcami.

Wystrzelił znowu, tym razem w prawą przednią oponę zielonego sedana, guma eksplodowała. Jeden z facetów za samochodem wrzasnął.

Spojrzał na policyjny samochód; drzwi od strony kierowcy były otwarte. Gliniarz w okularach pólleżał na siedzeniu, mówił przez krótkofalówkę. Wkrótce przybędą wszyscy imprezowicze. Zechcą go podzielić między siebie, po kawałeczku dla każdego i nie będzie to już sprawa osobista. Poczuł ulgę, w smaku gorzką jak aloes. Cokolwiek to było, jakakolwiek okrutna boleść przywiodła go do tego, do ostatniego rozwidlenia drzewa, nie był już sam na sam ze swoim płaczem i szeptami. Dołączył do oficjalnego szaleństwa, wyszedł z ukrycia. Wkrótce zredukują go do bezpiecznego nagłówka - CHWILOWE ZAWIESZENIE BRONI NA CRESTALLEN STREET.

Odłożył strzelbę i przeszedł ostrożnie na czworakach do salonu, by nie skaleczyć się o szkło z rozbitego obrazu. Zabrał z kanapy małą poduszkę i wrócił. Policjant wysiadł już z samochodu.

Wziął magnum i strzelił dwa razy. Pistolet szarpnął się mu gwałtownie w dłoni, ale dał się opanować. W ramieniu pulsował mu ból, całym jak w chorym zębie.

Policjant, ten bez okularów, wyskoczył zza samochodu, żeby odpowiedzieć ogniem, więc posłał dwie kule w tylną szybę samochodu, która pokryła się oszalałą siatką pęknięć i rozsypała na siedzenie. Policjant znowu się schował, nie strzeliwszy ani razu.

- Stop! - ryknął Fenner. - Dajcie mi z nim porozmawiać!
- A proszę - powiedział jeden z policjantów.
- Dawes! - wrzasnął władczo Fenner głosem jak detektyw w ostatnim filmie z Jamesem Cagneyem. (Światła policyjnych kogutów omiatają niezmordowane fasadę zrujnowanego domu w slumsach, w którym ukrył się Dawes „Wściekły Pies” z dymiącą czterdziestkapiątką w każdej ręce. Wściekły Pies kryje się za przewróconym fotelem, ma na sobie podarty podkoszulek, a z jego gardła wrywa się złowroźny warkot). - Dawes, słyszysz mnie?

(A Wściekły Pies, z grymasem nienawiści na twarzy - choć na jego czole perli się pot - odwrzasnął:)

- Chodźcie tu i mnie złapcie, cholerne psy! - Wyskoczył zza fotela i opróżnił magazynek magnum prosto w zielonego sedana, zostawiając w nim szereg wyszarpanych dziur.

- Jezu! - wrzasnął ktoś. - O Jezu, wariat!
- Dawes! - ryknął Fenner.
- Nie weźmiecie mnie żywego! - odwrzasnął pijany radością. - To

wy, podle szczury, zabiście mi brata! Ale zanim mnie dopadniecie, wyśle parę do piekła!

Drżącymi palcami naładował magnum, a potem wsypał naboje do magazynka weatherbee.

- Dawes! - ryknął znowu Fenner. - Może pójdziemy na ugodę?

- A może pošle ci kulkę, ty parszywy kundlu! - krzyknął, ale obserwował tylko policjantów i kiedy ten w ciemnych okularach trwożliwie wystawił głowę nad karoserię, spłoszył go dwoma strzałami. Jedna z kul rozbiła witrażowe okno Quinnsów z naprzeciwka.

- Dawes! - rozdarł się Fenner władczo.

- Zamknąłbyś się wreszcie - powiedział policjant. - Tylko go rozjuszasz.

Zapanowało zażenowane milczenie, w którym rozległo się odległe wycie syren. Odłożył magnum i wziął strzelbę. Radosne delirium go opuściło; był zmęczony, obolały i chciało mu się srać.

Proszę, niech dziennikarze przyjadą szybko, pomyślał. Niech przyjadą szybko z kamerami.

Kiedy pierwszy policyjny samochód wypadł z piskiem opon z zakrętu, efektownie jak we „Francuskim łączniku”, był już gotowy. Wystrelił nabojami do haubicy nad krążownikiem, żeby policjanci się nie wychylali, starannie wycelował w maskę i nacisnął spust niczym doświadczony weteran typu Richard Widmark; reflektory rozprysnęły się z brzękiem, maska uniosła się w powietrze. Krążownik przeleciał nad krawężnikiem i uderzył w drzewo jakieś czterdzieści metrów dalej. Drzwi się otworzyły i z samochodu wytoczyło się czterech oszołomionych policjantów z bronią w rękę. Dwaj wpadli na siebie. Potem policjanci z pierwszego krążownika (moi gliniarze, pomyślał o nich z dumą właściciela) otworzyli ogień; zanurkował pod fotel, a kule świsnęły nad nim. Było za siedemnaście jedenasta. Pomyślał, że teraz spróbują go podejść od tyłu.

Wystawił głowę, ponieważ musiał; kula bzyknęła mu koło prawego ucha. Dwa policyjne samochody wjechały na Crestallen Street z przeciwnej strony, z wyjącymi syrenami i błyskającymi niebieskimi światłami. Dwaj policjanci z rozbitego krążownika usiłovali się wspiąć na płot między chodnikiem a domem Upsingerów; strzelił do nich trzy razy, nie starając się trafić ani spudłować, tylko po to, żeby wrócili do samochodu. Wrócili. Drzazgi z płotu Wilbura Upslingera (płotu, który na wiosnę i w lecie porastał bluszcz) bryznęły na wszystkie strony, a sam płot częściowo upadł w śnieg.

Dwa nowe krążowniki utworzyły literę V, blokując drogę przed domem Jacka Hobarta. Policjanci przykucnęli w wierzchołku V, jeden rozmawiał przez krótkofalówkę w rozbitym krążowniku. Po chwili najnowsi goście rozpoczęli ostrzał, co go zmusiło do ponownego ukrycia się za fotelem. Pociski trafiły w drzwi frontowe, fasadę domu i wokół okna. Lustro z korytarza eksplodowało brylantowym deszczem. Jeden pocisk trafił w koldrę na telewizorze; przez chwilę falowała gwałtownie.

Przeczołgał się na czworakach przez salon i stanął przy małym oknie za telewizorem. Miał z niego dobry widok na podwórko Upslingerów. Dwaj policjanci znowu usiłowali go zająć od tyłu. Jednemu ciekła krew z nosa.

Freddy, może będę musiał kogoś zabić, żeby ich powstrzymać.

Nie rób tego, George. Proszę, nie rób tego.

Wybił szybę kolbą magnum, raniąc się w dłoń. Policjanci spojrzeli w stronę, z której dobiegł hałas, zobaczyli go i zaczęli strzelać. Odpowiedział ogniem; dwa naboje wybiły dziury w nowym aluminiowym sidingu Wilbura (czy miasto mu za to zwróci?). Słyszał też kule tłukące w jego dom koło okna. Jedna zaryła się z jękiem we framudze; drzazgi bryznęły mu w twarz. W każdej chwili spodziewał się, że jakiś pocisk odstrzeli mu czubek głowy. Nie potrafił powiedzieć, jak długo trwała ta wymiana ognia. Nagle jeden policjant chwycił się z krzykiem za ramię, rzucił pistolet na ziemię jak dziecko, które znudziło się głupią zabawą, i zaczął biegać w kółko. Partner chwycił go i obaj wrócili biegiem do rozbitego krążownika, ten zdrowy obejmował rannego w pasie.

Na czworakach obszedł przewrócony fotel i wyjrzał. Na ulicy stały dwa nowe krążowniki, po jednym z każdej strony. Stały po stronie Quinnsów; wysiadło z nich ośmiu policjantów, którzy pobiegli za krążownik z przedziurawioną oponą oraz zielone auto.

Znowu schylił się i wyczołgał na korytarz. Kule bębniły o ściany jak grad. Wiedział, że powinien wziąć strzelbę i pójść na górę, będzie miał lepszy kąt strzału, nawet może ich zmusić do odejścia od samochodów i schronienia w domu naprzeciwno. Nie odważył się oddalić od głównego lontu i akumulatora. Dziennikarze z telewizji mogli się zjawić w każdej chwili.

Drzwi frontowe były podziurawione jak sito, ciemnobrązowy lakier odpadł, obnażając nagie drewno. Poczłgał się do kuchni. Wszystkie okna były wybite, szkło zasłało linoleum. Jakiś strzał przewrócił dzbanek z kawą, który leżał w kałuży brązowej packi. Bart przykucnął na chwilę pod oknem, podskoczył i wystrzelał magazynek magnum w sa-

mochody ustawione w literę V. Natychmiast ostrzał przeniósł się na kuchnię. W białej emalii lodówki pojawiły się dwie dziury, jakiś pocisk trafił w butelkę southern comfort na stole. Ekspłodowała rozbryzgami szkła i gościnności południowców.

Wracając na czworakach do salonu, poczuł coś jakby ukłucie pszczoły w mięsistej części uda tuż pod pośladkiem. Przyłożył tam rękę. Na palcach miał krew.

Położył się za fotelem i naładował magnum. Naładował też weatherbee. Wyjrzał i znów się schował, krzywiąc się, gdyż za oknem rozpętał się wściekły ostrzał. Kule posypały się na kanapę i telewizor, kołdra podrygiwała jak żywa. Znowu wyjrzał i strzelił w samochody policyjne. Rozbił jedną szybę. I zobaczył...

U szczytu ulicy stał biały samochód kombi i biała furgonetka forda. Na ich bokach widniał błękitny napis:

WIADOMOŚCI WHLM

KANAŁ 9

Poczołgał się zdyszany do okna wychodzącego na podwórko Upslingerów. Pojazdy telewizyjne sunęły powoli, z wahaniem przez Crestallen Street. Nagle ruszył ku nim nowy policyjny samochód, stanął im na drodze z piskiem opon. Ręka odziana w błękit wychyliła się z okna i zaczęła ploszyć dziennikarzy.

Pocisk uderzył w parapet i rykoszetem wpadł do pokoju.

Poczołgał się do fotela, trzymając magnum w zakrwawionej ręce.

- Fenner! - krzyknął.

Ostrzał nieco osłabł.

- Fenner! - wrzasnął znowu.

- Wstrzymać ogień! - ryknął Fenner. - Stać! Na chwilę!

Rozległo się parę pojedynczych wystrzałów i zapadła cisza.

- Czego chcesz? - zawołał Fenner.

- Dziennikarzy! Na ulicy stoją ich samochody! Chcę z nimi porozmawiać!

Nastąpiła długa chwila zastanowienia.

- Nie! - wrzasnął Fenner.

- Przystanę strzelać, jeśli będę mógł z nimi porozmawiać! - To święta prawda, pomyślał, patrząc na akumulator.

- Nie! - powtórzył Fenner.

Drań, pomyślał bezsilnie. To dla was aż tak ważne? Dla ciebie, Ordnera i reszty tej biurokratycznej sfory?

Ostrzał znowu się rozpoczął, najpierw z wahaniem, potem nabrał rozpędu. I raptem, nie do wiary, ulicą popędził jakiś mężczyzna w koszuli w kratę i niebieskich dżinsach. Trzymał w ręce małą kamerę.

- Słyszałem! - krzyknął. - Każde słowo! Dowiem się, facet, jak się nazywasz! On chciał przestać strzelać, a ty...

Policjant uderzył go pałką; mężczyzna w kraciatej koszuli osunął się na chodnik. Kamera uderzyła o asfalt, a w chwilę potem trzy pociski rozbiły ją na migoczące odpryski. Z jej szczątków wysnuła się leniwie rozwijająca się rolka nienaświetlonej kliszy. Potem strzały rozległy się znowu, jakby bez przekonania.

- Fenner, puść ich! - wrzasnął. Gardło miał zdarte i obolałe, jak całe ciało. Bolało go ramię, a w udzie obudził się głęboki pulsujący ból.

- Najpierw wyjdź! - krzyknął Fenner. - Pozwolimy ci przedstawić swoje racje!

Na to bezwstydnie kłamstwo załała go czerwona fala wściekłości.

- MAM TU WIELKĄ STRZELBĘ PSIA TWOJA MAĆ ZARAZ ZACZNĘ STRZELAĆ DO SAMOCHODÓW TY GÓWNOJADZIE I ZANIM SKOŃCZĘ USMAŻYCIE SIĘ JAK NA GRILLU!

Milczenie pełne grozy.

Potem Fenner spytał ostrożnie:

- Czego chcesz?

- Przyślijcie tu tego pobitego faceta! I jego ekipę!

- Wykluczone! Nie damy ci zakładników, żebyś się z nami bawił przez cały dzień!

Jakiś policjant pobiegł, zgięty w pół, za zielony wóz. Rozpoczęła się narada.

- Za twoim domem stoi trzydziestu policjantów! - odezwał się no wy głos. - Mają broń! Wyjdź albo ich do ciebie wysłę.

Pora wyciągnąć z rękawa jedyny paskudny as.

- Lepiej nie! W całym domu są ładunki wybuchowe! Patrz!

Pokazał przez okno czerwony krokodylek od przewodu.

- Widzisz?

- Blefujesz! - krzyknął głos bez wahania.

- Jeśli go podłączę do akumulatora, który stoi obok mnie, wszystko wyleci w powietrze!

Cisza. Znowu narada.

- E! - krzyknął ktoś. - E, gdzie ten facet?

Wychylił się zza fotela i proszę, oto mężczyzna w kraciatej koszuli i dżinsach, idzie bez żadnej ochrony, albo heroicznie wierzy w swój

zawód, albo mu odbiło. Ma długie czarne włosy, tak długie, że prawie spadają na kołnierzyk. Ma też cienki ciemny wąsik.

Dwaj policjanci chcieli wybiec zza krążowników ustawionych w kształt litery V, lecz zaraz się rozmyślili, kiedy posłał im kulkę nad głowami.

- Ale skórkowaniec! - krzyknął ktoś z odrazą.

Gość w kraciatej koszuli był już na trawniku, brnął w kopnym śniegu. Coś mu bzyknęło koło ucha, rozległ się strzał, a on zdał sobie sprawę, że ciągle tkwi z głową na widoku. Ktoś nacisnął klamkę drzwi, potem w nie załomotał.

Poczłogał się po podłodze, teraz przysypanej tynkiem i gipsem ze ścian. Prawa noga bolała go jak diabli, spojrzął na nią i przekonał się, że cała nogawka od uda po kolano jest przemoczona krwią. Przekreślił zamek w podziurawionych drzwiach i zdjął łańcuch.

- Już! - krzyknął. Mężczyzna w kraciatej koszuli wpadł do środka.

Z bliska nie było widać, żeby się bał, choć ciężko dyszał. Na policzku miał zadrapanie po starciu z policjantem, lewy rękaw jego koszuli został rozdarty. Bart poczołogał się z powrotem do salonu, wziął strzelbę i dwa razy wystrzelił na chybił trafił. Odwrócił się. Facet w kraciatej koszuli stał w drzwiach, niewiarygodnie spokojny. Wyjął z tylnej kieszeni duży notes.

- No dobrze - powiedział. - Co za gówno tu odchodzi?

- Jak się nazywasz?

- Dave Albert.

- Czy w tej białej furgonetce są inne kamery?

-Tak.

- Podejdź do okna. Powiedz policji, żeby wpuścili ekipę na trawnik Quinnów, to ten dom naprzeciwko. Powiedz, że jak tego nie zrobią w ciągu pięciu minut, będziesz miał kłopoty.

- Będę?

- Pewnie.

Albert się roześmiał.

- Nie marnujesz czasu, facet.

- Powiedz im.

Albert podeszedł do wybitego okna w salonie i przez chwilę stał w milczeniu, obramowany pustą framugą, najwyraźniej rozkoszując się chwilą.

- Mówi, żeby moja ekipa stanęła po drugiej stronie ulicy! - krzyknął. - Mówi, że mnie zabije, jak im nie pozwolicie!

- Nie! - ryknął Fenner z furią. - Nie, nie, n...
Ktoś mu zamknął gębę. Chwila milczenia.
- Dobrze! - To był ten głos, który go oskarżył o blefowanie. - Czy dwaj nasi ludzie mogą po nich pójść?
- Przemyślał to i skinął głową dziennikarzowi.
- Tak! - zawołał Albert.
- Znowu cisza, a potem dwaj mundurowi ruszyli nerwowym truchtem ku telewizyjnej furgonetce powarkującej na jałowym biegu. Tymczasem podjechały dwa nowe krążowniki, a kiedy wychylił się na prawo, ujrzał, że dolny koniec Crestallen Street West został zamknięty. Za żółtymi barierkami zebrał się spory tłum.
- No, fajnie - odezwał się Albert i usiadł. - Mamy jakąś chwilę. O co ci chodzi? O samolot?
- Samolot? - powtórzył jak idiota.
- Albert zamachał rękami, nadal trzymając notes.
- Żeby odlecieć. Fruuuu!
- Ach! - Pokiwał głową, żeby pokazać, że rozumie. - Nie, nie chcę samolotu.
- To czego chcesz?
- Chcę - powiedział z namysłem - mieć znowu dwadzieścia lat, a przed sobą mnóstwo decyzji, które mógłbym podjąć jeszcze raz. - Zobaczył wyraz oczu Alberta i dodał: - Wiem, że to niemożliwe. Aż tak mi nie odbiło.
- Jesteś ranny.
- Tak.
- Czy to to, o czym mówiłeś? - Wskazał główny lont i akumulator.
- Tak. Lont prowadzi przez wszystkie pokoje w tym domu. Także garaż.
- Skąd wzięłeś dynamit? - Albert miał przyjazny głos, ale patrzył bardzo czujnie.
- Znalazłem pod choinką.
- Albert parsknął śmiechem.
- A to dobre. Zacytuję cię.
- Świetnie. Kiedy do nich wrócisz, powiedz wszystkim policjantom, żeby się cofnęli.
- Chcesz się wysadzić w powietrze? - spytał Albert. Był zaciekawiony, tylko zaciekawiony.
- Rozważam taką możliwość.
- Wiesz co, facet? Naoglądałeś się za dużo filmów.

- Nie chodzę już do kina. Ale widziałem „Egzorcystę”. I bardzo za
tuję. Jak sobie radzą twoi koledzy?

Albert wyrzwał przez okno.

- Całkiem nieźle. Jeszcze minutka. Nazywasz się Dawes?

- Powiedzieli ci?

Roześmiał się pogardliwie.

- Nie powiedzieliby nawet, że mam raka. Przeczytałem na drzwiach.
Nie zechciałbyś może mi wyjaśnić, dlaczego robisz to wszystko?

- Zechciałbym. Przez roboty drogowe.

- Przez tę autostradę? - Albertowi zaświeciły się oczy. Zaczął notować.

- Tak, przez nią.

- Zabrali ci dom?

- Chcieli. Ale to ja go zabiorę.

Albert zapisał jego słowa, zatrzasnął notes i wepchnął go do tylnej
kieszeni spodni.

- To cholerna głupota, wybaczone, że to powiem. Może byś po prostu
ze mną wyszedł?

- Masz wyłączność - powiedział ze zmęczeniem. - Na co się zamie-
rzasz, na Nagrodę Pulitzera?

- Jak dadzą, to wezmę. - Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. -
No, panie Dawes. Wyjdźmy razem. Dopilnuję, żeby przedstawiono pań-
skie racje. Dopilnuję, żeby...

- Nie ma żadnych racji.

Albert zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Nie ma racji. Dlatego to robię. - Wyrzwał zza fotela i spojrzał pro-
sto w obiektyw na statywie, wbitym w śnieg na trawniku Quinnsów.

- No, idź już. Powiedz im, żeby się cofnęli.

- Naprawdę to zrobisz?

- Właściwie to nie wiem.

Albert ruszył do drzwi salonu, ale jeszcze się obejrzał.

- Czy myśmy się gdzieś nie spotkali? Dlaczego mam wrażenie, że
cię znam?

Pokręcił głową. Pomyślał, że widzi Alberta po raz pierwszy w życiu.

Patrzył, jak dziennikarz idzie przez jego trawnik, nieco ukosem, że-
by kamera ujęła go od dobrej strony, i zastanawiał się, co w tej konkret-
nej chwili robi Olivia.

Odczekał kwadrans. Ostrzał się spotęgował, ale nikt nie szturmo-
wał domu od tyłu. Strzelali chyba głównie po to, żeby osłaniać swój od-

wrót. Ekipa telewizyjna przez jakiś czas pozostawała na miejscu, potem podjechała biała furgonetka, operator złożył statyw, zaniósł go do samochodu i zaczął filmować z ręki.

W powietrzu śmignęło coś czarnego i walcowatego, wylądowało na trawniku mniej więcej w połowie między domem i chodnikiem i zaczęło wydzielać gaz. Wiatr zaniósł go do wnętrza domu. Drugi pocisk wylądował bliżej, trzeci uderzył o dach. Zsunął się z niego i wpadł w begonie Mary. Od gazu jego oczy i nos wypełniły się łzami.

Znów przekuśtykał przez salon na czworakach, mając szczerą nadzieję, że nie powiedział temu dziennikarzowi, Albertowi, nic takiego, co by się dało przerobić na jakąś mądrość. Na tym świecie nie można zajmować żadnego stanowiska. Weźmy takiego Johnny Walkera, który zginął w bezsensownej katastrofie na skrzyżowaniu. Za co niby umarł, za punktualną dostawę pościeli? Albo ta kobieta z supermarketu. Zawsze będziesz bardziej wydymany niż dymający.

Sprawdził stereo - jeszcze na chodzie. Płyta Rolling Stonesów nadal leżała na obrotowym krążku. Puścił ostatni kawałek; za pierwszym razem nie trafił we właściwy rowek, ponieważ w kołdrę okrywającą zenitha walnął pocisk.

Kiedy wreszcie udało mu się trafić, a ostatnie takty „Monkey Man” rozplynęły się w nicości, pokuśtykał do przewróconego fotela i wyrzucił strzelbę przez okno. Wziął magnum i cisnął je w ślad za strzelbą. Żegnaj, Nicku Adamsie.

Me zawsze możesz dostać to, czego pragniesz - zaśpiewało stereo, a on pomyślał, że to fakt. Ale i tak się pragnie. Przez okno wpadł kanister z gazem łzawiącym, uderzył w ścianę nad kanapą i eksplodował białym dymem.

Ale jeśli czegoś spróbujesz, możesz się przekonać, że dostajesz to, czego potrzebujesz.

No, Fred, to się dopiero okaże. Zacisnął w dłoni czerwony krokodylek. Zobaczymy, czy dostanę, czego potrzebuję.

- Dobra - mruknął i nasadził czerwony zacisk na ujemną elektrodę.

Zamknął oczy; ostatnia myśl: świat wybuchnął nie wokół, lecz wewnątrz niego, i choć był to wybuch na miarę kataklizmu, nie prze-rósł, powiedzmy, dorodnego orzecha włoskiego.

Potem biel.

Epilog

Ekipa dziennikarzy WHLM dostała Nagrodę Pulitzera za reportaż w wieczornym dzienniku o zajściu, które nazwali „Ostatni bastion Dawesa”, oraz za półgodzinny dokument, wyemitowany trzy tygodnie później. Dokument był zatytułowany „Roboty drogowe” i analizował konieczność - lub jej brak - rozbudowy autostrady 784. Wykazał także, że przyczyna, dla której rozbudowywano autostradę, nie miała nic wspólnego z ruchem, wygodą osób dojeżdżających do pracy czy innymi praktycznymi względami. Miasto musiało zbudować odpowiednią liczbę kilometrów dróg rocznie, w przeciwnym razie straciłoby federalne dotacje na wszystkie autostrady międzystanowe. Dlatego postanowiło rozbudować autostradę 784. Z dokumentu wynikało także, że miasto zamierzało dyskretnie wytoczyć sprawę wdowie po Bartonie George'u Dawesie, żeby odzyskać maksymalną sumę pieniędzy. Po skandalu, jaki wybuchł, miasto wycofało oskarżenie.

Zdjęcia ruin domu zostały rozesłane po całym kraju i znalazły się niemal we wszystkich gazetach. W Las Vegas pewna dziewczyna, od niedawna studentka szkoły biznesu, zobaczyła je podczas przerwy obiadowej i zemdląca.

Mimo wszystkich tych zdjęć i słów budowa autostrady posuwała się naprzód i została ukończona półtora roku później, przed terminem. Do tego czasu miasto zapomniało już o „Robotach drogowych”, a miejscowa ekipa telewizyjna, w tym również zdobywca Nagrody Pulitzera David Albert, zajęła się innymi historiami i innymi słusznymi sprawami. Ale niewiele osób, które obejrzały tamte zdjęcia w wieczornym dzienniku, potrafi o nich zapomnieć; pamiętają o nich nawet teraz, choć towarzyszące im fakty zatarty się w ich pamięci.

Na zdjęciach widniał biały domek, prawie wiejski, z asfaltowym podjazdem po prawej, prowadzącym do garażu na jeden samochód. Ładny, choć nic nadzwyczajnego. Nie był to dom, na którego widok oglądasz się podczas niedzielnej przejażdżki. W tamtym reportażu do-

mek miał wybite okno. Wyleciała przez nie strzelba, a za nią pistolet. Upadły w śnieg. Przez chwilę widać było rękę, która je rzuciła, z palcami bezwładnie wzniesionymi w górę, jak ręka tonącego człowieka. Wokół domu snuł się biały dym, gaz łzawiący czy coś podobnego. Potem nagle bucha pomarańczowy kłęb ognia, ściany domu wydymają się w nieprawdopodobny sposób jak w komiksie i następuje potężna detonacja, a kamera drży lekko, jakby z przerażenia. Widz dostrzega kątem oka, że garaż rozpadł się od jednego rozdzierającego wybuchu. Przez chwilę odnosi się wrażenie (po powtórce w zwolnionym tempie okazuje się, że wrażenie było słuszne), że dach unosi się w powietrze jak rakieta Saturn. Nagle cały dom rozlatuje się na zewnątrz i w górę, dachówki się sypią, kawały drewna prują powietrze i wracają na ziemię, coś podobnego do kołdry unosi się, falując leniwie niczym latający dywan, a gruz bębni o ziemię w głuchym, rytmicznym i grzmiącym kontrapunkcie.

Robi się cicho.

Na ekranie pojawia się zdruzgotana, zalana łzami Mary Dawes; patrzy w oszołomieniu, z pełnym zgrozy zdumieniem na wycelowany w nią las mikrofonów, a my jeszcze raz bezpiecznie wracamy do świata ludzkich spraw.